

Matthew Quick



wybacz mi,
Leonardzie

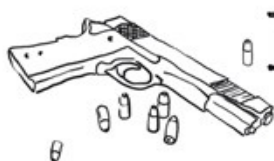


powieść autora *bestsellerowego*
„Poradnika pozytywnego myślenia”



Matthew Quick

wybacz mi,



Leonardzie

TEUMACZENIE
JACEK KONIECZNY

WYDAWNICTWO
otwarte
KRAKÓW 2014

Dla latarników – dawnych, obecnych i przyszłych

*„W miarę upływu lat człowiekowi z coraz
większym
trudem przychodzi wiara w bohaterów,
ale w pewnym sensie jest ona konieczna”.*

Ernest Hemingway

*„Nie próbuj mnie dusić,
Ręce przy sobie: nie jestem porywczy,
Ale jest we mnie coś niebezpiecznego,
Czego się lepiej strzeż. Odstąp ode mnie”.*

William Shakespeare, Hamlet, tłum. S. Barańczak

JEDEN

Niemiecki pistolet Walther P38 wygląda komicznie na kuchennym stole obok miski z owsianką. Przypomina dziwną broń z jakiejś steampunkowej fantazji, ale kto przyjrzy się uważnie rękojeści, zobaczy nieco powyżej wygrawerowaną swastykę oraz siedzącego na niej orzełka, a ten widok diabelnie szybko przeniesie go do rzeczywistości.

Robię zdjęcie mieszkania iPhone'em, myśląc, że mogłoby posłużyć zarówno jako policyjny dowód, jak i dzieło sztuki nowoczesnej.

Zaśmiewam się do rozpuku, oglądając fotografię wyświetloną na maleńkim ekranie telefonu, ponieważ sztuka nowoczesna to straszna ściema.

No bo jak to? Wystarczy sfotografować miskę z owsianką i leżącego obok, jak łyżka, walthera P38, a powstanie dzieło sztuki nowoczesnej?

Ściema i tyle.

Choć ta moja ściema jest przynajmniej zabawna.

Widziałem gorsze eksponaty w muzeach z prawdziwą sztuką, na przykład idealnie białe płótno z biegnącym przez środek pojedynczym czerwonym prążkiem.

Kiedyś powiedziałem o obrazie z czerwoną kreską Herr¹ Silvermanowi. Stwierdziłem, że z łatwością sam bym go namalował. On odparł z niesamowitą pewnością w głosie: „Ale nie namalowałeś”.

Muszę przyznać, że nieźle mi wtedy odparował, bo powiedział

¹ Herr Silverman uczy w naszej szkole średniej o Holokauście, ale jest przede wszystkim nauczycielem niemieckiego, więc mówimy o nim „Herr”, a nie „pan”.

prawdę.

Od razu się przymknąłem.

Teraz, tuż przed śmiercią, postanowiłem sam wyprodukować jakąś sztukę nowoczesną.

Kto wie, może powieszą mojego iPhone'a w Filadelfijskim Muzeum Sztuki z wyświetloną na ekranie fotografią owsianki i szkopskiego pistoletu.

Można by nadać mu tytuł *Śniadanie nastoletniego zabójcy* albo coś równie idiotycznego i szokującego.

Idę o zakład, że świat artystyczny i świat medialny byłyby wniebowzięte.

Dzięki nim moja praca z miejsca stałaby się sławna.

Zwłaszcza kiedy zabiję Ashera Beala i popełnię samobójstwo².

Dzieła sztuki zawsze zyskują na wartości, kiedy artysta okaże się równie popieprzony jak van Gogh odcinający własne ucho, Poe żeniący się z nastoletnią kuzynką, Manson nakłaniający członków swojej sekty do zamordowania znanej osobistości, Hunter J. Thompson popełniający samobójstwo i każący wystrzelić swoje prochy z wielkiego działa, Hemingway przebierany przez matkę za dziewczynkę, Lady Gaga paradująca w sukience z surowego mięsa albo uczeń, któremu

2 Na Livestrong.com przeczytałem, że „co sto minut jakiś nastolatek popełnia samobójstwo”. Zupełnie w to nie wierzę. Dlaczego nie słyszymy o tych samobójstwach w wiadomościach albo gdzie indziej? Czyżby wszystkie popełniano w tajemnicy bądź za granicą? To niemożliwe, aby samobójstwa nie były aż tak rozpowszechnione, prawda? A jeżeli są? No proszę, a mnie się zdawało, że zamierzam zrobić coś oryginalnego... Ha! Oto garść innych faktów, które przeczą mojej wyjątkowości. Według Wikipedii – przyznaję, istnieją wiarygodniejsze, a w tym wypadku również aktualniejsze źródła – „w Stanach Zjednoczonych najwięcej samobójstw wciąż popełnia się za pomocą broni palnej; w 2003 roku odsetek takich samobójstw wynosił 53,7 procent”. W Wikipedii czytamy ponadto: „Każdego roku śmiercią samobójczą umiera ponad milion osób”. Wynika z tego, że ilekroć nasza planeta wykonuje jeden pełny obrót wokół Słońca, samobójstwa pozwalają nam się uwolnić od ponad miliona ludzi, którzy mają nawalone w głowie. Ciekawe, co na ten temat miałyby do powiedzenia Karol Darwin. Selekcja naturalna? Metoda, za pomocą której przyroda chroni osobniki silniejsze i przydatniejsze dla przetrwania gatunku? Czy mój umysł wyraża po prostu wolę natury? Czy swoim czynem uszczęśliwię wujaszka Karolka?

wyrządzono niewyobrażalną krzywdę, zabijający kolegę z klasy, a następnie wpakowujący sobie kulkę w łeb, jak to zamierzam uczynić jeszcze dziś.

Zaplanowane przeze mnie morderstwo połączone z samobójstwem uczyni ze *Śniadania nastoletniego zabójcy* dzieło bezcenne, ponieważ ludzie szanują artystów różniących się od nich pod każdym względem. Kto jest nudny, miły i normalny – jak ja jeszcze do niedawna – zarobi pałę z plastyki i do końca życia pozostanie miernym artystą.

Bezwartościowym dla mas.

Zapomnianym.

Każdy to wie.

Każdy.

Trzeba zatem na trwale wyróżnić się czymś w oczach zwykłych ludzi.

Dokonać czegoś znaczącego.

DWA

Zawijam prezenty urodzinowe w różowy papier, który znalazłem w szafie w przedpokoju.

Nie zamierzałem owijać prezentów w ozdobny papier, ale czuję, że powinienem się postarać, aby ten dzień stał się bardziej oficjalny i odświętny.

Nie boję się, że ludzie uznają mnie za geja, na tym etapie już jakoś niespecjalnie się przejmuję opiniami innych, dlatego różowy papier mi nie przeszkadza, nawet jeśli wolałbym inny kolor. Wobec tego, co ma się wydarzyć, stosowniejszy byłby chyba czarny.

Pakowanie prezentów wprawia mnie w tak radosny nastrój, jakbym znów był małym chłopcem, a dziś przypadało Boże Narodzenie.

Z jakiegoś powodu ten nastrój pasuje do reszty dnia.

Sprawdzam, czy bezpiecznik jest zamknięty, następnie wkładam naładowanego walthera P38 do starego pudełka po cygarach z drewna cedrowego, które zatrzymałem jako pamiątkę po tacie, miłośniku nielegalnych kubańskich cygar. Między pistolet a ścianki wpycham kilka starych skarpetek, żeby mój gnat nie stukotał w pudełku albo przypadkiem nie wypalił, wyszarpując mi dziurę w dupie. Pudełko owijam różowym papierem, aby nikt się nie domyślił, że przyniosłem do szkoły pistolet.

Nawet gdyby dyrektor – z jakiegoś tajemniczego powodu – wpadł dziś na pomysł przeszukiwania plecaków losowo wybranym uczniom, zawsze mogę powiedzieć, że przyniosłem prezent dla przyjaciela.

Różowy papier zniechęci do sprawdzania zawartości, zamaskuje zagrożenie. Chyba tylko skończony buc zmuszałby kogoś do otworzenia starannie zapakowanego prezentu.

Nikt nigdy nie przeszukał mi plecaka w szkole, ale nie zamierzam ryzykować.

Kto wie, może walther P38 będzie prezentem dla mnie, kiedy odwinę papier, wyjmę broń z pudełka i zastrzelę z niej Ashera Beala.

Będzie to prawdopodobnie jedyny prezent, który dziś dostanę.

Poza tym przygotowałem jeszcze cztery – po jednym dla każdego z moich przyjaciół.

Chcę się z nimi w odpowiedni sposób pożegnać.

Chcę podarować każdemu coś, dzięki czemu mnie zapamięta. Aby wiedzieli, że naprawdę mi na nich zależało, że ku mojemu wielkiemu żalowi nie potrafiłem dać z siebie więcej – nie potrafiłem zostać z nimi na dłużej – a oni nie są w żaden sposób winni temu, co się dziś wydarzy.

Nie chcę, żeby się niepokoiли w związku z tym, co zamierzam, ani żeby czuli się przygnębieni po fakcie.

TRZY

Mój nauczyciel historii Herr Silverman nigdy nie podwija rękawów, w przeciwieństwie do innych mężczyzn uczących w naszej szkole, którzy przybywają co rano do pracy w świeżo wyprasowanych koszulach z rękawami podwiniętymi do łokcia. Herr Silverman nigdy nie zakłada również koszulki polo z herbem szkoły. Nawet w cieplejsze miesiące nie odsłania rąk, co mnie intryguje od dłuższego czasu.

Wciąż o tym rozmyślam.

Kto wie, czy nie jest to największa zagadka w moim życiu.

Być może ma naprawdę mocno owłosione ręce. Albo więzienne tatuaże. Albo znamię poporodowe. Albo koszmarne się kiedyś poparzył. A może ktoś oblał go kwasem podczas eksperymentu chemicznego w szkole średniej. Albo ma nadgarstki oszpecone tysiącami śladów po igłach od wstrzykiwania sobie heroiny. A może cierpi na jakąś chorobę układu krążenia, przez którą jest mu nieustannie zimno.

Podejrzewam, że chodzi o coś znacznie poważniejszego – na przykład próbował kiedyś popełnić samobójstwo i zostały mu blizny po żyłtkach.

Albo i nie.

Nie potrafię sobie wyobrazić, żeby Herr Silverman, człowiek tak niesamowicie poukładany, mógł kiedyś podjąć próbę samobójczą. Chyba żadnego innego dorosłego nie podziwiam tak jak jego.

Czasami wzbiera we mnie nadzieja, że kiedyś doświadczył tak wielkiego wewnętrznego wypalenia, beznadziei i bezsily, aby podciąć sobie nadgarstki do kości, bo gdyby rzeczywiście miał za sobą tak straszne doświadczenie, a później wyrósł na tak

fantastycznego dorosłego, byłaby nadzieja i dla mnie³.

Ilekcio mam wolną chwilę, snuję domysły, jaką to tajemnicę Herr Silverman może skrywać, i próbuję ją rozwikłać, wymyślając najróżniejsze zdarzenia, które mogły doprowadzić go do samobójstwa – stwarzam sobie jego przeszłość.

Czasami jego rodzice głodzą go i biją wieszakami na ubrania.

Kiedy indziej koledzy z klasy przewracają go na ziemię i kopią tak długo, aż jest cały zakrwawiony. Potem kolejno obsikują mu głowę.

Czasami cierpi z powodu nieodwzajemnionej miłości i każdej nocy zamyka się w szafie, żeby wypłakać się w samotności, tuląc do piersi poduszkę.

Innym razem zostaje porwany przez psychopatę sadystę, który co noc poddaje go torturze waterboardingu – jak więźniów w Guantanamo – a za dnia nie daje mu nic do picia i przetrzymuje w sali, skrzepowanego, z przymusowo

3 Wygooglowałem: „Jak szybko umiera się po podcięciu sobie żył”. Mnóstwo ludzi szuka odpowiedzi na to pytanie na forach internetowych, przy czym większość twierdzi, że potrzebuje tej informacji do szkolnego wypracowania na biologię. Odpowiadający najczęściej nie dowierzają w takie wyjaśnienia i zachęcają, by pytający skorzystał z pomocy psychologa. Na forach trafiają się również rzeczowe wpisy (rzekomo) lekarzy oraz ludzi twierdzących, że podcięli sobie kiedyś żyły i nie umarli. Wszyscy przekonują, że jest to bardzo bolesny sposób umierania (albo nieumierania) – że wbrew temu, co pokazują na filmach, człowiek nie zasypia spokojnie w wannie, zanurzony w ciepłej wodzie. Czasami krew krzepnie, zatyka rozcięcia i niedoszły samobójca żyje, dręczony rozdzierającym bólem. Później znalazłem porady, jak „w odpowiedni sposób” podciąć sobie żyły, aby faktycznie umrzeć, co mnie głęboko zasmuciło, bo choć sam szukałem odpowiedzi na to pytanie, uświadomiłem sobie, że istnieją ludzie gotowi opublikować w internecie rzeczy, które raczej nie powinny się tam znaleźć. Nie zamierzam opisywać tu odpowiedniego sposobu podcinania sobie żył, ponieważ nie chcę mieć na rękach więcej krwi niż trzeba. Wyjaśnijcie mi jednak, w jakim celu ludzie umieszczają w sieci porady, jak skutecznie popełnić samobójstwo? Czyżby chcieli oczyścić świat z takich ponurych dziwolągów jak ja? Czy podoba im się pomysł, aby co poniektórzy się pociachali? Skąd ktoś ma wiedzieć, czy należy do grupy osób, które powinny sobie skutecznie podciąć żyły? Czy i na to pytanie można znaleźć odpowiedź w internecie? Wpisałem je w Google’a, ale nie znalazłem nic konkretnego. Tylko sposoby na skuteczne załatwienie sprawy. Bez żadnego uzasadnienia.

rozwartymi oczami jak w *Mechanicznej pomarańczy*, bombardowanego światłem stroboskopowym, symfoniami Beethovena i przerażającymi obrazami wyświetlanymi na wielkim ekranie.

Wątpię, czy ktokolwiek poza mną zwrócił uwagę na opuszczone rękawy Herr Silvermana, a nawet jeśli, to żaden z moich kolegów nie skomentował tego faktu. Nie słyszałem, żeby omawiali tę sprawę na korytarzu.

Ciekawe, czy rzeczywiście tylko ja to zauważyłem, a jeśli tak, co to o mnie mówi.

Czy oznacza to, że jestem dziwny?

(Albo dziwniejszy, niż mi się wydawało?)

A może po prostu spostrzegawczy?

Niezliczenie wiele razy chciałem zapytać Herr Silvermana, dlaczego nigdy nie podwija rękawów, ale z jakiegoś powodu tego nie zrobiłem⁴.

Czasami zachęca, żebym pisał, innym razem mówi, że jestem „utalentowany”, i uśmiecha się, jakby na podkreślenie szczerości tych słów, a wtedy jestem bliski zapytania go o zasłonięte przedramiona, ale, o dziwo, nigdy tego nie robię – zachowuję się całkowicie idiotycznie, bo przecież tak bardzo chciałbym poznać odpowiedź, zwłaszcza że mogłaby mnie ona uratować.

Zupełnie jakby mogła kryć w sobie jakąś świętość, odmienić mi życie albo wpłynąć na mnie w jakikolwiek inny sposób, a ja oszczędzam ją sobie na później – jako emocjonalny antybiotyk czy szalupę ratującą z depresji.

Czasami naprawdę w to wierzę.

Tylko dlaczego?

Może po prostu mam nawalone w głowie.

Albo panicznie się boję, że błędnie go oceniłem i żaden z moich domysłów się nie potwierdzi – że pod rękawami nie

⁴ Kiedy czasami zostaję po lekcjach, by porozmawiać z Herr Silvermanem o życiu – a on zawsze doszukuje się pozytywów we wszystkich przywoływanych przeze mnie ponurych tematach – udaję, że mam rentgen w oczach, i wpatruję się w jego zasłonięte ręce, próbując rozwikłać zagadkę. Nic z tego nie wyniknęło, bo niestety nie mam rentgena w oczach.

kryje się nic, a on po prostu lubi zasłaniać ręce.

Ze ma taki styl ubierania.

Ze przypomina Lindę⁵ bardziej niż ja.

I tyle.

Boję się, że na pytanie o zakryte ręce Herr Silverman roześmieje mi się w twarz.

A ja poczuję się jak idiota, który poświęcił tej sprawie taką masę czasu i liczył na ciekawe rozwiązanie zagadki.

Nazwie mnie dziwakiem.

Uzna za zbrojeńca, który bez przerwy o nim myśli.

Potem się skrzywi zniesmaczony, a ja stwierdzę, że nie mamy jednak absolutnie nic wspólnego, że uroiłem sobie jego sympatię.

A to, jak sądzę, by mnie dobiło.

Na dobre pozbawiło chęci do życia.

Naprawdę.

Jednocześnie narasta we mnie niepokój, że opór przed zapytaniem go o zakryte ręce najzwyczajniej w świecie wynika z mojego bezbrzeżnego tchórzostwa.

Siedzę samotnie przy kuchennym stole, zastanawiając się, czy Linda przypomni sobie, jaki to ważny dla mnie dzień. W głębi serca wiem, że nie zadzwoni. Postanawiam pomyśleć o czymś innym: czy hitlerowskiemu oficerowi używającemu podczas drugiej wojny światowej mojego walthera P38 przyszło kiedyś do głowy, że za jakieś siedemdziesiąt lat jego broń zamieni się w dzieło sztuki nowoczesnej po drugiej stronie Oceanu Atlantyckiego, w New Jersey, że zostanie ponownie naładowana i wykorzystana do zastrzelenia osoby, która

⁵ Linda to moja matka. Nazywam ją Lindą, ponieważ ją to wkurza. Twierdzi, że ją to „odmamia”. Chodzi o to, że sama się odmamiała, kiedy wynajęła mieszkanie na Manhattanie i zostawiała mnie w South Jersey, gdzie muszę radzić sobie sam przez większą część tygodnia, a coraz częściej również w weekendy. Tłumaczy, że kariera projektantki mody wymaga stałej obecności w Nowym Jorku, ale w zasadzie jestem pewien, że przy okazji chce móc bez przeszkód grzmocić się ze swoim francuskim chłopakiem Jeanem-Lukiem, a także uciec jak najdalej od powalonego synalka. Wymeldowała się z mojego życia zaraz po rozróbie związanej ze sprawą Ashera. Może sytuacja ją przerosła, sam nie wiem.

w mojej szkole jak nikt inny przypomina nazistę.

Ten Niemiec, który był kiedyś właścicielem mojego walthera P38... Jak się nazywał?

Czy należał do dobrych Niemców, o których opowiada nam Herr Silverman? Czy był jednym z tych, którzy wcale nie nienawidzili Żydów ani gejów, ani czarnych, ani w sumie nikogo innego, tylko mieli pecha i urodzili się w Niemczech w równie powalonych czasach?

Czy w jakikolwiek sposób przypominał mnie?

CZTERY

Moim znakiem rozpoznawczym są długie jasnobrązowe włosy, które opadają mi na oczy i poniżej ramion. Zapuszczam je od kilku lat, odkąd mój tata uciekł z kraju przed nagłym zainteresowaniem organów ścigania⁶.

6Trudno uwierzyć, ale na początku lat dziewięćdziesiątych mój ojciec był pomniejszym gwiazdorem rockowym. Występował pod pseudonimem Jack Walker, stworzonym z połączenia nazw jego dwóch ulubionych alkoholi: Jacka Daniela i Johnniego Walkera. Sprytnie! Słyszeliście o nim? Nie? Szokujące! Możecie pamiętać jego zespół Tether Me Slowly, czyli „odpowiedź Wschodniego Wybrzeża na grunge”, jak wieki temu napisał magazyn „Rolling Stone”. Na pewno słyszeliście jeden z jego wielkich przebojów, *Underwater Vatican*, ponieważ puszczają go w kółko na tym cholernym kanale z klasyką rocka. Jeździł w trasy z Jesus Lizard, Pearl Jam, Nirvaną i innymi, otwierał dla nich koncerty. Podpisał kontrakt płytowy na WIELKĄ kasę, stracił natchnienie, wpadł w alkoholizm, ożenił się z moją mamą, nagrał syfiasty drugi album, uzależnił się od narkotyków (powinienem raczej powiedzieć, że uzależnił się po raz kolejny, ponieważ alkohol również jest narkotykiem, jak wiem z lekcji o zdrowiu człowieka), okazał się mięczakiem, a nie prawdziwym rockmanem, bo ani nie przedawkował, ani nie wyplątał się z prochów, spłodził mnie, przestał grać, żył z tantem za tę jedyną piosenkę, która mu się udała, oraz ze sprzedawania na eBayu rockandrollowych pamiątek (w tym roztrzaskanej i podpisanej gitary Kurta Cobaina, która wisiała nad moim łóżkiem), stał się pośmiewiskiem, bo zdobył sławę na krótką chwilę, a potem nie wziął już gitary do rąk, roztył się, a z powodu nieustannie rumianej twarzy w najmniejszym stopniu nie przypominał siebie samego z przeszłości, zaczął potajemnie jeździć do Atlantic City, gdzie uprawiał hazard, przestał płacić podatki, którejś cholерnej nocy obudził piętnastoletniego syna, wręczył mu pamiątki po swoim ojcu z czasów drugiej wojny światowej, odurzył go oddechem, w którym aromat róży mieszał się z gazem musztardowym, powiedział synowi, że ma być dobrym człowiekiem, powiedział, że ma się opiekować Lindą, a potem, zanim zgarnęli go agenci federalni, zbiegł ponoć do wenezuelskiej dżungli na jakimś cholernym transportowcu przewożącym banany – i od tego czasu słuch o nim zaginął. Ilekroć słyszę teraz *Underwater Vatican*, mam ochotę walić pięścią w ścianę – nie tylko dlatego, że każdy cent z tantem trafia na konto Skarbu Państwa, a nie moje.

Długie włosy wkurzają Lindę, która uważa je za paskudne, zwłaszcza jako osoba związana ze współczesną modą. Twierdzi, że przypominam „grunge-rockowego ćpuna”⁷. Kiedy jeszcze mieszkała w domu i się mną zajmowała, kazała mi zrobić test na obecność narkotyków – musiałem nasikać do kubka – który niczego nie wykazał⁸.

Nie przygotowałem prezentu pożegnalnego dla Lindy. Teraz zaczynam mieć z tego powodu wyrzuty sumienia, więc obcinam sobie włosy nożycami kuchennymi – tymi, które normalnie służą do rozkrawania mięsa.

Ścinam wszystko do gołej czaszki w szalonej orgii rąk, dłoni i srebrnych ostrzy.

Ze ściętych włosów formuję wielką kulę i owijam ją różowym papierem.

Przez cały czas się śmieję.

Odcinam kawałek różowego papieru i piszę na odwrocie:

*Droga Dalilo,
to dla Ciebie.
Twoje życzenie się spełniło.
Gratulacje!*

*Całuję
Samson*

Linda wkurzyła się, że musi oddać urzędowi podatkowemu furę pieniędzy, wkurzyła się na kręactwa prawników, wkurzyła się na utratę wielkiego domu i samochodów, ale poza tym przeważała u niej postawa: „Krzyżyk ci, kurwa, na drogę”. Potem zmarli jej rodzice i odziedziczyła na tyle dużo pieniędzy, by rozkręcić własny biznes modowy w Nowym Jorku i trzymać się z dala ode mnie. Mój ojciec – który tak naprawdę nazywa się Ralph Peacock – zmusił matkę do podpisania umowy przedślubnej, czego jestem pewien, ponieważ w normalnych warunkach żadna kobieta nie wytrzymałaby tak długo tego całego syfu otaczającego podupadłego rockmana. Jak na ironię, na małżeństwie nie zyskała ani centa. On w praktyce okazał się draniem. A Linda, choć matką jest dziadowską, wciąż przyciąga spojrzenia mężczyzn. Jest piękna – wyobraźcie sobie była modelką przed czterdziestką.

7 Czyli mojego tatę około 1991 roku.

8 Jaki ojciec, inny syn.

Składam kartkę na pół i przyklejam ją do prezentu. Wygląda to dość dziwnie – zupełnie jak opakowana kula powietrza.

Wkładam ją do lodówki, co wydaje mi się przezabawne.

Linda przyjdzie do kuchni po butelkę schłodzonego rieslinga, aby ukoić nerwy stargane wiadomością, że jej syn sprzątnął ze świata Ashera Beala i Leonarda Peacocka.

I wtedy znajdzie różowy pakunek.

Po przeczytaniu liściku zacznie się głowić nad znaczeniem odwołania do *Samsona i Dalili*, ponieważ taki tytuł nosił drugi, nieudany album taty, ale dowcip zrozumie dopiero po otworzeniu prezentu.

Mogę sobie wyobrazić, że robi z siebie widowisko i odegra rolę ofiary, kładąc ręce na piersi i udając, że szlocha.

Jean-Luc będzie miał ręce (zakończone profesjonalnie wymanikiowanymi paznokciami) pełne roboty.

Nie będzie mógł liczyć na seks, choć kto tam wie.

Być może ich romans rozkwitnie, kiedy przestanę ograniczać biedną Lindę, zmuszając ją do regularnego kontaktu z rzeczywistością i wykonywania matczynych obowiązków.

Być może po moim odejściu przeniesie się do Francji – odleci niczym lśniący, nowy srebrny balonik nadmuchany z okazji urodzin małego dziecka.

Prawdopodobnie zrzuci kilka kilogramów i zacznie się mieścić w sukienki o numer mniejsze, odkąd przestanę w niej wzbudzać „nerwicę żywieniową”.

Być może Linda w ogóle nie wróci do domu.

Być może wraz z Jeanem-Lukiem pojedą do modowej stolicy świata, Miasta Światła – hip, hip, hurra! – i będą się tam grzmocili jak króliki, długo i szczęśliwie.

Sprzedzą wszystko, nowi właściciele domu znajdą moje włosy w lodówce i pomyślą: „Co to... jest?”.

Włosy trafią do kosza i tyle.

Przepadną.

Zapomniane.

Świętej pamięci włosy.

A może nowi mieszkańcy przekażą je do któregoś z tych

zakładów produkujących peruki, które pomagają dzieciom chorym na raka. Wtedy moje włosy dostaną swego rodzaju drugą szansę na łysej główce jakiejś niewinnej dziewczynki po chemioterapii.

To akurat by mi się podobało.

Naprawdę.

Moje włosy na to zasługują.

Liczę na wariant ze wsparciem dziecka z nowotworem, jeżeli Linda nie wróci do domu i wyjedzie do Francji. Kto wie, może sama odda moje włosy na ten cel.

Wszystko jest możliwe.

Wpatruję się w lustro wiszące nad zlewem w kuchni⁹.

Patrzy na mnie dziwny, łysy facet.

Ma nierówno przycięte kępki włosów na gołej czaszce i wydaje się kimś zupełnie obcym.

Wydaje się szczuplejszy.

Tam, gdzie wcześniej wisiały jasne firany z włosów, teraz dostrzegam wystające kości policzkowe.

Od jak dawna ten ktoś ukrywał się pod moimi włosami?

Nie lubię go.

– Zabiję cię przed upływem dnia – zapowiadam, a on uśmiecha się do mnie, jakby nie mógł się doczekać.

– Obiecujesz? – słyszę czyjś głos i podskakuję ze strachu, ponieważ moje usta się nie poruszają.

To nie ja powiedziałem: „Obiecujesz?”.

Głos wydaje się dobiegać z wnętrza lustra.

Przestaję w nie patrzeć.

I na wszelki wypadek je roztrzaskuję, uderzając kubkiem z kawą. Nie chcę, żeby do mnie ponownie przemówiło.

Stłuczone kawałki lądują w zlewozmywaku i milion moich podobizn spogląda z morza maciupeńkich błyszczących odłamków.

⁹ Linda potrzebuje luster bardziej niż tlenu, dlatego powiesiła co najmniej jedno w każdym cholernym pomieszczeniu naszego domu.

PIĘĆ

Już teraz jestem spóźniony do szkoły, ale muszę jeszcze wstąpić do mojego sąsiada Walta¹⁰, żeby dać mu prezent.

¹⁰ Walta poznałem zaraz po tym, jak wprowadziliśmy się do nowego domu. Pamiętam, że Linda kazała mi odśnieżyć podjazd, mimo że wciąż mocno padało. Miała wyjechać na spotkanie z kolejnym fikcyjnym projektantem, modelką bulimiczką czy kimś takim. Podejrzewam, że próbowała mnie wtedy „leczyć” męskimi zadaniami, nawet jeśli nie uwierzyła w to, co miało zajść między mną i Asherem, a nie uwierzyła, ponieważ jest samolubną, olewającą suką. Tamtego dnia odśnieżanie nie dawało nic, bo ledwie kończyłem odgarniać pas szerokości łopaty, drugi koniec był ponownie zasypany. Odśnieżałem przez kilka godzin i byłem wykończony, kiedy Linda w końcu orzekła, że „wystarczy”. Zanim wróciłem do domu, kazała mi sprawdzić, czy z naszym sąsiadem jest wszystko okej. „To starszy pan. Zapytaj, czy nie trzeba mu odśnieżyć podjazdu albo czy nie można mu pomóc w inny sposób”, powiedziała, zresztą ku mojemu zaskoczeniu, bo inni ludzie zazwyczaj jej nie obchodzą – wręcz nie zauważa ich istnienia. Chyba i tym poleceniem próbowała mnie „wyleczyć”, nie odnosząc się bezpośrednio do samego zdarzenia. Kiedy nie ruszyłem się z miejsca, dodała ponaglająco: „No idź, Leo. Bądź dobrym sąsiadem. Chcemy zrobić dobre wrażenie. Zwłaszcza po tym, co zaszło”. Ruszyłem zatem przez metrową zaspę śnieżną, tymczasem Linda wyprowadziła samochód z garażu. Planowałem wrócić do domu, kiedy tylko odjedzie, lecz ona przystanąła po zjechaniu na jezdnię i wpatrywała się we mnie przez ścianę padającego śniegu. Ledwie zadzwoniłem do drzwi, odjechała. Nikt nie odpowiedział, więc uznałem, że mi się poszczęściło, ale zaraz potem usłyszałem dobiegający ze środka krzyk i, jak się zdawało, odgłosy strzałów. Natychmiast przebudziłem się z sennej, zimowej atmosfery tamtego dnia, serce zabiło mi mocniej. Odczekałem chwilę, przekonany, że się przesłyszałem, kiedy jednak dobiegły mnie kolejne odgłosy strzałów, wyciągnąłem z kieszeni komórkę i zadzwoniłem na policję. Kilka minut później pod dom zajechały trzy radiowozy z włączonymi syrenami i migoczącymi światłami. Przez megafon kazali mi się odsunąć. Wykonałem polecenie. Jeden z policjantów podszedł do drzwi z pistoletem w rękę i mocno zapukał. Kiedy nikt nie odpowiedział, ruszył przez śnieg na tyły domu. Zaglądał kolejno do wszystkich okien. Jakąś minutę później

Pukam raz i sam wpuszczam się do środka, ponieważ Walt porusza się za pomocą jednego z tych szarych balkoników na czterech nogach. Na każdej z nich zamocował piłkę tenisową, żeby nie niszczyć drewnianych podłóg. Porusza się z trudem, głównie z powodu schorowanych płuc, dlatego dał mi kiedyś klucz i powiedział: „Przychodź, kiedy tylko będziesz miał ochotę. Byle często!”.

Pali od dwunastego roku życia, a ja pomagałem mu zamawiać jego ulubione pall malle redsy przez internet, gdzie można je dostać taniej. Kiedy po raz pierwszy znalazłem tę niesamowitą ofertę – dwieście papierosów za dziewiętnaście dolarów – z miejsca ogłosił mnie bohaterem. Walt nie ma w domu komputera, nie wspominając o internecie. Z jego perspektywy dokonałem niemal cudu: zamówiłem tanio papierosy, do tego z dostawą prosto do domu – w pobliskim sklepie spożywczym płacił znacznie więcej. Przynosiłem do niego laptopa – nasze

otworzyły się frontowe drzwi i stanął w nich starszy mężczyzna. Wspierał się na balkoniku. „Co tu się, u licha, dzieje?”, zapytał. „Dostaliśmy zgłoszenie, że słyszano strzały z broni palnej, proszę pana – wyjaśnił policjant. – Czy nie się panu nie stało?” „Na litość boską, oglądałem tylko film z Bogartem”. Gliniarze spojrzeli na mnie takim wzrokiem, jakby byli mocno wkurzeni, po czym weszli do środka, żeby wyjaśnić sytuację. Opuścili dom, gdy uznali, że zaszło nieporozumienie. „A tak w ogóle co robiłeś pod moimi drzwiami?”, spytał staruszek. „Mama kazała zapytać, czy nie trzeba panu odśnieżyć podjazdu. Od tego się zaczęło. Przepraszam, że zadzwoniłem na policję. Strzały brzmiały bardzo realistycznie”. Staruszek uśmiechnął się z dumą. „To moje nowe kino domowe. W większości starych filmów przerabiają dźwięk, a ponieważ kiepsko słyszę, podkreścam głośność. Widziałeś kiedyś w akcji starego dobrego Humphreya Bogarta?” „Nie”, odpowiedziałem. Otworzył szeroko oczy i zawołał: „Jezus Maria, nie zdajesz sobie nawet sprawy, co tracisz! Zasuważ z tą swoją zakutą pałą do mojego salonu, puścimy sobie *Skarb Sierra Madre*”. W ten właśnie sposób Linda wepchnęła mnie w ramiona sąsiada akurat wtedy, kiedy potrzebowałem kogoś, kto zastąpiłby mi ojca – kiedy zacząłem mieć nawalone w głowie. Oglądanie starych filmów z Waltem wydawało mi się dziwnym sposobem przeczekania śnieżyicy, ale było lepsze od wymachiwania łopata, więc poszedłem za nim do salonu, podziękowałem za papierosa, którym mnie poczęstował, usłyszałem Bogarta mówiącego: „Czy postawi pan rodakowi obiad?”, i tak oto rozpoczął się wielogodzinny, wielodniowy, a z czasem wielotygodniowy cykl oglądania czarno-białych filmów.

Wi-Fi sięga do jego salonu – i co tydzień szukaliśmy najlepszych ofert. Zawsze chciał dzielić się ze mną połową zaoszczędzonych pieniędzy, ale nigdy ich nie przyjąłem¹¹.

Co zabawne, Walt jest bogaty¹², a mimo to uwielbia promocje. Być może dlatego jest bogaty. Sam już nie wiem.

Niemal codziennie odwiedza go pracownik pomocy społecznej, ale nigdy nie zjawia się przed dziewięcią trzydzieści, więc kiedy zaglądam dziś przed szkołą, jesteśmy tylko we dwóch.

– Walt? – wołam, idąc przez zadymiony korytarz, pod kryształowym żyrandolem, w kierunku zadymionego salonu, gdzie zazwyczaj drzemie otoczony przepelnionymi popielniczkami i pustymi butelkami. – Walt?

Zastaję go w fotelu marki La-Z-Boy, palącego pall mall reda, z oczami przekrwionymi od wypitej poprzedniego wieczoru szkockiej.

Spod rozchylonego szlafroka wystaje naga, nieowłosiona klatka piersiowa. Ma różowoczerwony kolor zachodu słońca.

Walt najlepiej, jak potrafi, naśladuje spojrzenie gwiazdora czarno-białych filmów¹³ i mówi:

– Gardzisz mną, prawda?

To kwestia z *Casablanki*, którą oglądaliśmy razem z milion razy.

11 Uważacie mnie za buca, ponieważ ułatwiam dostęp do papierosów staremu człowiekowi ze zniszczonymi płucami? Pragnę podkreślić, że choć sam przymierzam się do popełnienia samobójstwa, nie jestem wielkim miłośnikiem palenia. Ironia losu? Waltowi pozostały w życiu w sumie tylko cztery przyjemności: stare filmy, papierosy, szkocka i ja. Papierosy to dwadzieścia pięć procent jego życia i dlatego go nie osądzam. Niby dlaczego miałyby mu zależeć na wydłużeniu sobie życia? Po papierosy sięgnął, zanim jeszcze wiedziano o ich szkodliwości, można zatem uznać, że nie ponosi winy za swój nałóg. Być może gdybym urodził się osiemdziesiąt lat temu, też byłbym nałogowym palaczem.

12 Siedemdziesięciocalowy płaski telewizor, orientalne dywany, w garażu nowiuteńki mercedes, którym nigdy nie jeździ, ogródek zaprojektowany przez profesjonalistę, podziemny system zraszaczy, oryginalny obraz Normana Rockwella w przedpokoju – chyba nie muszę więcej wymieniać.

13 Gdyby pominąć zmarszczki i zmierzwione siwe włosy, wyglądałby jak podstarzały George Clooney.

Staję obok jego fotela, kładę plecak między nogami i odpowiadam słowami Ricka z filmu:

– Gdybym poświęcał ci choć odrobinę uwagi, prawdopodobnie bym tobą gardził.

Zaraz potem przywołuję kwestię z *Wielkiego snu*:

– O rany... Tyle pistoletów w mieście, a tak niewiele mózgow. Brzmi to zupełnie nieźle i prawdziwie, biorąc pod uwagę, że w plecaku mam hitlerowskiego walthera P38.

Walt ripostuje słowami z *Key Largo*:

– Miałeś rację. Kiedy głowa podpowiada ci coś innego niż całe życie, możesz być pewien, że to ona się myli.

Moja twarz rozjaśnia się w jeszcze większym uśmiechu, ponieważ ilekroć przerzucamy się filmowymi kwestiami Bogarta, nasza rozmowa nabiera nieprzewidywalnego, niemal poetyckiego sensu.

Decyduję się na cytat z Bogarta, który znalazłem w internecie:

– W barze zawsze panuje spokój, dopóki jakaś kobieta nie postawi wysokiego obcasa na mosiężnym relingu. Nie pytaj dlaczego, ale kobieta w barze zawsze wprowadza zamieszanie w szeregach mężczyzn.

Walt wraca do kopalni cytatów, *Casablanki*:

– Gdzie byłeś ostatniej nocy?

Odpowiadam za filmem, odgrywając rolę Ricka:

– Nie pamiętam, to było dawno temu.

– Zobaczmy się dziś wieczorem? – pyta.

Robi mi się trochę nieswojo, bo po zakończeniu dzisiejszego dnia nikt mnie już więcej nie zobaczy, więc pytanie nabiera dodatkowego sensu. Napominam się w myślach, że Walt nie zna mojego planu – po prostu kontynuuje tę idiotyczną grę cytatami z Bogarta, w którą lubimy się bawić. Nie ma pojęcia, co zamierzam.

Ponownie wcielam się w Ricka i odpowiadam:

– Nigdy nie robię planów z takim wyprzedzeniem.

Walt uśmiecha się i wydmuchuje papierosowy dym w stronę sufitu.

– Louis, myślę, że to jest początek pięknej przyjaźni.

Siadam na kanapie i kończę grę w nasz zwyczajowy sposób:

– Twoje zdrowie, mała.

– Dlaczego nie poszedłeś do szkoły? – pyta Walt. Jego twarz rozświetla płomień zapalniczki Zippo, którą podpala kolejnego papierosa. Wiem, że tak naprawdę ma gdzieś, co odpowiem. Wcześniej wielokrotnie wagarowałem, żebyśmy mogli obejrzeć razem filmy z Bogartem. Uwielbia, kiedy opuszczam lekcje.

Zanosi się kaszlem, słysząc paskudny charkot flegmy nałogowego palacza.

Kaszel człowieka, który od sześćdziesięciu lat wypala dwie paczki papierosów dziennie.

Obrzydlistwo.

Wpatruję się w Walta przez dłuższą chwilę, czekając, aż wytrze dłoń o szlafrok i złapie oddech.

Szkoda, że jest tak schorowany, ale trudno go sobie wyobrazić bez papierosa w dłoni. Założę się, że papierosa trzyma nawet na zdjęciach klasowych ze szkoły średniej. Taki już jest. Zupełnie jak Bogart.

Kurczę, będę tęsknił za Waltem. Oglądanie w jego towarzystwie starych, wypełnionych dymem tytoniowym filmów z Bogartem to jedna z niewielu rzeczy, których będę autentycznie żałował. Każdy z tych seansów był dla mnie wydarzeniem tygodnia.

– Wszystko okej, Leonard? – docieka Walt. – Nie wyglądasz najlepiej.

Otrząsam się z zamyślenia i ocieram oczy rękawem.

– Tak, wszystko okej.

– Wepchnąłeś sobie wszystkie włosy pod tę naciągniętą na uszy fedorę? – pyta¹⁴.

Kiwam głową.

Z jakiegoś powodu nie chcę przyznać, że obciąłem wszystkie włosy, może dlatego, że Walt jest jednym z moich najlepszych przyjaciół – jak boga kocham, jemu naprawdę na mnie zależy – więc gdyby zobaczył zmasakrowaną fryzurę, zacząłby się niepokoić, a ja chcę, żeby nasze ostatnie spotkanie upłynęło w miłej atmosferze – chcę, żeby to było przyjemne pożegnanie,

¹⁴ Ma na myśli mój kapelusz Bogarta, który z powodu wielkich rozmiarów zakrywa mi nawet brwi. Wygląda to dość idiotycznie.

które zapamięta i będzie mile wspominał po moim odejściu.

– Kupiłem ci prezent – zmieniam temat i wyciągam z plecaka pakunek w kształcie żółwia.

– Przecież nie mam dziś urodzin – dziwi się.

Mam nadzieję, że się domyśli, że to ja mam urodziny – albo zgadnie, albo wydedukuje – więc przez chwilę w milczeniu patrzę, jak obraca w palcach prezent i próbuje odgadnąć, co, u licha, znajduje się w środku.

Wygląda, jakby naprawdę się ucieszył.

O mały włos obiecuję sobie w duchu, że nie zabiję Ashera Beala ani nie popełnię samobójstwa, jeżeli Walt powie: „Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin” – jakkolwiek głupio i banalnie to brzmi.

Robi się smutno, kiedy tego nie mówi. Chyba nigdy nie zdradziłem mu daty swoich urodzin, a przecież wiem, że gdybym to zrobił, na pewno powiedziałby teraz: „Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin”.

Tyle że naprawdę chciałbym, aby mimo wszystko powiedział teraz: „Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin”, dlatego ogarnia mnie poczucie pustki i czuję się jak statek umieszczony w suchym doku albo coś w tym stylu.

– Co ci strzeliło do głowy, żeby użyć różowego papieru? Uważasz mnie za pedała? – pyta, po czym zaczyna się znów zanosić śmiechem i kaszlem.

– Mamy dwudziesty pierwszy wiek – odpowiadam. – Mógłbyś sobie darować te homofobiczne uwagi.

Tak naprawdę nie jestem zły.

Walt jest taki stary, że trudno się oburzać na jego uprzedzenia, bo niemal przez całe życie używał słowa „pedał” i dopiero niedawno dowiedział się, że nie wolno tego robić.

W jego repertuarze znajdują się również: „czarnuch”, „Żydek”, „Polaczek”, „żółtek”, „ciota”, „turbaniarz”, „skośnooki” i milion innych paskudnych wyzwisk.

Nienawidzę rasizmu, ale uwielbiam Walta.

Przypomina to sytuację nazistów, o których uczy nas Herr Silverman. Być może Walt zwyczajnie miał pecha, bo urodził

się w czasie powszechnych uprzedzeń do homoseksualistów i innych mniejszości, więc w jego pokoleniu po prostu tak się mówiło. Sam nie wiem.

Robi mi się smutno, więc zmieniam temat. Wskazuję na prezent.

– To jak, nie zamierzasz go otworzyć? – pytam.

Kiwa powoli głową jak małe dziecko, po czym rozrywa różowy papier żółtymi, trzęsącymi się palcami.

– Chyba wiem, co to jest – stwierdza w połowie.

Kiedy spod papieru wyłania się kapelusz Bogarta, wykrzykuje wzruszonym głosem:

– Niech mnie kule biją!

Zakłada kapelusz na siwe włosy.

Pasuje idealnie, czego byłem pewien, ponieważ kiedyś, gdy zasnął po pijanemu, zmierzylem mu głowę.

Opanowuje emocje i robi minę typową dla gwiazdora czarno-białych filmów.

– Mam robotę. Nie możesz mi towarzyszyć. Nie możesz wziąć udziału w zadaniu, które mam wykonać. Słuchaj, Leonard, niespecjalnie wychodzi mi bycie szlachetnym, ale nie trzeba wiele, by zauważyć, że na tym szalonym świecie problemy trójki szarych ludzi znaczą tyle, co brud za paznokciem. Pewnego dnia to zrozumiesz.

Uśmiecham się, ponieważ wstawił moje imię w miejsce imienia Ilsy. Robi to czasami, kiedy cytuje jakąś kwestię z *Casablanki*¹⁵.

15 Być może zastanawiacie się, dlaczego nastolatek żyjący w 2011 roku lubi oglądać filmy z Bogartem w towarzystwie jakiegoś starego faceta. Dobre pytanie. Początkowo była to po prostu forma spędzania czasu, okazja do przebywania w miejscu, gdzie czulem się mile widziany, jako że Walt jest dość samotny. Z czasem nauczyłem się rozumieć i kochać hollywoodzki świat Bogarta. Walt twierdzi, że te filmy kręcono dla mężczyzn, którzy wrócili do domu z drugiej wojny światowej. Byli dezorientowani, próbowali zrozumieć powojenny świat, nauczyć się roli mężczyzny w nowym, spokojnym życiu u boku kobiet. Na frontach poza terytorium Stanów Zjednoczonych nie towarzyszyły im kobiety, a jedynie mężczyźni wspierający mężczyzn i właśnie dlatego w kinie pojawiły się *femmes fatales* pokroju Lauren Bacall. W czasie wojny mężczyźni zapomnieli, jak się komunikuje z kobietami i jak się im ufa. Poza tym sprawia mi satysfakcję

Posyła mi naprawdę sympatyczny uśmiech.

– Ale numer. Mój własny kapelusz Bogarta. Podoba mi się!

Wtedy ja zaczynam opowiadać kłamstwa i choć bardzo się staram, nie potrafię przestać.

Nie wiem, dlaczego to robię.

Być może próbuję w ten sposób powstrzymać się od płaczu, bo czuję łzy napływające mi gwałtownie do oczu – zupełnie jakby w mojej czaszce lada chwila miał lunąć deszcz.

Mówię zatem, że kupiłem kapelusz na internetowym portalu aukcyjnym ze starymi rekwizytami filmowymi, przekazującym cały dochód na leczenie kaszlu u nałogowych palaczy i raka krtani, który zabił starego dobrego, niezniszczalnego Humphreya Bogarta. Mówię, że Humphrey Bogart nosił ten kapelusz na planie filmowym, kiedy grał Sama Spade'a w *Sokole maltańskim*.

Walt otwiera szeroko oczy, ale zaraz potem robi zasmuconą minę, bo uświadamia sobie, że kłamię, choć przecież nie muszę – kapelusz i tak niesamowicie by mu się podobał, nawet gdyby nie był rekwizytem filmowym, nawet gdybym znalazł go na ulicy albo coś w tym stylu, zresztą sam dobrze wiem, że niepotrzebnie wciskam mu ten kit, ponieważ nasza przyjaźń już teraz jest prawdziwa i szczerą, mimo to dalej lżę jak najęty, a on nie chce mi tego wypominać. Nie chce mnie zawstydzić i zepsuć miłego momentu.

Kiedy dostrzegam smutek na jego twarzy, zaczynam powtarzać „naprawdę” i „jak boga kocham”, co czasami robię, kiedy kłamię.

– To naprawdę jest kapelusz Bogarta, jak boga kocham. Naprawdę. Tylko nie wspominaj o tym mojej mamie, bo wydałem na niego pokaźną sumkę, którą ściągnąłem z jej karty kredytowej, tak ponad dwadzieścia pięć patyków, zresztą całość idzie na badania nad lekiem na raka, wszyściutko, no a ja poczułem, że muszę zdobyć ten kapelusz, żebyśmy mieli

myśl, że Walt zabiera mnie w miejsce, o którego istnieniu nie ma pojęcia żaden z moich kolegów. Podziwiam Bogarta, bo postępuje właściwie niezależnie od okoliczności – nawet jeśli ma osobiście ponieść poważne konsekwencje – czyli na odwrót niż niemal wszyscy w moim życiu.

kawałek historii Bogarta, żebyśmy dysponowali przynajmniej taką pamiętką. Prawda?

Czuję się paskudnie, ponieważ tak naprawdę kapelusz kupiłem w sklepie z używaną odzieżą za cztery dolary i pięćdziesiąt centów.

Walt ma zaszklone i nieobecne spojrzenie, zupełnie jakbym zastrzelił go z walthera P38.

– To jak? Podoba ci się? – pytam. – Cieszysz się z kapelusza Bogarta? Jak masz go teraz na głowie, nie czujesz się twardzielem zdolnym do pokonania największych trudności?

Walt posyła mi smutny uśmiech i robi swoją bogartowską minę.

– Czy obdarzyłeś mnie czymkolwiek poza pieniędzmi? Czy kiedykolwiek obdarzyłeś mnie swoim zaufaniem, czy powierzyłeś mi jakąkolwiek tajemnicę? Czy nie próbowałeś kupić mojej lojalności wyłącznie za pomocą pieniędzy?

Rozpoznaję ten fragment. Pochodzi z *Sokoła maltańskiego*. Wypowiadam zatem swoją kwestię:

– Czym jeszcze mógłbym cię kupić?

Wpatrujemy się w siebie, każdy ubrany w kapelusz Bogarta, zupełnie jakbyśmy toczyli rozmowę, mimo że w pokoju panuje absolutna cisza.

Próbuję przekazać mu telepatycznie swoje zamiary.

Chciałbym, żeby mnie uratował, nawet jeśli wiem, że to niemożliwe.

Jego kapelusz Bogarta jest szary, ma czarną opaskę i wygląda, jakby faktycznie należał do Sama Spade'a. Miałem wielkie szczęście, że natrafiłem na niego w komisie. Naprawdę wielkie. Całkiem jakby przeznaczeniem Walta było mieć ten kapelusz.

Przypominam sobie inną dziwnie stosowną kwestię z *Sokoła maltańskiego*.

– Nie byłem dobrym człowiekiem. Zachowywałem się podle. Gorzej, niż potrafisz sobie wyobrazić.

Tym razem Walt nie podejmuje gry. Robi się niespokojny, podenerwowany, zaczyna mnie wypytywać, dlaczego podarowałem mu kapelusz w tym konkretnym momencie.

„Dlaczego akurat dziś?” i „Dlaczego nagle posmutniałeś?”, i „Co się stało?”.

Potem prosi, żebym zdjął kapelusz. Docięka, czy się ostrzygłem, a kiedy nie odpowiadam, pyta, czy rozmawiałem dziś ze swoją matką – jeżeli w ogóle bywa w domu.

– Muszę już iść do szkoły – mówię. – Wspaniały z ciebie sąsiad, Walt. Naprawdę. Jesteś dla mnie prawie jak ojciec. Niczym się nie przejmuj.

Ponownie walczę z falą łez napływających do oczu, więc odwracam się do niego plecami i wychodzę przez zadymiony korytarz, pod kryształowym żyrandolem, opuszczając na zawsze życie Walta.

On przez cały czas krzyczy za mną:

– Leonard! Leonard, zaczekaj! Porozmawiajmy. Naprawdę się o ciebie martwię. Co się dzieje? Dlaczego nie chcesz zostać chwilę dłużej? Proszę. Zrób sobie wolne. Obejrzymy film z Bogartem. Wszystko będzie wyglądało lepiej. Bogart zawsze...

Otwieram drzwi frontowe i przystaję na chwilę. Słyszę, jak zanosi się suchym kaszlem i próbuje ruszyć za mną, wspierając się na swoim żalonym balkoniku na piłkach tenisowych.

Nie zdziwiłbym się, gdyby dziś umarł, myślę. Naprawdę bym się nie zdziwił.

Potem wychodzę z jego domu w poczuciu, że był to idealny sposób, aby pożegnać się z Waltem. Wymaszerowanie w takim momencie przypomina punkt kulminacyjny starego filmu z Bogartem. W głowie słyszę nawet instrumenty smyczkowe akompaniujące mi w pełnym dramatyzmie crescendo.

– Żegnaj, Walt – mówię, podążając w kierunku szkoły.

SZEŚĆ

List z przyszłości numer 1

*Drogi Poruczniku Leonardzie
widzę, że Billy Penn idzie w ślady Jezusa.*

Te słowa wypowiesz dziś, kiedy zgłosisz się do nas na służbę.

Stanie się to za jakieś dwadzieścia lat i jedną godzinę od Twojej chwili obecnej, mniej więcej trzynaście miesięcy po tym, jak postanowisz zaryzykować i wkroczyć w wielką, bezkresną, już-niecywilizowaną pustkę.

Podobnie jak ja, uznasz, że nie masz ochoty żyć na zatłoczonym, ekskluzywnym stałym lądzie, gdzie łokciami trzeba walczyć nawet o haust świeżego powietrza.

Nie potrafiłbyś funkcjonować jak gryzoń w mieście poprzecinanym podziemnymi kanałami, prawda?

Tak czy inaczej, dołączysz do mnie w Placówce 37, Latarni 1 – miejsce to znasz pod nazwą filadelfijskiego wieżowca Comcast Center.

Fale osiągną ostatnio wysokość stu metrów za sprawą szybszego tempa zjawisk pogodowych i nieustannych trzęsień ziemi powodujących otwieranie się i zamykanie olbrzymich szczelin w dnie morskim. Ziemia formuje się od nowa.

Woda opadła dziś tak nisko, że widzimy stopy Billy'ego Penna i kilkanaście centymetrów starego ratusza miejskiego, na którym ten pomnik wciąż stoi. Ratusz znajduje się pod powierzchnią morza, dlatego Billy Penn wydaje się chodzić po wodzie – teraz już rozumiesz dowcip z Jezusem.

Pozdrowienia z przyszłości.

Mamy rok 2032.

Doszło do nuklearnej zagłady, której wszyscy od dawna się

obawiali. Udało nam się stopić czapy lodowcowe na biegunach, przez co jedną trzecią lądów zalala woda. Pamiętasz film, który pokazał Wam nauczyciel geografii? No cóż, Al Gore miał rację.

Bomby nuklearne zmiotły z powierzchni Ziemi jedną czwartą ludności, a niedobór pól uprawnych i świeżej wody spowodował głód i śmierć kolejnej ćwiartki – przynajmniej tak mówią.

Tu, w Północnoamerykańskim Kolektywie Terytorialnym (kilka lat temu połączyliśmy się z Kanadą i Meksykiem), nie ponieśliśmy ostatecznie tak wielkich strat jak pozostałe części świata, ale lądu utraciliśmy równie wiele co inni. Skutkiem było coś w rodzaju migracyjnego zatoru. Wszyscy musieli przenieść się do centralnej części kraju. Zapanował chaos, wprowadzono stan wyjątkowy i powstała nowa forma totalitarnego rządu.

Budować zaczęto wzwyż. Niebo stało się nowym pograniczem, ceną nieruchomością. Żyjemy w świecie wind, drapaczy chmur i rurostrad biegnących w chmurach. Ludzie spędzają większość czasu w zamkniętych pomieszczeniach, zawieszeni między powierzchnią Ziemi a przestrzenią kosmiczną, rzadko kiedy oddychając nieprzefiltrowanym powietrzem albo czując ciepło promieni słonecznych na nieosłoniętej skórze. Przypominają chomiki w miastach-klatkach połączonych plastikowymi rurkami.

My żyjemy inaczej.

Zgłosiliśmy się jako ochotnicy do Placówki 37, Latarni 1. Większość dni spędzamy na pływaniu łodziami między czubkami wieżowców, które tworzyły kiedyś panoramę Filadelfii. Jest nas tu zaledwie czworo, wliczając Ciebie.

Naszym zadaniem jest obsługa latarni, na wypadek gdyby jakiś statek trafił przypadkowo do tego sektora. Mógłby się rozbić o wystające ponad powierzchnię czubki zalanych wieżowców. Mamy oczywiście obowiązek pomagać w operacjach wojskowych, ale od ponad roku nie widzieliśmy żywej duszy ani choćby jednej łodzi. Północnoamerykański Kolektyw Terytorialny nie skontaktował się z nami oficjalną

drogą od dziewięćdziesięciu siedmiu dni, sami nie zdołaliśmy nawiązać połączenia przez satelitę, co skłania nas do wniosku, że wszystkie globalne systemy komunikacyjne zostały wyłączone.

Dlaczego?

Nie wiemy.

Ale coś Ci zdradzę: mamy to gdzieś.

Jesteśmy tu szczęśliwi.

Jesteśmy samowystarczalni i dysponujemy zapasami liofilizowanego jedzenia, które wystarczą na kolejnych dwadzieścia lat.

Naukowcy wykazali, że kontakt z taką ilością nieprzefiltrowanego powietrza, przebywanie w bliskim sąsiedztwie wielkich promieniotwórczych chmur, które krążą nad Wspólnym Globalnym Obszarem Numer Dwa, który Ty nazywasz Oceanem Atlantyckim, skróci nam życie skuteczniej niż palenie dwóch paczek papierosów dziennie, mimo to pogodiliśmy się z tym i mamy poczucie, jakbyśmy przed czymś uciekli – a może jakbyśmy wreszcie wrócili do domu.

Żyjemy chwilą.

Czasami mamy wyrzuty sumienia, że tyle osób musiało tak wiele wycierpieć, abyśmy mogli się tu znaleźć, ale ponieważ nie od nas to zależało, po prostu staramy się korzystać ze szczęśliwego obrotu spraw.

Wiedziemy osobliwe życie.

Dni spędzamy w łodziach, przeszukując szczyty wieżowców w poszukiwaniu wszystkiego, co może się okazać interesujące. Przeszukujemy mieszkania, biura i sklepy jak jacyś archeolodzy amatorzy. Są to egipskie piramidy naszych czasów – „nasze podwodne Machu Picchu”, jak zwykliśmy mówić.

Człowiek odkrywa więcej rzeczy, pracując w grupie, „rekonstruując życie obcych ludzi”. Przypomina to grę. „Naszą najlepszą rozrywkę”. We trójkę uwielbiamie grać w „Kto tu mieszkał?”, snując opowieści o bohaterach i bohaterkach, którzy dokonywali odważnych i szlachetnych czynów, zanim jeszcze morze pochłonęło całą cywilizację.

Głębiny pod nami kryją miliardy opowieści. „Placówka 37 jest prawdopodobnie największą interaktywną biblioteką beletrystyczną w historii ludzkości”.

Tak na marginesie, to Ty powiedziałaś.

Co chwilę cytuję przyszłego Ciebie.

Powiedziałeś sporo rzeczy wartych przytoczenia.

Uwielbiasz delfiny, a w okolicy żyje całkiem spore stado. Pod wpływem promieniowania nuklearnego zaczęły mutować i są nieco większe niż dawniej. Często jeździsz na ich grzbietach i nazywasz je autobusami. „Złapię autobus”, mówisz do S., a ona klaszcze i śmieje się, podczas gdy Ty wskakujesz na delfina, chwytasz go za płetwę i pozwalasz się obryzgać wodą wytryskującą przy każdym oddechu zwierzęcia. Traktujemy je jak udomowione zwierzęta, często z nimi pływamy, a kiedy przewracają się na grzbiet i odsłaniają gładkie białe podbrzusza, odcinamy żerujące tam czerwone kalamarnicopodobne pasożyty.

Jeden z młodych osobników towarzyszy Twojej łodzi każdego ranka, kiedy wypływasz na obchód. Nazwałeś go Horatio ze względu na jego lojalność. Żartujesz, że jest Twoim najlepszym przyjacielem i nazywa Cię Hamletem – od tytułu sztuki, którą nawet teraz, po latach, wciąż czytasz każdej nocy. „Nieustająco odnajduję w niej coś nowego”, powtarzasz. Podobno to samo twierdziła Wasza nauczycielka angielskiego.

Twoją ulubioną rozrywką jest nurkowanie z akwalungiem na dno miasta, badanie podwodnych ulic, wciąż zastawionych samochodami, budkami z hot dogami, pomnikami, ławkami, skamieniałymi drzewami, centrami sportowymi i wieloma innymi elementami Twojej przeszłości, Twojej terażniejszości.

Nie dysponujemy wielkim zapasem butli z tlenem, dlatego nie możesz wyprawiać się na dół tak często, jak byś chciał – chcesz zaoszczędzić kilka butli na przyszłość. Wprowadziłeś reglamentację. Teraz wierzysz w tę przyszłość. Łatwo Ci to przychodzi, ponieważ kochasz terażniejszość. A także z powodu S

Czasami wpadasz w melancholijny nastrój, zwłaszcza kiedy oddajesz się rozmyślaniom o przeszłości, ale najczęściej jesteś szczęśliwy.

Wiedziemy dobre, nietypowe życie.

Stanowimy małą, szczęśliwą rodzinę.

Rozumiem, że przechodzisz teraz trudny czas, Leonardzie. Rozmawialiśmy o tym podczas długich nocy, kiedy obsługujemy latarnię.

Twoja przeszłość – sytuacja, w której się znajdujesz – dla każdego byłaby wielkim wyzwaniem. Dowiodłeś ogromnej siły, wytrzymując tak długo. Podziwiam Twoją odwagę i mam nadzieję, że zdołasz wytrwać odrobinę dłużej. Z Twojej perspektywy dwadzieścia lat z pewnością wydaje się długim czasem, ale miną one szybciej, niż myślisz.

Wiem, że naprawdę chcesz zabić tego chłopaka. Że czujesz się porzucony przez rodziców. Zawiedziony przez szkołę.

Samotny.

Wyalienowany.

Uwięziony.

Wystraszony.

Wiem, że tak naprawdę zależy Ci tylko na tym, by to wszystko się skończyło – że nie potrafisz dostrzec jakiegokolwiek nadziei w przyszłości, że świat sprawia wrażenie mrocznego i przerażającego. Może nawet masz rację, bo świat niewątpliwie potrafi być paskudnym miejscem.

Wiem, że dotarłeś na skraj załamania.

Ale błagam, wytrzymaj jeszcze chwilę.

Dla nas.

Dla siebie.

Pokochasz całym sercem Placówkę 37.

Zostaniesz strażnikiem światła.

Moim pierwszym zastępcą.

Sterowany przez nas snop światła prezentuje się imponująco, nawet jeśli nikt inny go nie ogląda – zapalamy go co noc niezależnie od okoliczności. A kiedy wyłączamy latarnię, aby zaoszczędzić energię, widzisz niebo takie,

jakiego nigdy wcześniej nie widziałeś. Oszłamiające morze gwiazd o nieskończonej głębi, której nigdy nie zdołasz zbadać. Dziwny, piękny, nowy świat czeka tu na Ciebie, Leonardzie. Znaleźliśmy oazę w jego ruinach. Naprawdę nam się udało. Uwierz, chcesz ją zobaczyć. Wytrzymaj zatem jeszcze trochę, okej?

*Z wielką nadzieją na szczęśliwą wersję przyszłości
(od człowieka, który wie dokładnie, co się stanie!)
Komandor E.*

SIEDEM

Moja szkoła ma kształt pustego pudełka bez wieczka.

Pośrodku znajduje się piękny dziedziniec z czterema kwadratowymi trawnikami, ławkami i brukowanymi alejkami, które razem tworzą wielki znak +. Otaczają go kolumny przypominające te z Białego Domu. Nad budynkiem góruje wieża z kopułą.

Przed rozpoczęciem lekcji i na przerwach dziedziniec wypełnia się stadem uczniów – odrażającą karaluszą plagą nastolatków. W czasie lekcji panuje tam idealny spokój, a wtedy nie potrafię się powstrzymać i przysiadam na ławce, żeby poprzyglądać się chmurom i przelatującym na tle nieba ptakom.

Wyobrażam sobie, że jestem więźniem przetrzymywanym w ciemnej, wilgotnej celi i wypuszczanym tylko na piętnaście minut dziennie na dziedziniec. Dzięki temu pamiętam, aby nacieszyć się tym widokiem. Właśnie podczas jednego z takich momentów zamyślenia wicedyrektor Torres klepie mnie w ramię.

– Panie Peacock, nie chciałbym panu zepsuć tak miłej chwili, ale czy nie powinien pan przebywać teraz na lekcji?

Wybucham śmiechem, ponieważ wicedyrektor zachowuje się w typowy dla siebie wyniosły sposób. Nie ma pojęcia, że przyniosłem do szkoły walthera P38, że mógłbym strzelić mu prosto w serce i zakończyć jego życie jednym naciśnięciem spustu. Wicedyrektor nie ma nade mną żadnej władzy.

– Co cię tak bawi? – pyta.

Dzięki waltherowi P38, którego mam w plecaku, czuję się zajebiście potężny, więc odpowiadam:

– Nic, absolutnie nic. Przysiądzie się pan? Piękny mamy

dzień. Piękny. Wygląda pan na zestresowanego. Proszę sobie chwilkę obok mnie odsapnąć. Spoglądanie w niebo działa doprawdy ozdrowieńczo. Dowiedziałem się o tym, pochłaniając popołudniami programy telewizyjne skierowane do kobiet. Porozmawiajmy. Spróbujmy się nawzajem zrozumieć. To co, przysiądzie się pan?

Wicedyrektor wpatruje się we mnie przez chwilę.

– Co to za pomysł z tym kapeluszem? – pyta.

– Naoglądaliśmy się z sąsiadem filmów z Bogartem. Muszę przyznać, że stałem się miłośnikiem jego twórczości.

Milczy.

– No, pan wie... Humphrey Bogart? „Twoje zdrowie, mała”?

– Wiem, kto to jest Humphrey Bogart – mówi. – Wracaj na lekcje.

Krzyżuję nogi, aby pokazać, że się go nie boję.

– Nie uczestniczyłem w odprawie w auli i nie potwierdziłem jeszcze oficjalnie swojej obecności w szkole, więc formalnie rzecz biorąc, wciąż odpowiadam sam za siebie. Nie podbiłem jeszcze karty pracy, szefie, jeżeli mogę się tak wyrazić. Nie podpadam pod pańską jurysdykcję. W tej chwili jestem zwykłym człowiekiem rozkoszującym się widokami w parku.

Wicedyrektor Torres czerwienieje jak burak.

– Nie mam czasu na cze pogaduszki, Leonardzie.

– Myślę, że wypowiadałem się dość klarownie. Na wszystkie pytania odpowiedziałem precyzyjnie i zgodnie z prawdą. Zawsze jestem z panem szczerzy. Ale pan nie słucha. Nikt nie słucha. Dlaczego pan po prostu koło mnie nie usiądzie? Poczulby się pan lepiej. Naprawdę mogłoby to...

– Leonardzie – przerywa. – Wystarczy.

– Chryste. – Wzdycham, ponieważ naprawdę próbowałem nawiązać z nim kontakt. Pogadałbym sobie z nim szczerze, bez zbędnego pustosłowania, gdyby tylko usiadł i na kilka minut zamienił się w zwykłego człowieka.

Ciekawe, jaka to pilna sprawa uniemożliwia mu poświęcenie pięciu minut, żeby popatrzeć ze mną w niebo?

Zaraz potem wicedyrektor Torres robi coś całkowicie żalnego i nieoryginalnego, czym głęboko mnie zasmuca.

Prawdopodobnie stosuje tę metodę do dyscyplinowania swojego syna Nathana, którego zdjęcie ze szkoły podstawowej¹⁶ postawił na swoim biurku.

– Panie Peacock – oświadczają. – Policzę do trzech, a jeśli po zakończeniu nie będzie pan zmierzał na lekcje, znajdzie się pan w niezłych tarapatach.

– Jakże konkretnie tarapaty mi grożą?

Unosi palec wskazujący.

– Raz.

– Nie sądzi pan, że powinniśmy omówić konsekwencje mojej ewentualnej bezczynności, abym mógł zdecydować, czy podporządkowanie się pańskiemu żądaniu rzeczywiście leży w moim interesie? Chciałbym dokonać świadomego wyboru. Przemyśleć sprawę. Jesteśmy przecież w szkole. Nie powinien pan zachęcać mnie do myślenia? Proszę mi wyjść naprzeciw.

Palce układają się w znak pokoju.

– Dwa.

Spoglądam w niebo, uśmiecham się, a potem wstaję, zanim powie „trzy” – tylko dlatego, że muszę zastrzelić Ashera Beala. To jedyny powód. Jak boga kocham. Nie chcę komplikować sobie dnia bardziej niż trzeba. Nie boję się wicedyrektora Torresa, jego palców ani żalostnego odliczania. Słowo.

Ruszam w stronę wejścia, ale po chwili odwracam się i przystaję.

– Niepokoję się o pana, panie dyrektorze. Wygląda pan na zestresowanego. A to odbija się na pańskiej pracy.

– Mam dość spraw na głowie – odpowiada. – Daj mi spokój, dobrze? Może pan wreszcie pójść na lekcje, panie Peacock? Błagam.

Kiwam głową, a kiedy ponownie ruszam w stronę wejścia, słyszę, jak wicedyrektor Torres głośno wzdycha. Przypuszczam, że to westchnięcie dotyczy nie tyle mnie, ile sytuacji życiowej wicedyrektora – tak bardzo spiętego i zabieganego.

Wydaje się, jakby wszyscy znani mi dorośli nienawidzili swojej pracy i swojego życia. Poza Waltem¹⁷ i Herr

16 Golf. Szczerbaty uśmiech. Fryzura od miski. Uroczy chłopczyk.

17 Który, o ironio losu, umiera.

Silvermanem nie znam chyba nikogo po osiemnastym roku życia, komu śmierć nie przyniosłaby ulgi, a kiedy sobie to uświadamiam, wzbiera we mnie przekonanie o słuszności tego, co zamierzam zrobić w dalszej części dnia.

OSIEM

W niektóre dni zakładam czarny garnitur, przeznaczony normalnie na oficjalne okazje w rodzaju pogrzebów, i biorę do ręki aktówkę, którą kupiłem w sklepie ze starociami. Tyle że wcale nie wybieram się wtedy do szkoły.

Ćwiczę bycie dorosłym – udaję, że idę do pracy.

Jakieś dwie przecznice przed stacją metra dołączam do tłumu ludzi w garniturach, idących z kołyszącymi się aktówkami w dłoniach.

Tak długo wpatrywałem się w ich puste spojrzenia, że potrafię je nieźle naśladować.

Maszeruję niczym żołnierz, imitując ich krok, kołysząc pustą teczką dokładnie tak jak oni – przypomina to niemal krok defiladowy.

Przed stacją wrzucam monety do dystrybutora i wyciągam staromodne papierowe wydanie gazety, które wtykam pod ramię, żeby wyglądać tak jak oni.

Kupuję bilet w automacie.

Zjeżdżam na dół ruchomymi schodami.

W oczekiwaniu na pociąg stoję na peronie z nieruchomą twarzą jak jakiś zombie.

Wiem, że to zabrmi niestosownie, ale kiedy zakładam pogrzebowy garnitur, idę na stację metra i udaję pracownika jadącego do miasta, przypominają mi się hitlerowskie pociągi, które w czasie drugiej wojny światowej wywoziły Żydów do obozów śmierci. Opowiedział nam o nich Herr Silverman. Wiem, że to okropne skojarzenie, może nawet obraźliwe, ale stojąc na peronie otoczony ludźmi w garniturach, czuję się, jakbym czekał na pociąg, który zabierze mnie do jakiegoś potwornego miejsca, gdzie nastąpi koniec wszystkiego, co dobre, gdzie rozpocznie się niedola trwająca całe wieki – a to

kojarzy mi się, może i brzydko, z tymi straszliwymi historiami z lekcji o Holokauście.

Bo przecież to my wygraliśmy drugą wojnę światową, prawda?

Tymczasem dorośli ze stacji metra – synowie, córki i wnuki naszych bohaterów z drugiej wojny światowej – wsiadają do metaforycznych pociągów śmierci, mimo że dawno temu pokonaliśmy faszystów, a każdy Amerykanin może dzięki temu robić, co tylko mu się żywnie podoba w naszym rzekomo wspaniałym i wolnym kraju. Dlaczego nie korzystają z wolności, aby robić rzeczy, które dawałyby im szczęście?

Kiedy pociąg wjeżdża na stację, stado szybko do niego wskakuje – zupełnie jakby od długiego czasu tkwili zanurzeni pod wodą, a w wagonach mogli zaczerpnąć powietrza.

Nikt nie rozmawia.

Zawsze panuje cisza.

Żadnej muzyki ani nic takiego.

Nikt nie mówi: „Jak ci minął wieczór?” albo „Opowiedz mi o swoich marzeniach i aspiracjach”. Nikt nie opowiada dowcipów, nie pogwizduje, nie robi niczego, co rozluźniłoby atmosferę i uprzyjemniło dojazd do pracy.

Przyznaję, że nie cierpię dzieciaków z mojej szkoły, ale one w takiej sytuacji sprawiałyby przynajmniej wrażenie żywych istot. Opowiadałyby dowcipy, śmiały się, obmacywały, planowały imprezy, omawiały jakieś głupoty, które obejrzały poprzedniego wieczoru w telewizji, wysyłały SMS-y, śpiewały, może nawet coś gryzmoliły – robiły milion różnych rzeczy.

Tymczasem dorośli w garniturach nieruchomo siedzą albo stoją, czasami z ponurymi minami czytają gazety, ze złością stukają w ekrany smartfonów, popijają wrzącą kawę z jednorazowych kubków i rzadko kiedy w ogóle mrugają oczami.

Obserwując ich, wpadam w przygnębienie i myślę sobie, że nie chciałbym nigdy wydorosnąć. Że dokonałem wyboru najlepszego z możliwych, decydując się na użycie walthera P38. Że oszczędzę sobie w ten sposób straszliwego losu, że pójdę w ślady Żydów, którzy zabijali swoich synów i córki, zanim

hitlerowscy żołnierze zdążyli ich zabrać do obozów, gdzie prowadzono makabryczne eksperymenty na ludziach.

Herr Silverman kazał nam napisać wypracowanie w pierwszej osobie z perspektywy osoby żydowskiego pochodzenia żyjącej w czasach Holokaustu. Wcieliłem się w ojca, który zabija żonę i dzieci, a potem siebie, aby uniknąć wywózki do obozu koncentracyjnego. Było to dość ponure zadanie, ale napisanie takiego wypracowania przyszło mi niespodziewanie dość łatwo. Mój bohater był dobrym człowiekiem, który kochał swoją rodzinę – kochał ją tak bardzo, że za wszelką cenę chciał jej oszczędzić cierpień z rąk nazistów. Wypracowanie napisałem w formie listu wyrażającego skruchę. Bezimienny narrator nadał mu postać modlitwy, w której prosił swojego boga o wybaczenie za to, co musiał zrobić. Praca okazała się wyjątkowo autentyczna. Herr Silverman przeczytał nawet na głos kilka fragmentów na lekcji i powiedział, że jak na swój wiek jestem nadzwyczaj „empatyczny”.

Nasłuchałem się potem najróżniejszych rzeczy, bo koledzy obgadywali mnie szeptem. Twierdzili, że usprawiedliwiam mordowanie dzieci i akt samobójstwa, z czym oni się nie zgadzali, ponieważ są rozpuszczonymi nastolatkami żyjącymi w Ameryce na początku dwudziestego pierwszego stulecia. Nigdy nie musieli podejmować prawdziwych decyzji. Wiodą proste, nijakie życie. Nie przebudzili się.

Herr Silverman wciąż zmusza nas do refleksji, czy zdajemy sobie sprawę, jak bardzo nasze życie jest zdeterminowane przez to, że urodziliśmy się w Stanach Zjednoczonych osiemnaście lat temu. Skąd wiemy, jak byśmy postąpili na miejscu niemieckiej młodzieży w czasie drugiej wojny światowej, kiedy dzieci masowo zapisywały się do Hitlerjugend?

Ja na przykład potrafię uczciwie przyznać, że nie mam pojęcia.

Moi zidiociali koledzy z klasy oświadczyli, że przeciwstawiliby się nazistom i własnoręcznie zamordowali Hitlera, mimo że brakuje im jaj i rozumu, aby przeciwstawić się choćby żalonym, służalczym wobec systemu nauczycielom

i zrobiałym rodzicom.

Barany.

Przykład: Herr Silverman postanawia zadać nam intelektualnego bobu i oświadcza na forum klasy: „W zasadzie wszyscy nosicie podobne ubrania. Rozejrzyjcie się po sali, a zauważycie, że to prawda. Teraz niech każdy wyobrazi sobie, że jako jedyny ma na sobie ubranie pozbawione jakiegoś modnego wzoru. Jak byście się wtedy czuli? Zawijas Nike, trzy paski Adidasa, mały gracz polo na koniu, mewa Hollistera – symbole filadelfijskich drużyn sportowych, nawet nasza szkolna maskotka zdobiąca stroje, które zakładacie na mecze z drużynami innych szkół – niektórzy z was noszą naszego Mustanga nawet w te dni, kiedy nie przewidziano rozgrywek sportowych. Za pomocą tych symboli chcecie pokazać, że wasza tożsamość nie odbiega od tożsamości innych osób. Na bardzo podobnej zasadzie funkcjonowała nazistowska swastyka. W naszej szkole panuje bardzo duża swoboda w kwestii ubioru, a mimo to większość z was ubiera się w zasadzie identycznie jak inni. Dlaczego? Być może staracie się zanadto nie odbiegać od normy. Czy nie zaczęlibyście nosić strojów z symbolami władzy federalnej, gdyby nagle stało się to ważne albo normalne? Gdyby zostało odpowiednio wypromowane? Gdyby te symbole naszywano na ubraniach najdroższych marek? Gdyby nosiły je gwiazdy filmowe? Prezydent Stanów Zjednoczonych?”.

Tego rodzaju wywrotowe wypowiedzi Herr Silvermana wzbudzają gniew we wszystkich głupawych dzieciakach z mojej klasy, które czerwienieją na twarzach, a nawet są gotowe rzucić się na niego z pięściami, bo nie rozumieją, że nasz nauczyciel próbuje jedynie zmusić je do myślenia. Nie twierdzi, że noszenie ubrań z symbolami marek jest złe. Albo że kupowanie ciuchów marki Polo robi z człowieka nazistę. Że noszenie czapki z logo drużyny baseballowej Philadelphia Phillies dzieli jeden krok od faszyzmu.

W takich sytuacjach zawsze chce mi się śmiać, bo akurat ja nie noszę markowego syfu, nie uprawiam sportu, nie kibicuję żadnej popularnej drużynie i za żadne skarby świata nie

tknąłbym się ubrania z naszą badziwną szkolną maskotką. Nie mam odruchu stadnego. Nie lubię należeć do żadnej grupy. Nie mam nawet konta na Facebooku.

Ilekcroć Herr Silverman porusza temat symboli, z przyjemnością obserwuję, jak reszta klasy zwija się z zakłopotania. Zaczynają się bronić, nie dostrzegając, że wychodzą na cholernych hipokrytów.

Może po prostu, jeżeli można tak powiedzieć, wyrastam ponad swój wiek.

Reszta klasy to zakłamanie mały.

DZIEWIĘĆ

Ubrany w pogrzebowy garnitur jeżdżę metrem, udając szarego człowieka zmierzającego do pracy. Zawsze wybieram sobie ofiarę – najsmutniejszą osobę, jaką zdołam wypatrzeć. Wsiadam na tym samym przystanku co ona i ją śledzę.

W dziewięćdziesięciu dziewięciu procentach przypadków ofiara znajduje się w stanie takiego odrętwienia, że w ogóle mnie nie zauważa.

Trzymam się metr, dwa za ofiarą, a ona zawsze idzie bardzo szybko, ponieważ zawsze jest spóźniona, zawsze śpieszy się do pracy, której oczywiście nienawidzi, czego zupełnie nie potrafię pojąć¹⁸.

Podążając za ofiarą, udaję, że posiadam zdolności telepatyczne. W głowie przemawiam – myślę? – do ofiary: „Nie rób tego. Nie idź do pracy, której nienawidzisz. Poświęć dzisiejszy dzień na coś, co naprawdę uwielbiasz robić. Przejeźdź się kolejką górską. Popływaj nago w oceanie. Pojeźdź na lotnisko i dla zabawy wsiądź do pierwszego lepszego samolotu. A może zatrzymaj palcem wirujący globus i zaplanuj wycieczkę w to miejsce; jeżeli trafisz w środek oceanu, zawsze możesz tam dopłynąć statkiem. Zjedz jakąś potrawę z kuchni regionalnej, której nie znasz. Zatrzymaj nieznaną kobietę na ulicy

¹⁸ Podobnie jak Linda, która rzekomo UWIELBIA, UWIELBIA, UWIELBIA projektowanie ubrań, ale przy każdej okazji narzeka na swoją pracę i się nią stresuje. Jak może uwielbiać zajęcie, które tak bardzo ją unieszczęśliwia i trzyma ją z dala od jedyne go syna? Być może stres i nieustanne narzekanie zapewniają jej odrobinę wytechnienia od bycia matką Leonarda Peacocka? Sam już nie wiem, choć kiedy o tym myślę, robi mi się smutno. Zwłaszcza że Linda została projektantką mody tuż po tym, jak próbowałem jej opowiedzieć o złych rzeczach, które zdarzyły się z Asherem. Zupełnie jakby moja nieudana spowiedź ją odstraszyła i uczyniła mnie odrażającym.

i poproś, aby opowiedziała ci o swoich największych lękach, skrywanych w tajemnicy nadziejach i pragnieniach, a kiedy to zrobi, wyjaśnij, że pytałeś, bo interesuje cię jako człowiek. Usiądź na chodniku i narysuj coś kolorową kredą. Zamknij oczy i spróbuj zobaczyć świat za pomocą nosa – niech węch stanie się twoim wzrokiem. Porządnie się wyśpij. Zadzwoń do starego przyjaciela, z którym nie widziałeś się kopę lat. Podwiń nogawki spodni i wejdź do morza. Obejrzyj zagraniczny film. Nakarm wiewiórki. Zrób coś! Cokolwiek! Rewolucja rozpoczyna się od ciągu pojedynczych decyzji, od kolejnych wdechów i wydechów. Tylko, proszę, nie wracaj do tego ponurego miejsca, do którego codziennie przychodzisz. Pokaż mi, że człowiek może być jednocześnie dorosły i szczęśliwy. Błagam! Żyjemy w wolnym kraju. Jeśli nie masz na coś ochoty, nie musisz tego robić. Możesz robić, cokolwiek chcesz. Być, kimkolwiek chcesz. Tego właśnie uczą nas w szkołach, ale jeżeli ty nadal będziesz wsiadał do metra i przyjeżdżał do zniechęconego miejsca, nie pozostanie mi nic innego, jak dojść do wniosku, że nauczyciele kłamią – podobnie jak naziści, którzy zapewniali Żydów, że przenoszą ich do fabryk. Nie rób nam tego. Powiedz prawdę. Jeżeli dorosłość oznacza wykonywanie do końca życia niewolniczej pracy, której człowiek serdecznie nienawidzi; rozwód z mężem, który potajemnie wdał się w afery kryminalne; rozczarowanie własnym synem; życie w stresie i przygnębieniu; związek z jakimś pozerem¹⁹ i samooszukiwanie się, że jest idolem, a nie naprawdę podłym człowiekiem, co dostrzega każdy, kto uściśnął jego oślizgłą dłoń²⁰ – jeżeli nie należy spodziewać się

19 Który prawdopodobnie za twoimi plecami grzmoci się z setkami innych kobiet, ponieważ jest ważną postacią w światku projektantów mody i może sobie na to pozwolić. A, powiedzmy sobie uczciwie, ludzie ze światka projektantów mody zazwyczaj nie są filantropami ani kandydatami do Pokojowej Nagrody Nobla.

20 Herr Silverman powiedział nam, że Żydówki zamknięte w hitlerowskich obozach śmierci często zmuszono do uprawiania seksu z niemieckimi oficerami (być może podobnymi do właściciela mojego walthera P38), co pozwalało im przeżyć i zdobyć przywileje dla siebie i członków rodziny. Kiedy to usłyszałem, zacząłem się zastanawiać, czy

niczego lepszego, chcę to wiedzieć już teraz. Po prostu mi powiedz. Oszczędź mi tego cholernego losu. Błagam”.

Telepatyczny monolog trwa około dziesięciu minut, podczas których ofiara opuszcza schodami przystanek metra i podąża między drapaczami chmur, aby w końcu zniknąć w jakimś biurowcu, którego wejścia pilnuje strażnik mający uniemożliwić dostanie się do środka takim wariatom jak ja²¹.

Idę wtedy do najbliższego parku, siadam i otoczony gołębiami wpatruję się w chmury do czasu, gdy mój dzień pracy dobiega końca i przychodzi czas na powrót do domu wraz z innymi umęczonymi mężczyznami i kobietami, którzy podczas popołudniowej podróży powrotnej przedstawiają jeszcze bardziej ponury widok.

Podróż powrotna zawsze wprawia mnie w jeszcze większe przygnębienie, ponieważ jadę otoczony wolnymi ludźmi – wyszli właśnie z pracy i wracają do rodzin, które sami sobie stworzyli – a mimo to wciąż nie wyglądają na radosnych.

Zawsze się zastanawiam, czy tak samo wygląda Linda, kiedy jedzie samochodem z Nowego Jorku do domu: pogrążona w bezbrzeżnym przygnębieniu, siedząca z nieruchomą twarzą, zdradzona.

Czy przypomina matkę potwora?

Linda nie odbywa stosunków płciowych z Jeanem-Lukiem, aby podtrzymać swoją karierę w świecie mody. (Herr Silverman twierdzi, że wśród niewolników seksualnych były również dzieci w naszym wieku).

21 Ciekawe, że biurowce w mieście mają strażników, a moja szkoła nie ma. Kto wie, czy to się nie zmienia po dzisiejszych wydarzeniach. Dlaczego chroni się dorosłych, a nie dzieci?

DZIESIĘĆ

Odbyłem kilkadziesiąt treningów z dorosłości, śledziłem kilkadziesiąt ofiar w garniturach, ale tylko jedna mnie zauważyła.

Była to piękna kobieta, która, choć większa część trasy metra przebiega pod ziemią, miała na sobie wielkie okulary przeciwsłoneczne w stylu lat siedemdziesiątych. Na jej policzku zauważyłem strużkę potu wymieszanego z tuszem do rzęs, ale pominiawszy ten fakt, kobieta była naprawdę piękna. Tak piękna, że mnie do pewnego stopnia pociągała.

Długie włosy w kolorze jasny blond.

Czerwona szminka.

Czarne pończochy.

Szara garsonka w cienkie prążki.

Bez wątpienia zajmowała jakieś kierownicze stanowisko: wystarczyło spojrzeć, jak usiadła i obrzuciła wszystkich ostrym spojrzeniem, jakby wyzywała ich, aby odważyli się skomentować wpadkę z tuszem. Wzbudzała lęk i wysyłała zdecydowany komunikat: „Lepiej ze mną nie zadzieraj”.

A jednak była tamtego dnia najbardziej nieszczęśliwą osobą w metrze. Coś ją wyraźnie trapiło, choć gdyby ktokolwiek odważył się odezwać, rozerwałaby go na strzępy.

Inni dorośli udawali, że jej nie dostrzegają, co uznałem za przejaw tchórzostwa.

Oczywiście obrałem ją sobie za ofiarę, wysiadłem na tym samym przystanku co ona i zacząłem ją śledzić.

Pamiętam stukot jej obcasów na betonie, przypominający wystrzał z pistoletu kapiszonowego.

Wyszła ruchomymi schodami, a ja z całych sił próbowałem za nią nadążyć.

Kiedy pokonaliśmy obrotową bramkę, rozpocząłem telepatyczną transmisję, mówiąc (myśląc?): „Nie rób tego. Nie idź do pracy, której nienawidzisz. Skocz na spadochronie. Kup gwiazdę przez internet. Zaadoptuj kota”. Kontynuowałem ten zwyczajowy monolog mniej więcej przez jedną przecznicę. Kobieta skręciła w boczną uliczkę, a kiedy pokonaliśmy połowę odległości do kolejnego skrzyżowania, odwróciła się i sprawnym ruchem podetknęła mi pod twarz spray z gazem łzawiącym.

– Kim jesteś i dlaczego mnie śledzisz? – zapytała. – Gorzko tego pożałujesz. Trzymam w ręku sprzęt najwyższej klasy. Nielegalny w Stanach Zjednoczonych. Wystarczy, że nacisnę ten guzik, a nie zobaczysz niczego przez kilka ładnych miesięcy. Albo trwale oślepniesz.

Nie wiedziałem, co odpowiedzieć, więc tylko uniosłem ręce do góry. Tak samo robią bandyci w filmach, ilekroć bohater pokroju Bogarta wyceluje z pistoletu i powie: „Rączki do nieba”.

Zaskoczyłem ją. Zrobiła krok w tył, ale nie spryskała mnie sprayem.

– Ile masz lat? – spytała.

– Siedemnaście – odpowiedziałem.

– Jak się nazywasz?

– Leonard Peacock.

– Nigdy nie słyszałam równie fikcyjnego imienia i nazwiska.

– Mogę pani pokazać legitymację szkolną.

– Pokazuj, ale bardzo powoli. Spróbuj czegoś głupiego, to spryskam cię prosto w rogówkę.

Opuściłem ręce w superspowolnionym tempie.

– Trzymam ją w wewnętrznej kieszeni marynarki – wyjaśniłem. – Mogę sięgnąć?

Skinęła głową, a ja wyjąłem legitymację.

Wzięła ją ode mnie i spojrzała na moje dane.

– Niech mnie diabli wezmą! – powiedziała. – Rzeczywiście nazywasz się Leonard Peacock. Cóż za idiotyczne nazwisko.

– Dlaczego pani płacze?

Zauważyłem, że palec spoczywający na sprayu drgnął,

i pomyślałem, że dostanę gazem łzawiącym, ale ona tylko włożyła moją legitymację do torebki.

– Po co mnie śledziłeś? – spytała ponownie. – No słucham! Ktoś ci zapłacił? Czego chcą?

– Nie. Zupełnie nie o to chodzi.

Przysunęła gaz kilkanaście centymetrów bliżej mojej twarzy i wycelowała w lewe oko.

– Nie próbuj mnie robić w chuja, Leonardzie Peacocku. Brian cię nasłał? No, słucham! Odpowiadaj!

Ponownie podniosłem rękę.

– Nie znam żadnego Briana – zapewniłem. – Jestem tylko głupim dzieciakiem. Raz na jakiś czas zakładam garnitur, idę na wagi i badam, jak wygląda życie dorosłego człowieka. Rozumie pani? Po prostu chcę wiedzieć, czy warto w ogóle dorastać. To wszystko. Potem śledzę najżałośniej wyglądającego dorosłego, bo wiem, że pewnego dnia sam znajdę się w jego położeniu: będę najżałośniejszym dorosłym w wagonie metra. Chcę się dowiedzieć, czy zdołam to wytrzymać.

– Wytrzymać co? – spytała.

– Bycie żalosnym dorosłym.

Opuściła gaz.

– Naprawdę?

Pokiwałem głową.

– Jesteś wariatem, prawda?

Ponownie pokiwałem głową.

– Ale nie jednym z tych niebezpiecznych, prawda? Tylko łagodnym jak baranek.

Pokręciłem głową, ponieważ nie zamierzałem jeszcze wtedy nikomu wyrządzać krzywdy. A potem pokiwałem głową, ponieważ nie byłem wtedy wilkiem ani lwem, ani inną drapieżną istotą.

– W porządku – powiedziała. – Lubisz kawę?

JEDENAŚCIE

Zaprowadziła mnie do baru nieopodal zaułka, gdzie ukradła moją legitymację szkolną. W lokalu przeważali starsi ludzie, zajadali się preclami i siorbali kawę.

Zacząła opowiadać, że jest strasznie zestresowana, bo pracuje z nią taki jeden Brian, z którym się raz puknęła, a on teraz wykorzystuje to przeciwko niej, bo oboje chcą awansować na to samo stanowisko. Jej matka umiera w hospicjum gdzieś w New Jersey, a ona właśnie tam spędziła poprzednią noc. Chciała zostać u boku matki, ale zdawała sobie sprawę, że – choć nikt nie powiedziałby złego słowa, gdyby towarzyszyła matce do końca – Brian wykorzystałby jej nieobecność do zdobycia posady, o którą się oboje ubiegają.

A przynajmniej tak zrozumiałem całą opowieść.

Z jej ust wylewał się potok niewyraźnych słów, zupełnie jakby była pijana. Wymachiwała rękami i wciąż miała na nosie okulary przeciwsłoneczne, mimo że znajdowaliśmy się w barze. Mówiła przez godzinę, a ja zacząłem podejrzewać, że jest straszną kłamczuchą, ponieważ gdyby rzeczywiście zostawiła umierającą matkę, aby wrócić do pracy, czy naprawdę marnowałaby czas na siedzenie ze mną w tym cholernym barze? Czy Brian nie wykorzystałby jej nieobecności – niezależnie od powodu?

Rozmyślałem właśnie nad tym, kiedy zapytała:

– No i czego się nauczyłeś, łażąc za dorosłymi? Szpiegując nas.

– Sam nie wiem.

– Nie okłamuj mnie. Jesteś mi winny wyjaśnienie, Leonardzie Peacocku.

Przelknąłem ślinę.

– Jeszcze nie skończyłem badań i właśnie dlatego za panią

dziś szedłem.

– A czego nauczyłeś się dziś ode mnie?

– Szczerze?

Skinęła głową. Powiedziałem jej więc:

– Wygląda pani na bardzo nieszczęśliwą osobę. Większość ludzi, za którymi chodzę, tak wygląda. Zupełnie jakby nie lubili swojej pracy i nie lubili wracać do domu. Zupełnie jakby nienawidzili każdego aspektu swojego życia.

Zaśmiała się.

– I musiałeś jeździć metrem, żeby do tego dojść?

– Miałem nadzieję, że się mylę – wyjaśniłem.

– A nie jest tak, że wszyscy twoi koledzy w szkole również sprawiają wrażenie nieszczęśliwych? Nienawidziłam szkoły średniej. NIENAWIDZIŁAM jej!

– Większość sprawia wrażenie nieszczęśliwych – przyznałem. – Choć z całej siły próbują to ukryć. Ale dzieci ukrywają to lepiej niż dorośli, prawda? Mam taką teorię, że z wiekiem tracimy zdolność do bycia szczęśliwym.

Uśmiechnęła się.

– Skoro wszystko już przemyślałeś, po co chodzisz za dorosłymi?

– Jak wspomniałem, miałem nadzieję, że dla niektórych życie staje się z upływem czasu lepsze i że nawet ci najbardziej nieszczęśliwi, jak pani czy ja, są w stanie czerpać przyjemność przynajmniej z niektórych aspektów dorosłości. Jak w tych reklamach, gdzie geje opowiadają o tym, jak znęcano się nad nimi w szkole średniej, ale potem dorośli i odkryli, że życie jest cudowne. Twierdzą, że z czasem jest lepiej. Chciałbym wierzyć, że ludzie melancholijni mają przynajmniej szansę na szczęście w dorosłym życiu.

Machnęła ręką, jakby odpędzała moje słowa.

– Wszystkie reklamy kłamią. Życie wcale nie staje się łatwiejsze. Dorosłość to piekło. Kłamstwem było również wszystko, co powiedziałam ci o sobie. Chciałam sprawdzić, kim jesteś, bo podejrzewałam, że zapłacili ci, żebyś mnie szpiegował. Ale to ja wyszłam na idiotkę, bo okazałeś się szalonym, godnym pożałowania, niedożywionym uczniem

szkoły średniej, który włóczy się po ulicach za przypadkowymi ludźmi. To chore. Zboczone. Zatrzymuję twoją legitymację, a jeśli jeszcze raz cię zobaczę, wniosę oskarżenie do sądu i uzyskam zakaz zbliżania się.

Wstała i spojrzała na mnie groźnie zza swoich wielkich okularów przeciwsłonecznych.

– Ten chujek włazi za kobietami w ciemne zaułki i zadaje im intymne pytania. To najzwyklejszy zboczeniec. Róbcie z nim, co chcecie – powiedziała głośno do wszystkich jedzących śniadanie, po czym jej obcasy wymaszerowały z kawiarni: STUK! STUK! STUK! STUK!

Widziałem, że wszyscy na mnie patrzą, więc wzruszyłem ramionami i mruknąłem (zbyt donośnie):

– Kobiety!

Ten żart miał rozładować napięcie, ale nie zadziałał. Wszyscy²² w barze spoglądali na mnie z dezaprobatą.

Doszedłem do wniosku, że natrafiłem na osobę obłąkaną. Po prostu obrałem sobie za cel *femme fatale*, a niewątpliwie istniały lepsze obiekty do obserwacji, pogodniejsi dorośli melancholicy. Ją należało potraktować jako wpadkę – problem w tym, że do pewnego stopnia przypominała Lindę, która również uważa mnie za zboczeńca.

Słowa wypowiedziane przez kobietę w okularach przeciwsłonecznych w stylu rodem z lat siedemdziesiątych były tak przykre, tak publiczne, a może i tak prawdziwe, że jeszcze w barze zacząłem płakać, przez co musiałem naprawdę przypominać zboczeńca.

No, nie rozkleiłem się może zupełnie.

Zdołałem jakoś ukryć sam płacz, ale zaczęły mi drżeć usta, oczy się zaszklily i musiałem je otrzeć rękawem.

– NIE JESTEM ŻADNYM PIEPRZONYM ZBOCZEŃCEM! – wrzasnąłem do gapiących się na mnie ludzi, choć nie bardzo wiem dlaczego.

Słowa w zasadzie same wystrzeliły z moich ust.

NIE!

JESTEM!

²² Wszyscy dorośli.

ŻADNYM!
PIEPRZONYM!
ZBOCZEŃCEM!

Wszyscy się skrzywili.

Kilka osób wetknęło pieniądze pod talerz lub sztucce i wyszło mimo niedokończonego posiłku.

Z zaplecza wyłonił się kucharz, przerośnięty wytatuowany mięśniak.

– Najlepiej będzie, jak zapłacisz rachunek i sobie pójdziesz, mały. Okej?

Widziałem, że jak zwykle to ja jestem problemem – sytuacja w barze wróci do normy, kiedy tylko stamtąd zniknę – więc wyjąłem portfel i oddałem im wszystkie swoje pieniądze, mimo że wypiliśmy z kobietą tylko po kawie.

– Nie jestem zbrodnicem – powtórzyłem normalnym głosem.

Nikt nie nawiązał ze mną kontaktu wzrokowego, nawet kucharz, który wpatrywał się w pieniądze, być może sprawdzając, czy nie są fałszywe. Właśnie wtedy zrozumiałem, że prawda zazwyczaj nie ma znaczenia, a kiedy ludzie nabiorą fałszywego przekonania na czyjś temat, nie zmieniają zdania niezależnie od poczynań tej osoby.

Dlatego nie czekałem na resztę.

Zmyłem się.

Poszedłem do parku, siedziałem wpatrzony w kiwające głowami gołębie i czułem się tak potwornie samotny, że pragnąłem, aby ktoś wbił mi nóż między żebra i ukradł mój pusty portfel.

Wyobraziłem sobie, że cała krew z mojego ciała wypływa na śnieg i przybiera piękny karmazynowy odcień, a filadelfijczycy mijają mnie w wielkim pośpiechu i nawet nie przystają, aby nacieszyć oczy pięknem czerwonego śniegu, ani nie zauważają, że jakiś dzieciak ze szkoły średniej umiera dosłownie tuż obok.

Z jakiegoś powodu ta myśl pozwoliła mi się rozpozgodzić, nawet uśmiechnąć.

Nie potrafiłem zdecydować, czy wolę, aby mama obłąkanej kobiety w okularach w stylu z lat siedemdziesiątych skołała

w straszliwych, przerażających męczarniach, czy przeżyła i zaczęła zdrowieć – a nawet młodnieć: obie mogłyby zacząć się starzeć w przeciwną stronę i dojechać w ten sposób do czasów dzieciństwa – nawet jeśli moja *femme fatale* prawdopodobnie zmyśliła w całości opowieść o umierającej matce, żeby mi zamieszać w głowie. Niemniej matkę mieć musiała, a ona albo już nie żyła, albo była starsza. Podobała mi się myśl, że obie, zamiast się starzeć, młodnieją, nawet jeśli na to nie zaskugiwały.

To był przedziwny dzień. Miałem poczucie, jakbym występował w jednym z czarno-białych filmów z Bogartem, gdzie kobiety są szalone, a mężczyźni płacą pokązną emocjonalną cenę za kontakty z „płcią piękną”, jak mawia Walt.

Pamiętam, że po spotkaniu z kobietą w okularach przeciwsłonecznych w stylu lat siedemdziesiątych wagarowałem cztery dni, byśmy mogli z Waltem naogłądać się starego dobrego Bogarta i utrzymać ład w czarno-białej krainie Hollywoodu.

Szkoła zadzwoniła sto milionów razy, zanim Linda odsłuchiwała z Nowego Jorku automatyczną sekretarkę²³, i, tu trzeba oddać jej sprawiedliwość, jeszcze tamtego wieczoru kazała szoferowi zawieźć się do domu. Została dzień lub dwa, ponieważ naprawdę mocno mi wtedy odbiło – milczałem i pogrążony w depresji wpatrywałem się w ściany; wpychałem sobie nasady dłoni w oczy z taką siłą, aż wydawało się, że zaraz wyskoczą.

Każda normalna matka zabrałaby mnie do psychologa albo przynajmniej lekarza – ale nie Linda. Słyszałem, jak w rozmowie telefonicznej ze swoim francuskim chłopakiem stwierdziła: „Nie pozwolę, żeby jakiś terapeuta zaczął mnie obwiniać za problemy Lea”. Właśnie wtedy zrozumiałem, że jestem zdany tylko na siebie – Linda na pewno mnie nie

²³ Automatyczna sekretarka w 2011 roku? Że co? Smutne, ale prawdziwe. Linda nie lubi podawać numeru swojej komórki „ludziom spoza branży”, na przykład pracownikom szkoły średniej, ponieważ uważa się za Donatellę Versace.

uratuje.

A jednak jakoś się pozbierałem.

Zacząłem mówić, wróciłem do szkoły i z olbrzymią ulgą przyjąłem wyjazd Lindy.

Świat mody wzywał.

A ponieważ obfitował w haleczki na ramiączkach²⁴ z wbudowanymi biustonoszami, oczywiście rozumiałem jej pragnienie zmycia się do Nowego Jorku.

A życie toczyło się dalej.

²⁴ Skąd nastoletni chłopiec wie o takich rzeczach? Cztery słowa: matka będąca projektantką mody.

DWANAŚCIE

Wchodzę na fakultet z angielskiego w połowie lekcji i pani Giavotella wpatruje się we mnie w milczeniu przez jakieś siedem minut.

– Jak miło, że pan do nas dołączył, panie Peacock – mówi w końcu. – Proszę do mnie podejść po lekcji.

Nauczycielka prowadząca fakultet z angielskiego przypomina z wyglądu kulę armatnią. Jest niska, okrągła i ma tak krótkie kończyny, że zawsze się zastanawiam, czy potrafi dotknąć ręką czubka głowy. Nigdy nie nosi spódnic ani sukienek, chodzi w spodniach z wypchanymi kieszeniami, które wyglądają, jakby miały się zaraz rozedrzyć, oraz w obszernej bluzce, która zwisa niemal do kolan, zakrywając wystający brzuch. Nad jej ustami zawsze zbiera się wianuszek kropli potu.

Kiwam głową i siadam na swoim miejscu.

Zawodnik drużyny futbolowej, zupełnie niepasujący do fakultetu z angielskiego troglodyta, który siedzi w ławce za mną, strąca mi z głowy kapelusz Bogarta i zanim zdążę go ponownie założyć, wszyscy mają okazję zobaczyć moją nową schrzanią fryzurę.

– Co to, u...? – szepcze Kat Davis, a jej reakcja uświadamia mi, że wyglądam gorzej, niż to sobie wyobrażałem.

Pani Giavotella ma taki wyraz twarzy, jakby nagle zaczęła się o mnie niepokoić, więc posyłam jej spojrzenie mówiące: „Proszę, niech pani wróci do prowadzenia lekcji, żeby wszyscy przestali się na mnie gapić, ponieważ jeżeli pani tego nie zrobi, wyciągnę z plecaka walthera P38 i zacznę strzelać”.

– Panie Adams – nauczycielka zwraca się do dzieciaka siedzącego za mną. – Gdyby był pan Dorianem Grayem, gdyby istniał obraz zmieniający się pod wpływem pańskich poczynań,

co by ten obraz obecnie przedstawiał?

– Nie strąciłem kapelusza Leonarda, jeżeli to pani sugeruje. Sam go sobie strącił. Widziałem, jak to robił. Nie zrobiłem nic złego.

Pani Giavotella przygląda mu się przez chwilę i widzę, że mu wierzy. Potem przenosi spojrzenie na mnie, jakby rozważała, czy rzeczywiście sam strąciłem kapelusza.

– Dlaczego miałbym sobie sam strącić kapelusza? – bronię się. – Jaki miałbym w tym cel?

– Dlaczego przeszkadzasz mi w lekcji, spóźniając się? – pyta, po czym posyła mi to charakterystyczne, godne pożałowania spojrzenie, które ma mnie przestraszyć i spacyfikować. Normalnie pewnie by zadziałało, ale dziś mam w plecaku walthera P38, co sprawia, że nie dam się nikomu spacyfikować.

– No dobrze – stwierdza pani Giavotella. – Wracamy do Doriana Graya.

Niespecjalnie wsłuchuję się w dyskusję poświęconą obrazowi przedstawiającemu postać, która szpetnieje, w miarę jak jej pierwowzór staje się coraz bardziej zepsuty, podczas gdy w magiczny sposób ani trochę się nie starzeje. Książka wydaje się interesująca i zapewne bym ją przeczytał, ale co chwila pochłaniam po raz kolejny *Hamleta*. Gdybym dziś po południu nie zamierzał zastrzelić Ashera Beala i popełnić samobójstwa, prawdopodobnie w następnej kolejności przeczytałbym *Portret Doriana Graya*. Podobało mi się wszystko, co przerabialiśmy w tym roku z panią Giavotellą, mimo że w kółko opowiada o kretańskim egzaminie na zakończenie fakultetu z angielskiego i częściej, niż powinna, wymachuje nam przed nosem marchewką – perspektywą zaliczenia awansem kursów uniwersyteckich. To niemal obsceniczne.

Przysłuchując się dzisiejszym zajęciom z angielskiego, dochodzę do wniosku, że moi koledzy podnoszą ręce i podlizują się pani Giavotelli po to, by dała im piątkę, co pomoże im się dostać na Harvard, Princeton, Stanford czy gdziekolwiek, cholera, zechcą. Piątka od pani Giavotelli będzie pasowała do ich kłamstw na temat ich rzekomej pracy na rzecz społeczności lokalnej oraz esejów poświęconych niedoli biednych dzieci

z mniejszości etnicznych, których w rzeczywistości nigdy nie spotkają, albo planom uratowania świata za pomocą wielkiej empatii i wykształcenia uzyskanego na prestiżowym uniwersytecie.

– Pamiętajcie, aby w esejach dołączonych do podania zająć się tematem ratowania świata – przypomina pani Giavotella.

Gdyby moi koledzy wkładali tyle wysiłku w naprawianie lokalnej społeczności, co w proces składania podań na uniwersytet, nasze miasto zamieniłoby się w krainę mlekiem i miodem płynącą.

Pozory, pozory.

Wielka fasada.

Jak być ślepcem w mieście ślepców. Kurs wprowadzający.

Zalewa tu człowieka tak potworna rzeka syfu, że aż trudno się oddycha. Największym plusem samobójstwa jest to, że nie będę musiał iść na jeden z tych fikcyjnych uniwersytetów ani nosić bluz z herbem uczelni, które rzekomo zaświadczać o mądrości ich właściciela. Jestem dumny z tego, że umrę, nie podchodząc do egzaminów końcowych, choć Linda i wszyscy w szkole średniej błagali mnie, żebym zdał ten kretyński test, odkąd kilka lat temu poradziłem sobie znakomicie na próbnym.

Zupełny brak logiki.

Żałość.

Lekcja niespodziewanie się kończy, a ponieważ mam się zgłosić do pani Giavotelli, zostaję w ławce, podczas gdy wszyscy przepychają się w stronę drzwi.

Podchodzi powoli z teatralną powagą, siada na ławce przede mną, opiera stopy na krześle i ściska mocno kolana, dzięki czemu szczęśliwie nie widzę jej mocno napiętego rozporoka.

– Chciałbyś porozmawiać o tym, co się stało z twoimi włosami?

– Niespecjalnie.

– Jesteś pewien?

– Tak.

– No dobrze. Jaki był dokładnie powód twojego spóźnienia?

– Nie wiem.

– Taka odpowiedź nie wystarczy.

– Zamierzam zrezygnować z uniwersyteckiej ścieżki nauczania. Nie musi się pani mną więcej przejmować.

– Wykluczone.

Nie jestem pewien, czego ode mnie chce, więc kieruję wzrok na okno, za którym stoi klon japoński z kilkoma ocalałymi listkami.

– Oceniałam sprawdzian z *Hamleta*. Domyślasz się, jak sobie poradziłeś?

Wzruszam ramionami.

– Napisałeś bardzo interesujące wypracowanie.

Nie odrywam wzroku od tych kilku listków, które drżą przy najmniejszym podmuchu wiatru.

– Oczywiście całkowicie zignorowałeś temat.

– Zadała pani niewłaściwe pytanie – mówię.

– Słucham?

– Proszę się nie obrażać, ale wymyśliła pani niewłaściwy temat wypracowania.

Pani Giavotelli śmieje się z udawanym zdziwieniem.

– I w związku z tym podsunąłeś mi właściwe pytanie.

– Tak.

– Które brzmi...?

– Przeczytała pani moje wypracowanie?

– Naprawdę sądzisz, że Shakespeare próbuje usprawiedliwić samobójstwo? Że cała sztuka jest argumentacją na rzecz odebrania sobie życia?

– Tak.

– Ale Hamlet nie popełnia samobójstwa.

– Naprawdę przeczytała pani moje wypracowanie?

Pani Giavotella wygładza nogawki, pocierając dłońmi uda.

– Zauważyłam – odzywa się po chwili – że na test nie przyniosłeś egzemplarza *Hamleta*. Mimo to w wypracowaniu zamieściłeś obszerne cytaty z dramatu. Czy naprawdę nauczyłeś się na pamięć tyłu fragmentów? Jak to możliwe?

Wzruszam ramionami, bo co to ma do rzeczy? Moją nauczycielkę angielskiego wyraźnie podnieca to, że kształci rzekomo zdolną młodzież, ale sama nie rozumie, co jest naprawdę ważne w powieściach i sztukach, które czytamy. Nie

rozumie również, co jest ważne dla mnie.

– Leonardzie, napisałeś znakomity esej. Być może najlepszy, z jakim zetknęłam się w trakcie dziewiętnastu lat kariery nauczycielskiej. Przeczytałam go kilka razy. Masz znakomity styl. A twoja umiejętność argumentowania... Byłby z ciebie świetny prawnik.

Wpatruję się uparcie w tych kilka ocalałych listków, czekając, aż, jak to zwykle u niej, pochwała zamieni się w naganę.

Kto, do jasnej cholery, chciałby zostać prawnikiem? Spierać się za pieniądze – walczyć o interes strony, w którą się nie wierzy?

Pani Giavotella milknie na chwilę dla lepszego efektu.

– Nie odpowiedziałeś na żadne z prostych pytań w teście wielokrotnego wyboru. Dlaczego?

– Zadała je pani tylko po to, żeby sprawdzić, czy przeczytaliśmy sztukę – wyjaśniam. – Moje wypracowanie stanowi niewątpliwy dowód, że ją przeczytałem, prawda? Wykazałem się biegłą znajomością tematu.

– Prawidłowe odpowiedzi na pytania były warte trzydzieści punktów. Nie wykazałeś się umiejętnością wykonywania prostych poleceń. To umiejętność, która liczy się na moich lekcjach oraz później w życiu. Choćbyś był nie wiem jak inteligentny, po opuszczeniu szkoły średniej będziesz musiał słuchać poleceń.

Wybucham śmiechem, ponieważ o wystawianych przez nią ocenach i przydzielanych punktach rozmawiamy w taki sposób, jakby to było coś realnego. Poza tym świadomość, że wkrótce zabiję Ashera Beala, a potem siebie, dodatkowo pogłębia absurdalność tej rozmowy.

– Nie zależy mi na ocenie. Może mnie pani oblać. To bez znaczenia.

– To bardzo szlachetne, ale musisz myśleć o przyszłości, Leonardzie.

– Uważa pani, że Hamlet zastosowałby się do poleceń, gdyby podszedł do tego testu? Jak pani myśli?

– To naprawdę kiepski argument.

– W takim razie dlaczego zmusza nas pani do uczenia się

o takich postaciach jak Hamlet, o prawdziwych bohaterach, skoro nikt nie oczekuje potem, że będziemy się na nich wzorować? Czy naprawdę mamy tylko przejmować się punktami, podaniami na studia i całą resztą? Robić to, co wszyscy inni?

– Hamlet poszedł na studia – protestuje słabym głosem pani Giavotella, chociaż wie, że mam rację. Wie, że stoi po niewłaściwej stronie barykady.

Uśmiecham się i uparcie patrzę na drzewo za oknem. Pani Giavotella nie ma najmniejszego pojęcia... Nie ma najmniejszego pojęcia, że przyniosłem do szkoły nazistowski pistolet. Jest kobietą o wyjątkowo ograniczonej wyobraźni. Tak na poziomie testów wielokrotnego wyboru. Chce mi się śmiać, kiedy pomyślę, jak głupią mamy nauczycielkę fakultetu z angielskiego.

– Próbowалам skontaktować się z twoją... – zaczyna.

– Udzielę ci ostatecznej odpowiedzi: jestem chory na umyśle – deklamuję teatralnym głosem. – Ale jakoś tam odpowiem, żeby ci sprawić przyjemność, czy raczej, jak mówiłaś, mojej matce. Przejdźmy do sedna sprawy. Moja matka, powiadasz...²⁵

Pani Giavotella wpatruje się we mnie w milczeniu, lekko wystraszona.

– I tu powinna się pani wtrącić jako Rosencrantz – dodaje normalnym głosem, po czym ponownie przechodzę na teatralną mowę: – Królowa zwierzyła nam się, że twoje zachowanie zaskakuje ją i zadziwia²⁶. Cytuję *Hamleta*, zauważyła pani? Bo zauważyła to pani, prawda? Aż tak beznadziejną nauczycielką pani chyba nie jest. No bez przesady!

Jej twarz nieruchomieje, a usta układają się w literę O, zupełnie jakbym wymierzył jej siarczasty policzek.

Po chwili wstaje i podchodzi do swojego biurka.

Widzę, że wypisuje mi zaliczenie.

²⁵ W. Shakespeare, *Hamlet*, [w:] tegoż, *Tragedie i kroniki*, tłum. S. Barańczak, Kraków 2013, s. 324 (przyp. tłum.).

²⁶ Tamże (przyp. tłum.).

Podaje mi je i zmienionym, srogim, obojętnym głosem mówi:
– Ja tylko próbuję ci pomóc, Leonardzie. Cieszę się, że *Hamlet* tak cię zainspirował. Nie zamierzam udawać, że wiem, co się z tobą dzieje, niemniej o twoim dziwnym zachowaniu muszę zawiadomić pedagog szkolną. Chcę, żebyś o tym wiedział. Nie jestem pewna, co zamierzasz w ten sposób osiągnąć, ale wiedz, że jak mogę, staram się być dobrą nauczycielką. Poświęcam dużo czasu i energii na przygotowanie sprawdzianów i lekcji. Wyobraź sobie, że przejmuję się losem wszystkich swoich uczniów. – Szeptem dodaje: – A jak chcesz mi z tego powodu robić wyrzuty, to idź do diabła! – I znacznie głośniej: – Kiedy będziesz gotów na poważną rozmowę, chętnie cię wysłucham. Ale jeżeli jeszcze raz spóźnisz się na moją lekcję, nie wpuszczę cię do klasy. Rozumiemy się?

Spoglądam jej w oczy, widzę drżące powieki. Uświadamiam sobie, że ledwie opuszczę klasę, pani Giavotella się rozplacze. I będzie to jej ostatnie wspomnienie mojej osoby. Nagle robi mi się strasznie głupio. Chętnie wyjąłbym walthera P38 z plecaka i zastrzelił się w toalecie. Gdybym nie musiał dostarczyć trzech pozostałych prezentów i strzelić Asherowi Bealowi w twarz, prawdopodobnie załatwiłbym sprawę od razu i miał to wszystko z głowy.

Trzymam w ręku zaliczenie i teraz to pani Giavotella wpatruje się w niemal całkowicie nagi klon japoński, który rośnie za oknem klasy.

Dlaczego to drzewo przyciąga spojrzenia smutnych ludzi?

Znad zapięcia biustonosza na jej plecach wylewa się zwał ciała, a mnie przychodzi do głowy, że w szkole średniej musiano ją wyzywać od niskich, grubych pasztetów. Prawdopodobnie tak było, przez co mam jeszcze większe wyrzuty sumienia.

– Jest pani dobrą nauczycielką – mówię. – Sam straciłem sobie z głowy kapelusz. Jestem bucem, okej? STRASZNYM bucem. Nie zasługuję na tak dobrą nauczycielkę jak pani. Okej? Proszę się nie przejmować głupotami, które naopowiadałem. Przepraszam, że przeszkodziłem dziś w pani lekcji. Czasem

mówię rzeczy bez zastanowienia. W przyszłości będę odpowiadał na pytania wielokrotnego wyboru, jeżeli pani na tym zależy. Wiem, że wkłada pani wiele pracy w przygotowanie lekcji i...

– Idź już, Leonardzie. Proszę – mówi odwrócona tyłem.

– Wszystko w porządku?

– Chcę, żebyś sobie poszedł – powtarza drżącym głosem.

Więc wychodzę.

TRZYNAŚCIE

List z przyszłości numer 2

*Najdroższy Hamlecie,
mam sto sześćdziesiąt siedem centymetrów wzrostu, krótkie kasztanowe włosy (obcięte na chłopaka), uroczy tyłeczek (tak przynajmniej twierdzisz, a ja Ci wierzę, ponieważ nie potrafisz oderwać od niego dłoni!) i pełną (dziarską) miseczkę B. Uważasz, że nie sposób mi się oprzeć, i kochamy się co najmniej raz dziennie, choć zazwyczaj udaje nam się to robić częściej, i to w najróżniejszych wymyślnych pozycjach. To powinno przemówić do Twojej napalonej nastoletniej wyobraźni.*

Czy potrafisz sobie w ogóle wyobrazić, że uprawiasz codziennie seks z drugim człowiekiem?

Opowiedziałeś mi, że jako nastolatek żyłeś w przekonaniu, że nigdy nie będzie Ci dane uprawiać konsensualnego seksu – że umrzesz jako konsensualny prawiczek, co byłoby wielką stratą, ponieważ, pozwolę sobie zdradzić Ci pewną tajemnicę, UWIELBIASZ seks.

Czasami zmuszam Cię, żebyś mnie o to błagał, a wtedy naprawdę dajesz z siebie wszystko.

Gdybyś tylko zaprosił jakąś dziewczynę na randkę, panie Królu Masturbacji, rezultaty bez wątpienia by Cię zaskoczyły, a może i miałibyśmy mniej problemów do rozwiązania w początkowej fazie związku. Co nie oznacza, że chcę, abyś przed naszym spotkaniem zabawiał się z tymi wszystkimi dupeczkami ze szkoły średniej. Ha!

W przyszłości będziesz miał okazję kochać się ze mną setki (tysiące?) razy.

*Czy to Cię nie przekonuje, że warto dożyć wieku dorosłego?
Czy nie jestem wystarczającym powodem?*

*Ale żarty na bok – jak na parę, która mieszka w latarni
wraz z małym dzieckiem i starszym panem, nasze życie
intymne jest doprawdy fantastyczne.*

*Przez cały dzień pracujemy na zewnątrz, patrolując okolicę,
przeszukując wnętrza budynków, kontrolując nasze kamizelki
ratunkowe, mierząc poziom radioaktywności wody, a potem
pływamy godzinami, dzięki czemu nasze ciała są jędrne,
opalone, piękne i nie przypominają galaretowatych zwałów
tłuszczu, w które zamieniłyby się, gdybyśmy zamieszkali
w odizolowanym od świata mieście i pracowali za biurkiem,
nie oglądając nigdy słońca.*

Mieliśmy wiele, wiele szczęścia.

Pod wieloma względami uniknęliśmy dorosłości.

Placówka 37 to nasza prywatna utopia.

Nazywasz ją drugim dzieciństwem.

Chcesz wiedzieć, jak się spotkaliśmy?

Mam Ci zepsuć niespodziankę?

*Może lepiej będzie, jak Cię dodatkowo skuszę. Byłoby
szkoda, gdybyś nie dotrwał do tego momentu – najlepszego
okresu Twojego życia.*

*Kiedy po wojnie sytuacja się uspokoiła i powstał
Północnoamerykański Kolektyw Terytorialny, tysiące ludzi,
szukając dla siebie domu, trafiało do obozów utworzonych
przy nowych, strzeżonych granicach. Rozpoczęły się
w stanie znanym Ci pod nazwą Ohio, który później został
przesunięty znacznie na zachód z powodu wzrostu poziomu
mórz, trzęsień ziemi i ogólnej niestabilności. Zamknięte
miasta, które do dziś powstają na terenach leżących coraz
bardziej na północ, wchłonęły repatriantów. Tych, którzy nie
chcieli w nich zamieszkać, uznano za groźnych dla nowego
porządku, ścigano, a po schwytaniu dawano im wybór
między śmiercią a przymusową pracą w więzieniach
położonych na odludziu.*

*Z Twojej opowieści wynika, że łowcy nagród działający na
mocy Ustawy repatriacyjnej z 2023 roku schwytali Cię, kiedy*

spaleś w jaskini. Żywiłeś się wtedy jagodami i małymi gryzoniami, które udawało Ci się upolować – głównie szczurami. Obawiam się, że takie życie Ci nie służyło, bo miałeś problemy z psychiką. Prawdę mówiąc, byłeś kompletnie szalony.

Wielką wojnę 2018 roku spędziłeś w dużej mierze za granicą. Nie chciałeś opowiadać o pobycie w wojsku, ale czasami nawiedzały Cię koszmary senne i wtedy krzyczałeś o zabijaniu. Ponieważ nie chciałeś poruszać tego tematu, nic więcej nie wiem.

Powtarzałeś: „To było dawne życie. Żyjemy obecnym życiem”.

A ponieważ za dnia zazwyczaj jesteś radosny i wspaniale sprawujesz się jako mąż, nie zadreżcam Cię pytaniami o przeszłość ani wojenne koszmary.

Wróćmy jednak do opowieści o tym, jak się poznaliśmy. Przetransportowano Cię do położonego poza miastem obozu pracy, tam odmawiałeś wykonywania jakichkolwiek czynności, nie odzywałeś się – nawet kiedy przestali dawać Ci jedzenie i wodę, a później zaczęli torturować, niemal na śmierć.

W końcu uznali Cię za nieprzydatnego, a przywiezienie Cię do obozu – za błąd. Uratowała Cię prośba, która napłynęła z głębi łądu, gdzie potrzebowano królików doświadczalnych. Przewieziono Cię więc do rządowej placówki badawczej. Tak się składa, że w owym czasie tam pracowałam, a Ty zostałeś przydzielony właśnie mnie.

Jako naukowiec szukałam lekarstwa, które ułatwiałoby osobom dorosłym przystosowanie się do nowego, zamkniętego świata. Chodziło o oczyszczenie planety z buntowników i ograniczenie ludzkiej skłonności do niezgody i konfliktu – przyczyn wybuchu wojny nuklearnej i jej skutków.

Matka Ziemia była na nas zła, więc musieliśmy „nauczyć się, jak być lepszymi dziećmi” – tak brzmiało hasło nowego Północnoamerykańskiego Kolektywu Terytorialnego.

Początkowo nie odzywałeś się również do mnie. Trzymałam

Cię w celi wyłożonej gąbką i komunikowałam się z Tobą przez głośniki. Ale Ty siedziałeś w kącie z głową między kolanami i z dnia na dzień robiłeś się coraz chudszy.

W nocy usypialiśmy Cię gazem, a moi pomocnicy robili Ci zastrzyki z witaminami, substancjami odżywczymi i eksperymentalnymi substancjami chemicznymi.

Nie pamiętam, co mnie skłoniło, żeby zacząć Ci czytać. Zaczęliśmy od Shakespeare'a – Hamleta – co okazało się cholernie fartownym wyborem. Odżyła we mnie wiara w przeznaczenie, jeżeli mogę sobie pozwolić na tak mistyczny wtřęć.

Lekturę rozpoczęłam od słów: „Taras na murach obronnych zamku w Elsynchronie. Wchodzą dwaj wartownicy, Bernardo i Francisco. »Kto idzie?«”²⁷.

Wtedy Ty podniosłeś głowę i powiedziałeś:

– Ty najpierw odpowiedz. Stój! Podaj hasło!

Zamurowało mnie. Wcześniej nie odezwałeś się ani razu, a teraz wyrecytowałeś kolejną linię Hamleta. Miałam poczucie, jakbym znalazła klucz otwierający Twoje usta. Czytałam zatem dalej: „Niech żyje król!”.

– Bernardo? – zapytałeś.

– A jakże – przytaknęłam.

– Nie powiem, jesteś bardzo punktualny – stwierdziłeś. Przerzucaliśmy się potem cytatami z Hamleta przez cały dzień.

Kilka razy próbowałam przerwać tę zabawę i zadać Ci normalne pytanie, ale mówiłeś wtedy: „Więcej słów. Słowa, słowa, słowa”²⁸.

I tak bawiliśmy się przez jakiś tydzień – wystawiając sztukę tylko we dwójkę za pośrednictwem głośników.

Podchodziłeś do tego z takim zaangażowaniem, byłeś tak dobrym aktorem, recytowałeś monologi Hamleta z takim entuzjazmem i przekonaniem, że uznałam Cię za byłego kandydata na gwiazdora filmowego.

Tak bardzo ująłeś mnie zdolnością ożywienia

²⁷ Tu oraz niżej: W. Shakespeare, *Hamlet*, dz. cyt., s. 245 (przyp. tłum.).

²⁸ Tamże, s. 290 (przyp. tłum.).

szekspirowskich wersetów, że w końcu wbrew protokołowi wszłam do wyłożonej gąbką celi, aby kontynuować naszą grę osobiście.

Hamleta odgrywaliśmy tygodniami, aż wreszcie lekarstwa, które Ci podawaliśmy, zaczęły działać – z Twoich oczu zniknęło dzikie spojrzenie, a z czasem zacząłeś rozmawiać ze mną jak zwykły człowiek. Tyle że zwykły nie byłeś pod żadnym względem – raczej pełen magii.

Pamiętam zdanie, które wypowiedziałeś, kiedy po raz pierwszy wyszedłeś z roli. „Czy mogę cię kiedyś zaprosić na obiad?”

Było to całkowicie niedorzeczne, zważywszy, że siedziałeś zamknięty w celi.

Roześmiałam się. Ty też się uśmiechnąłeś.

Zacząłeś mi opowiadać o swoim życiu, a ja ponownie złamałam reguły i opowiedziałam Ci o swoim.

Zacząłam wyprowadzać Cię z celi – chciałam oczywiście zademonstrować przełożonym, że okiełznałam dzikiego człowieka za pomocą swoich badań, odzyskałam jego umysł dla dobra społeczeństwa, ale robiłam to głównie dlatego, że się w Tobie zakochałam.

Jak się przekonasz, mój ojciec był w czasie wielkiej wojny wysokim rangą wojskowym, a wielu liderów Północnoamerykańskiego Kolektywu Terytorialnego jest mu winnych przysługę. Z tego powodu przeniesienie nas do pozostającej pod jego dowództwem Placówki 37 nie było specjalnie trudne.

Kiedy przygotowano wszystkie dokumenty, ja zdążyłam ukończyć badania nad witaminą Z, którą z powodzeniem wprowadzono do kontrolowanej populacji miast, przetransportowano nas helikopterem na Placówkę 37.

Mój ojciec rozłożył szeroko ramiona i powiedział: „Witaj w domu”.

Polubiliście się z tatą od razu i to on udzielił nam ślubu kilka tygodni później, kiedy odkryliśmy, że jestem w ciąży.

Zgadza się, Leonardzie. Kolejny list dostaniesz od swojej córki. Kochasz S. nawet bardziej niż mnie, co mi zupełnie nie

przeszkadza, ponieważ kocham Was oboje na zabój.

Jesteś fantastycznym tatą.

Fantastycznym!

Wiem, że nie miałeś idealnego dzieciństwa – że wiele wycierpiałeś, że teraz bardzo cierpisz. Ale kto wie, czy nie dzięki temu właśnie będziesz potrafił zrozumieć wagę szczęśliwego dzieciństwa, które stworzysz dla swojej córki.

Żałuję, że nie mogę wysłać Ci nagrania wideo ani zdjęcia, kiedy Ty i S. bawicie się w wodzie z delfinem Horatiem. Gdybyś mógł to zobaczyć, wiedziałbyś, że warto wycierpieć cały ten ból, aby zaznać szczęścia w przyszłości.

Mimo że S. niedługo będzie za duża, aby z nami spać, nadal co wieczór zapada w sen z główką na Twojej piersi. Całujesz ją we włosy, a potem wychodzisz na latarnię z tatą i ze mną.

Światło zapalamy na dwadzieścia minut, później przez kolejne dwadzieścia minut oszczędzamy energię, a pełny czterdziestominutowy cykl powtarzamy przez całą noc. Jakies trzy minuty przed ponownym włączeniem światła, kiedy nasze oczy zaczynają się przyzwyczajać do ciemności, wychodzimy na taras widokowy i wypatrujemy spadających gwiazd. Ostatnio występują w dużych ilościach. Zliczamy, które z nas dostrzeże ich więcej. W tym roku prowadzę 934 do 812. Pragniemy dobić do tysiąca przed końcem roku i wygląda na to, że mamy spore szanse.

Ilekróć wypatrzymy spadającą gwiazdę, całujemy się.

Z tego wynika, że tylko w tym roku pocałowaliśmy się 1746 razy na platformie widokowej, a przecież całowaliśmy się też wielokrotnie gdzie indziej.

Podoba mi się, że tak często okazujesz mi czułość. Zawsze powtarzasz, że nadrabiasz zaległości, i żałujesz, że nie poznaliśmy się wcześniej i nie spędziliśmy ze sobą więcej czasu.

Wiedziemy dobre życie, Leonardzie.

Trzymaj się tam.

Przyszłość jest lepsza.

Tak często uprawiamy seks!

Masz piękną córeczkę.

*A mój tata staje się również Twoim tatą – jakiego zawsze
chciałeś.*

Więc trzymaj się tam, okej?

Proszę.

Kocham Cię!

Tylko-Nie-Waż-Się-Nazywać-Mnie-Ofelią

A.

CZTERNAŚCIE

Mój przyjaciel Baback jest z pochodzenia Irańczykiem, ale kiedy się poznaliśmy, przedstawiał się wszystkim jako Pers, ponieważ większość amerykańskich nastolatków nie wie, że Iran był kiedyś Persją, a jednocześnie naoglądała się dostatecznie dużo telewizji, by nienawidzić Irańczyków.

Gdyby Babackowi, kiedy jeszcze chodził do pierwszej klasy, dodać trochę zmarszczek i szpakowatą brodę, przypominałby do złudzenia obecnego prezydenta Iranu Mahmuda Ahmadineżada, co mogło narazić go na nieprzyjemności – zwłaszcza w czasie patriotycznych uroczystości w rodzaju rocznic zamachów z 11 września czy ilekroć Ahmadineżad wygłasza jakąś antysemitką, antyizraelską i antyamerykańską uwagę, czyli co chwila²⁹.

29 Herr Silverman mówi, że Ahmadineżad podważa prawdziwość Holokaustu. Zdaniem Herr Silvermana o pronazistowskie sympatie oskarżano również Walta Disneya, który rzeczywiście chodził na spotkania nazistów, umieszczał antysemitki obrazy w swoich kreskówkach i przyłączył się do grupy, która dyskryminowała Żydów w branży rozrywkowej. Walt Disney! Trudno uwierzyć, jak wielu ludzi ma skrycie poglądy rasistowskie. Miliony poczciwych dzieciaków z całego świata przyjeżdżają do parków rozrywki Walta Disneya i znakomicie się bawią z całą rodziną – a wszystko to odbywa się według zamysłu sympatyka nazistów. Dlaczego prawie nikt o tym nie mówi? Herr Silverman twierdzi, że Disney chciał stworzyć utopię tak pociągającą, tak przekonującą, że nikt nie odważyłby się jej oprzeć. „Kogo wam to przypomina?”, spytał Herr Silverman, a my rozumieliśmy, że odpowiedź brzmi: Hitlera. Kilkoro uczniów miało za złe Herr Silvermanowi tego rodzaju porównania. Lori Sleeper zaprotestowała: „Dlaczego próbuje pan zniszczyć nasze dzieciństwo?”. Na co on odparł: „Wolałabyś nie wiedzieć, że Walta Disneya często oskarża się o sympatie nazistowskie?”. Lori Sleeper zawołała: „TAK!”, czym wprawiła mnie w lekkie przygnębienie, ponieważ widziałem, że naprawdę tak myśli. Chowanie głowy w piasek to niezwykle popularna

Baback tak bardzo przypominał irańskiego prezydenta, że w najlepszym razie uznano by go za krewnego Ahmadineżada.

Poznałem go na kursie wprowadzającym dla pierwszoklasistów. Dopiero co przyjechał do Stanów Zjednoczonych. Przez rok widywałem go na korytarzach, drobnego i przerażonego, ale zawsze elegancko ubranego – gdyby dać mu jeszcze krawat, przypominałby ucznia prywatnej szkoły w mundurku. Nosił plecak większy od siebie i futerał na skrzypce. Z tym ostatnim dosłownie się nie rozstawał. Nigdy nie zostawiał go w szafce, no, chyba że na WF-ie, kiedy nie miał innego wyboru. Wiem o tym, bo w drugiej klasie mieliśmy razem WF.

Kiedyś graliśmy w hokeja na sali gimnastycznej, a nasz nauczyciel pan Austin musiał opuścić salę na dziesięć minut, żeby zająć się jakąś sprawą. Baback i ja byliśmy w jednej drużynie, ale nie angażowaliśmy się specjalnie w grę. Staliśmy tylko na boisku z kijami i przyglądaliśmy się, jak pozostali uganiają się za małą pomarańczową piłką.

Asher Beal grał w drużynie przeciwnej, a kiedy zobaczył, że pan Austin opuścił salę, strzelił piłką w Babacka. Trafił prosto między oczy. Baback zamrugał kilkakrotnie w zabawny sposób i wszyscy parsknęli śmiechem. Ja się nie zaśmiałem, ponieważ widziałem, że strasznie go zabolalo. Pamiętam, że zrobiło mi się gorąco, zupełnie jakby moja twarz zajęła się ogniem, bo już wtedy chciałem zabić Ashera Beala, ale jako że wciąż miałem złudzenia co do swojej przyszłości, nie zacząłem jeszcze planować jego egzekucji, a przynajmniej nie zacząłem jej planować na serio.

Wszystkie überdurnie, z którymi Asher się teraz koleguje, wymieniły szybkie spojrzenia, a na ich twarzach pojawił się

strategia w mojej szkole. Można odnieść wrażenie, że nawet gdyby parki rozrywki Disneya zasilano energią generowaną przez niewolników sprowadzanych potajemnie z Afryki, ludzi skutych łańcuchami i zmuszonych do napędzania stacjonarnych rowerów podłączonych do generatorów prądu, ludzi chłostanych, zamykanych na noc w klatkach i niedożywionych – mieszkańcy Ameryki nadal przywoziliby swoje dzieci do Disneylandów. Dopóki nie musieliby oglądać na własne oczy chłostanych niewolników. Wystarczy ukryć okropieństwa, a większość Amerykanów przejdzie nad tym do porządku dziennego. Przygnębiające.

paskudny uśmiech. Wszyscy instynktownie zareagowali w identyczny sposób, zupełnie jakby tworzyli chmurę wrednych ptaków albo ławicę wrednych ryb.

Czy überdurnie wydzielają feromony?

Od tego momentu podawali piłkę do Babacka, a kiedy tylko on dotykał jej kijem, Asher albo jeden z jego überdurnowatych kumpli wpadał w biedaka z takim impetem, że ten wywijał orła. Baback próbował odbijać pomarańczową piłkę możliwie najszybciej, lecz oni taranowali go niezależnie od tego, czy był przy piłce, czy nie. Chciałem go ostrzec, by nie wstawał z parkietu albo uciekł na trybuny, ale chyba nie potrafił uwierzyć, że padł ofiarą tak brutalnego ataku. Zupełnie jakby nie przypuszczał, że możemy zniżyć się do takiego poziomu. Być może przekonanie o wyższości Ameryki wpoili mu rodzice, kiedy opuszczali razem Iran.

Kilka osób staranowało Babacka, aż w końcu Asher zamachnął się do strzału, który posłał małego Irańczyka na trybuny. Nogi wleciały ponad głowę i usłyszałem głuchy odgłos czaszki uderzającej o drewniane krzesło.

Niemal wszyscy³⁰ roześmiali się głośno, ponieważ ciało Babacka przekreśliło się niczym ramię wiatraka: stopy znalazły się w powietrzu, a tułów utkwiał między krzeselkami.

Tym razem Baback się nie podniósł.

– No dalej, wstawaj – powiedział Asher, jakby zwracał się do przyjaciela. – Nic ci się nie stało.

Asher niemal na siłę postawił Babacka na nogi i wtedy zobaczyliśmy, że Irańczyk jest zamroczony, ponieważ kołysze się niczym łan pszenicy w reklamie piwa.

– Witamy w Ameryce – zażartował Asher (mimo że Baback chodził do naszej szkoły od ponad roku) i poklepał go dwukrotnie po plecach.

Ilekoć odtwarzam sobie to zdarzenie z pamięci, widzę siebie biegnącego w ich stronę: moje stopy odrywają się od ziemi

³⁰ Kilka dzieciaków również sprawiało wrażenie zde gustowanych zachowaniem überdurniów, ale pilnowali, aby Asher tego nie zauważył. Nikt nie chciał się stać kolejną ofiarą, co oczywiście jest tajemnicą sukcesu überdurniów – tajemnicą ich siły.

i zamieniam się w blokującego zawodnika. W mojej wizji kij hokejowy zamienia się w samurajski miecz, którym jednym wspaniałym zamachem ścinam Asherowi głowę – ta zakreśla łuk w powietrzu i wpada do kosza.

Dwa punkty!

W rzeczywistości stałem jak wmurowany.

Dopadli go ponownie w szatni, kiedy Baback się przebierał.

– Co my tu mamy? – spytał Asher, wyjmując futerał na skrzypce z szafki.

Baback próbował wciągnąć spodnie i się wywrócił. Jego naga brązowa klatka piersiowa była wklęsnięta. Miał fioletowo-czarne sutki.

– To skrzypce mojego dziadka. Uważaj. Błagam. Należą do mojej rodziny od wielu pokoleń! – powiedział Baback. Miał szeroko otwarte z przerażenia oczy.

Nikt nie zwracał na mnie specjalnej uwagi, więc podkradłem się od tyłu do Ashera i wyrwałem mu skrzypce, zanim się połapał, co się dzieje.

– Peacock?! – zawołał zdumiony.

Oddałem skrzypce Babackowi, a on przycisnął je do piersi, jakby to było dziecko.

– Dotknij jeszcze raz jego albo skrzypiec, a zdradzę wszystkim twoją tajemnicę – zagroziłem Asherowi. Słowa wypowiedziałem automatycznie, zanim zdążyłem w ogóle pomyśleć. Poczulem, jak wali mi serce, język zrobił się suchy niczym wiór. – Jak boga kocham. Powiem wszystkim. Wszystkim!

Oczy Ashera się zwięzły, ponieważ doskonale wiedział, co mam na myśli.

– Nie mam pojęcia, o czym mówisz, Peacock. Zupełnie ci odbiło.

Roześmiał się i odwrócił plecami do Babacka i mnie.

Widziałem, że niektórzy kumple Ashera mieli na twarzach wypisane pytanie: „Jaką tajemnicę?”, i właśnie to zapewniało mi chwilową przewagę nad Asherem Bealem.

Ustał i zapłacił za to pewną cenę.

Baback przebrał się i wyszedł z szatni. Nawet mi nie

podziękował. Jeśli mam być szczerzy, zrobiło mi się trochę przykro.

Chcąc sprawdzić, czy nic mu się nie stało, rozglądałem się za Babackiem podczas przerwy na lunch, ale nigdzie go nie wypatrzyłem, co było o tyle dziwne, że wszyscy drugoklasiści przychodzą na stołówkę w tym samym czasie.

Następnego dnia chroniłem go na sali gimnastycznej przed Asherem i jego überdurnowatymi pomagierami. Tego dnia zostawili go w spokoju. W połowie WF-u, kiedy znów udawaliśmy zaangażowanie w mecz hokejowy, podbiegłem do Babacka.

– Dlaczego nie przyszedłeś wczoraj do stołówki na lunch? Siedziałeś u pielęgniarki?

– Nie chcę żadnych problemów – odparł Baback. Nawet na mnie nie spojrzął. Wodził wzrokiem za małą pomarańczową piłką, za którą uganiała się reszta klasy. – Daj mi spokój.

Również w szatni nikt nie dokuczał Babackowi, a ja poczułem się trochę dumny.

Postanowiłem pilnować go po lekcji. Poszedłem za nim i zobaczyłem, jak woźny wpuszcza go do auli, która w naszej szkole nie jest zbyt często wykorzystywana i zazwyczaj stoi pusta. Zajrzałem przez szybę w drzwiach i zobaczyłem, jak Baback wyjmuje skrzypce z futerału, nastraja je i zaczyna ćwiczyć.

Gdybym powiedział, że grał fantastycznie, nie oddałbym mu sprawiedliwości.

Jako piętnastolatek był już skrzypkiem światowej klasy – lepszym od każdego, kogo będziemy mieli okazję usłyszeć.

Muzyczny czarodziej.

Obserwowałem przez szybę, jak ten drobny chłopiec wykonuje monumentalne pasażę wznoszących się i opadających dźwięków, i czułem narastający ucisk w klatce piersiowej.

Jakież to było piękne.

Najbardziej spodobało mi się, kiedy zamknął oczy i kiwał głową w rytm ruchów smyczka. Zrozumiałem, że w takich chwilach nie jest drobnym irańskim chłopcem mieszkającym

w obcym mieście pełnym skrytych rasistów, lecz bogiem dysponującym pełnią władzy nad światem.

Zupełnie jakby smyczek był magiczną różdżką, a z otworów wyciętych w małym drewnianym instrumencie wydobywały się wibracje, którym mało kto potrafiłby się przeciwstawić.

Miałem poczucie, jakby Baback na moich oczach rósł.

Rozumiałem też, dlaczego nie potrzebuje przyjaciół ani akceptacji kolegów z naszej głównianej rasistowskiej szkoły średniej – jego muzyka przewyższała wszystko, co moglibyśmy mu zaoferować.

– Jesteś geniuszem – powiedziałem, kiedy wyszedł z auli.

Baback zamrugał w identyczny sposób jak wtedy, gdy dostał pomarańczową piłeczką do hokeja między oczy.

– Podglądałeś mnie?

– Gdzie nauczyłeś się tak grać?

– Nie chcę żadnych problemów – powiedział i odszedł.

Następnego dnia ustawiłem się pod aulą, zanim jeszcze woźny wpuścił do środka Babacka.

– Muszę ćwiczyć – oświadczył Baback.

– Chcę tylko posłuchać. Usiądę gdzieś z tyłu i nie będę ci przeszkadzał.

Westchnął, wszedł na scenę i zaczął grać.

Zająłem miejsce w ostatnim rzędzie, zamknąłem oczy i przeniosłem się do nowego, lepszego miejsca, daleko poza naszą koszmarną szkołę średnią.

Kiedy muzyka ucichła, otworzyłem oczy i zawołałem znad wielu rzędów krzesel:

– Sam napisałeś ten utwór?

Ponownie zamrugał.

– To Paganini! – odkrzyknął. – Koncerty skrzypcowe. Fragmenty partii solowych, które mi nie wychodzą... nigdy.

– Brzmiało doskonale! Wspaniale. Cóż to za wspaniała tajemnica. Takie cudowności codziennie dzieją się w naszej szkole, a ja jestem jedynym uczniem, który o tym wie.

– Błagam, tylko nie mów nikomu – wołał Baback. – O tym, że korzystam z auli. Nie powinienem się z nikim dzielić tą informacją. Moi rodzice musieli przebłagać szkołę, żeby

uzyskać zgodę. Jeżeli inni uczniowie zaczną składać prośby o korzystanie z auli, nie będę mógł ćwiczyć tu sam. Błagam!

Widziałem, że naprawdę się tym przejmuje, więc przeszedłem pod scenę.

– Pozwól mi słuchać, a nie pisać słowa. Obiecuję. Nigdy ci nie przerwę. Nie chcę w żaden sposób ingerować w to, co się tu dzieje. Nigdy. Traktuj mnie jak ducha.

Skinął niechętnie głową.

I tak przez resztę roku szkolnego słuchałem, jak gra na skrzypcach.

Wyglądało to dość dziwnie, ponieważ nigdy ze sobą nie rozmawialiśmy.

Nie wydawał się w najmniejszym stopniu zainteresowany moją osobą.

Widziałem, że tak naprawdę nie chce być moim przyjacielem – że chce, bym pozostawił go sam na sam z muzyką. Szanowałem to.

Sam zresztą nie miałem zazwyczaj ochoty na rozmowę. Wspólnie spędzaliśmy w samotności czas w wielkiej sali – jeżeli to stwierdzenie ma w ogóle jakikolwiek sens.

Dopiero ostatniego dnia roku szkolnego złamałem warunki umowy i kiedy Baback skończył grać, urządziłem mu owację na stojąco, krzyząc: „Brawo!”.

Uśmiechnął się, ale nic nie powiedział.

– Do następnego spotkania, maestro! – zawołałem przez morze pustych krzeseł i wyszedłem z auli.

Na początku trzeciej klasy Baback wrócił do szkoły odmieniony.

Był ponad dziesięć centymetrów wyższy i silniejszy dzięki potężnej muskulaturze. Zapuścił grube, czarne włosy, które związywał w ogon. Niesamowitymi kośćmi policzkowymi zwrócił na siebie uwagę wszystkich dziewczyn. Nie przypominał już chłopca, którego można zaczepiać albo któremu należałoby współczuć.

Kiedy podczas przerwy na lunch przyszedłem do auli, po raz pierwszy się do mnie odezwał.

– Myślałem o tobie, Leonard. Dlaczego przychodzisz

codziennie, żeby posłuchać mojej gry?

– Twoje próby to najciekawsza rzecz w tej szkole. Nie chcę czegoś takiego przegapić.

– Powinieneś płacić za możliwość słuchania – powiedział. – Świadczę dla ciebie usługę. Artyści powinni być wynagradzani. Sztuka udostępniana za darmo przestaje się cieszyć uznaniem. Traci wartość.

– Co się z tobą stało?

– Co masz na myśli?

– Wyglądasz inaczej. Mówisz inaczej. Wydajesz się pewny siebie.

Roześmiał się.

– Spędziłem lato w Iranie na nauce muzyki. Pewnie trochę urosłem. W dosłownym i metaforycznym sensie. Ale ty albo zapłacisz za przywilej słuchania mojej gry, albo powinieneś sobie pójść.

– Ile chcesz?

– Nie wiem – odparł w sposób sugerujący, że wolałby, abym jednak sobie poszedł. – Może będziesz płacił według własnego uznania? Ale coś będziesz mi płacił. Nie zamierzam więcej grać dla nikogo za darmo.

– Zrobmy tak: będziesz zostawiał otwarty futerał na skrzypce, a ja wrzucę coś za każdym razem, gdy przyjdę cię posłuchać. Widziałem muzyków na ulicach Filadelfii, którzy tak robili.

– W porządku – zgodził się i zaczął grać.

Kiedy skończył, podszedłem do sceny i wrzuciłem do futerału pięciodolarowy banknot. Skinął głową, co uznałem za wyraz aprobaty dla kwoty.

Przez resztę roku oddawałem mu pieniądze, które dostawałem na lunch – poza kilkoma przypadkami, kiedy któryś z nas był nieobecny albo kiedy członkowie kółka teatralnego budowali scenografię do przedstawienia i Baback nie ćwiczył.

Moje codzienne datki po zsumowaniu dały pod koniec roku osiemset dolarów. Wiem to, ponieważ Baback podał mi dokładną kwotę ostatniego dnia trzeciej klasy.

– Zaoszczędziłem wszystko co do centa i całość przekażę na

rzecz Prawdziwej Demokracji w Iranie, organizacji pozarządowej walczącej, jak łatwo się domyślić, o prawdziwą demokrację w Iranie.

Cel uznałem za szczytny, więc skinąłem głową.

Zobaczyłem ponownie Babacka na korytarzu podczas egzaminów końcowych, a kiedy go zatrzymałem, odezwał się pierwszy, zanim jeszcze zdążyłem powiedzieć, o co mi chodzi.

– Nie miałbyś ochoty spędzić ze mną trochę czasu, Leonardzie? Moglibyśmy pójść do kina albo coś w tym stylu. Zupełnie się nie znamy, prawda? Nie sądzisz, że to trochę dziwne?

Pomyślałem chwilę nad jego słowami i odparłem:

– Nie zrozum mnie źle, ale słuchanie twojej gry na skrzypcach jest zdecydowanie najciekawszym momentem mojego dnia. Wynika to chyba z faktu, że tak naprawdę znam cię wyłącznie jako muzyka występującego na scenie. Gdybym się z tobą zaprzyjaźnił, twoja muzyka mogłaby stracić część magii. Miałaś kiedyś podobne doświadczenie? Zdarzyło się, że uważałaś kogoś za naprawdę ważną i nietypową osobę, a kiedy go poznałaś, czar prysł? Rozumiesz, co mam na myśli?

– Niespecjalnie. – Roześmiał się.

– Czy mogę słuchać niekiedy twoich prób w czasie wakacji? Będę ci płacił pięć dolarów.

– Nie wiem, czy to dobry pomysł. Moi rodzice czuliby się pewnie wyjątkowo skrupowani, gdybyś przyszedł do nas do domu i wpatrywał się we mnie podczas ćwiczeń. Poza tym pod koniec miesiąca lecę do Iranu, żeby odwiedzić krewnych i kontynuować naukę gry na skrzypcach pod okiem dziadka. Będę raczej trudno dostępny – tłumaczył, ewidentnie wycofując się z wcześniejszej propozycji. Być może zniechęciło go moje wyjaśnienie.

– Rozumiem. W takim razie do zobaczenia w przyszłym roku – powiedziałem i podałem mu kopertę, na której napisałem: „PRAWDZIWA DEMOKRACJA W IRANIE!”.

Namówiłem Lindę, aby przeznaczyła na ten cel pięćset dolarów. Mogła je sobie odpisać od podatku, a w ramach prowadzonej działalności gospodarczej Linda nieustannie

szuka okazji do tego rodzaju odpisów i zawsze jest gotowa mnie przekupić / ukoić za pomocą pieniędzy wyrzuty sumienia wiecznie nieobecnej matki. W kopercie znajdował się czek, ale nie chciałem, żeby otwierał ją przy mnie.

– Zjrzyj do środka później. Nie mogę się doczekać, kiedy usłyszę cię ponownie w przyszłym roku. Miłego wyjazdu za granicę.

Zobaczyłem go ponownie na początku tego roku szkolnego w auli podczas przerwy na lunch dla czwartoklasistów. I tym razem urósł i sprawiał wrażenie jeszcze bardziej pewnego siebie. Uśmiechnął się na mój widok.

– Opowiedziałem babci o tobie i datku. Zrobiła dla ciebie tasbih. Perskie koraliki modlitewne. Niektórzy używają ich jako koralików relaksacyjnych.

Podał mi długą pętlę z czerwonawobrazowymi drewnianymi paciorkami i frędzelkiem.

Podziękowałem i założyłem ją sobie na szyję.

– Nie musisz płacić za słuchanie mojej muzyki – oświadczył z uśmiechem. – Od teraz słuchasz za darmo. Zdaniem mojego dziadka muzyka jest darem, którym w miarę możliwości należy się dzielić z innymi. Opowiedziałem mu o tobie i o tym, że płaciłeś za słuchanie. Stwierdził, że powinienem grać dla ciebie bez opłat. Tak właśnie zrobię.

Skinąłem głową i usiadłem na swoim zwyczajowym miejscu z tyłu auli.

Baback zaczął grać.

Wydawało się to niemożliwe, ale był jeszcze lepszy – jeszcze bardziej magiczny – niż poprzedniego roku.

Zamknąłem oczy, zasłuchany, i zniknąłem.

PIĘTNAŚCIE

Muzyka Babacka to jedna z niewielu rzeczy, które poprawiają mi samopoczucie, a ponieważ postanowiłem zastrzelić Ashera Beala i popełnić samobójstwo, nie chcę ryzykować słuchania wyczynów Babacka na skrzypcach. Boję się, że jego muzyka mnie uwiedzie, skłoni podstępem do przeżycia jeszcze jednego dnia – jak to czyniła wielokrotnie wcześniej. Dlatego zaraz po wejściu do auli oświadczam:

– Baback, dziś nie będę słuchał, jak grasz.

– Co? – mówi z udawaną przerażoną miną. Ma na sobie ciemne džinsy, mokasyny w kratę i T-shirt z Haroldem i Kumarem. To niesamowite, jak bardzo się zmienił, jak bardzo zamerykanizował, nawet jeśli wciąż nie przypomina innych uczniów naszej szkoły. – A z jakiego to powodu zamierzasz sprzeniewierzyć się tradycji, jeżeli mogę zapytać?

Zamiast odpowiedzi wyciągam z plecaka kopertę owiniętą w różowy papier.

– To dla ciebie – mówię. Moje słowa odbijają się dudniącym echem w wielkiej, pustej auli.

– Co to? – pyta, patrząc mi prosto w oczy.

– Chciałbym, żebyś wiedział, że naprawdę lubiłem cię słuchać i codziennie na długiej przerwie zatapiać się w twojej muzyce... Ujmę to tak: nie masz pojęcia, jak bardzo twoja gra na skrzypcach pomogła mi w ostatnich latach. Wielu dni bym nie przetrwał, gdybym nie mógł cię posłuchać. Jesteś naprawdę utalentowanym muzykiem. Mam nadzieję, że nigdy nie przestaniesz grać. Za pomocą tego podarunku chciałbym wyrazić swoją wdzięczność, powiedzieć, że cenię twoją grę bardziej, niż sądzisz. Wydawałoby się, że tylko drzemię z tyłu sali, ale to nie tak. Twoja muzyka pozwala mi wyczekiwać

każdego kolejnego dnia, jest dla mnie jak przyjaciel. Kto wie, czy nie najlepszy przyjaciel w szkole. Chcę ci za to podziękować.

Czuję napływające do oczu łzy, więc wbijam wzrok w ziemię i wyciągam różowy prostokąt w stronę Babacka.

Bierze ode mnie kopertę.

– Dlaczego mówisz mi o tym akurat dziś?

– Po prostu chciałem ci to dać. To prezent.

– Dlaczego jest owinięty w różowy papier?

– Kolor nie ma większego znaczenia.

– Czy ja czegoś nie rozumiem? – dziwi się.

Chciałbym, aby wpadł na to, że mam dziś urodziny, choć nie bardzo wiem dlaczego. Mimo to czuję ekscytację na myśl, że może na to wpaść.

Zdziera ozdobny papier, otwiera kopertę i zapoznaje się z czekiem, który wypisałem dla Prawdziwej Demokracji w Iranie.

– To jakiś żart? – pyta.

– Co? Nie. Pieniądze mają pomóc ludziom walczącym o wolność w twoim kraju.

– Naprawdę oczekujesz, że w to uwierzę?

– To mój fundusz studencki. Nie idę na studia. Nie przystąpiłem nawet do egzaminów.

– Dlaczego robisz sobie takie żarty? Czy masz w ogóle pojęcie, z czym zmagają się mieszkańcy Iranu? To poważna sprawa, Leonard. Z pewnych rzeczy nie można żartować.

– Wiem. Czek jest prawdziwy. Jak boga kocham. Wyślij go do stowarzyszenia. Zobaczysz. Mam nadzieję, że pieniądze pomogą w ich walce. To mój cały fundusz studencki. Odziedziczyłem masę forsy po dziadkach.

– Co się z tobą stało?

– Myślałem, że się ucieszysz.

Wzdycha i przeczesuje dłonią włosy, które teraz sięgają mu do ramion.

– Posłuchaj, naprawdę doceniam, że stanąłeś w mojej obronie wtedy, w drugiej klasie, i doceniam twoje... wsparcie. Łapię, że jesteś trochę inny. Że chadzasz własnymi ścieżkami.

I dobrze. Ja nigdy nie wyrządziłem ci krzywdy, nie zachowałem się podle ani nic podobnego, a ty masz czelność przyjść tu i obrazić mnie tym czekiem na kilkaset tysięcy dolarów. Moi dziadkowie wycierpieli niezliczone... nie masz pojęcia, z jakimi trudnościami zмага się moja rodzina i... a wiesz co – dodaje, odkładając skrzypce. – Postanowiłem, że nie będę dziś grać. I chyba nie chcę, żebyś dłużej słuchał moich prób. Twoja obecność z tyłu auli, to, że siedzisz tam w bezruchu każdego dnia, zaczyna mi działać na nerwy.

– Czek jest prawdziwy – zapewniam.

– Jak sobie chcesz, Leonard.

– Ja naprawdę, do cholery, nie żartuję. Czek jest prawdziwy! A ty zachowujesz się jak skończony buc. Idź do banku, to zobaczysz, jak wielkiego buca z siebie robisz.

– Dlaczego masz na głowie kapelusz? – pyta. – Ściąłeś włosy?

Patrzę na niego i widzę, że tak naprawdę wcale mnie nie lubi.

Miałem rację. Wystarczy zacząć kogoś poznawać, a cała magia otaczająca jego osobę zamienia się na naszych oczach w stertę gówna.

Baback patrzy na mnie tak, jakby mnie nienawidził, jakby moja twarz budziła w nim obrzydzenie, a ja pragnę tylko, żeby przestał.

– Może powinieneś z kimś porozmawiać – mówi. – Na przykład ze szkolnym pedagogiem.

– Próbowałem rozmawiać z tobą i widzisz, dokąd nas to doprowadziło?

– Słuchaj, Leonard, wyraźnie masz jakieś kłopoty. Przykro mi z tego powodu. Naprawdę mi przykro. Tyle że na świecie żyje mnóstwo ludzi z większymi problemami niż twoje. Gdybyś od czasu do czasu wyjechał poza granice tego miasta, wiedziałbyś, że mówię prawdę. Problemy Pierwszego Świata. Zmagasz się z problemami Pierwszego Świata.

Opuszcza aulę zdecydowanym krokiem, a ja uświadamiam sobie, że musiałem go porządnie wkurzyć, bo nigdy wcześniej nie zrezygnował z ćwiczeń w dniu, kiedy aula stoi pusta podczas przerwy na lunch. Zrobił to po raz pierwszy od trzech lat.

Biorę pozostawiony przez niego czek, siadam w jednym ze staroświeckich skrzypiących foteli i zaczynam rozmyślać nad jego uwagą o ludziach z większymi problemami od moich. Całe trzy sekundy zajmuje mi dojście do wniosku, że to straszna brednia. Mieszkańcy Iranu mieliby być ważniejsi ode mnie, ponieważ rzekomo bardziej cierpią?

Gówno prawda.

Przyjemnie mi się rozmyśla w pustej auli, mimo że nie rozbrzmiewa w niej muzyka skrzypcowa.

Być może wcale nie potrzebowałem Babacka.

Być może Baback niczym się nie różni od całej reszty.

Lepiej się czuję, kiedy jestem tu sam.

Bezpieczniej.

Jak zmierzyć cierpienie?

To, że mieszkam w demokratycznym państwie, nie gwarantuje mi bezproblemowego życia.

Bynajmniej.

Rozumiem, że ze społeczno-ekonomicznego punktu widzenia jestem relatywnie bardziej uprzywilejowany od innych, ale to samo można powiedzieć o Hamlecie – i wielu nieszczęśliwych ludziach.

Założę się, że w Iranie mieszkają ludzie szczęśliwsi ode mnie, których nie obchodzi, kto sprawuje władzę polityczną w ich kraju, podczas gdy ja jestem nieszczęśliwy w rzekomo wolnym państwie i pragnę za wszelką cenę wypisać się z życia.

Zastanawiam się, czy Baback będzie żałował, że umniejszał moje cierpienie, kiedy jutro wieczorem obejrzy wiadomości telewizyjne.

W sumie mam nadzieję, że poczuje się w jakimś stopniu odpowiedzialny – że aż go zacznie skręcać z wyrzutów sumienia.

SZESNAŚCIE

Zauważam Ashera Beala na korytarzu. Układam dłoń w kształt pistoletu i strzelam do niego, kiedy mnie mija.

Dwukrotnie pudłuję, potem zaliczam trafienie w głowę.

– Trup!

– Odbiło ci? – mówi, kręcąc tą swoją łepetyną, którą wkrótce podziurawię.

– Kompletnie! – wołam. – Ani trochę! Sam zdecyduj!

Ludzie patrzą na mnie jak na wariata – jakby woleli, żebym zniknął.

Asher Beal się oddala.

– Wiem, gdzie mieszkasz! – wołam za nim.

Świadomość, że kres tego wszystkiego nastąpi już dziś wieczorem, że przestanę wtedy istnieć, znacznie ułatwia mi przetrwanie dnia. Zupełnie jakbym unosił się w jakiejś eterycznej rzeczywistości we śnie³¹.

Jeszcze dwa prezenty do dostarczenia, a potem mogę wyciągnąć walthera P38 i wymeldować się z tego świata w rocznicę dnia, w którym na niego przyszedłem.

Wszystkiego najlepszego, Leonardzie!

Boże, nie mogę się już doczekać.

– Leonard? – słyszę głos pani Shanahan.

Pedagog szkolna ma na sobie cytrynowożółtą sukienkę. Rude włosy spięła w kok, błękitne okulary zawiesiła na szyi na srebrnym łańcuszku, co wygląda wyjątkowo dziwnie, bo jest zdecydowanie zbyt młoda, by nosić okulary na łańcuszku. Ciekawe, w co się ubiera poza szkołą – nie zdziwiłbym się, jakby po godzinach była punk-rockmenką. Prawdopodobnie jest w wieku Herr Silvermana, co czyni ją młodszą od

31 Niepowiązanym z moją koszmarną przeszłością.

większości członków grona pedagogicznego.

– Słyszałam, że dziwnie się dziś zachowujesz. To prawda? – mówi głośno, mimo że obok nas przechodzi masa dzieciaków.

– Co? Przecież ja zawsze się dziwnie zachowuję. A czuję się dobrze – odpowiadam głównie dlatego, że nie chcę się spóźnić na lekcję Herr Silvermana, na którą właśnie zmierzam.

Normalnie nie mam nic przeciwko wizytom w gabinecie pani Shanahan, ponieważ trzyma na biurku słój z lizakami, a ja zawsze mam ochotę na lizaka o smaku piwa korzennego, ale dziś muszę się pożegnać z Herr Silvermanem i nie zamierzam opuścić jego lekcji. To jedyny przedmiot, który lubię. Postanawiam odegrać przed panią Shanahan mały teatrzyk.

– Co tam masz pod kapeluszem? – docieka.

– Nową fryzurę.

– Pani Giavotella powiedziała...

– Niestety kiepski ze mnie fryzjer – przerywam, uśmiechając się i patrząc jej prosto w oczy. Kiedy trzeba, potrafię być znakomitym aktorem, a teraz mam wręcz poczucie, jakbym występował w hollywoodzkiej produkcji. – Z ogromną chęcią zaprezentowałbym pani nowy wizerunek, ale trochę się go wstydzę, co tłumaczy spoczywający na mojej głowie kapelusz. Czy mogę zejść do pani na ósmej godzinie lekcyjnej? Chętnie pokażę wtedy fryzurę i wyjaśnię wszystko, o co będzie pani chciała zapytać.

Patrzy mi prosto w oczy przez dłuższą chwilę, jakby próbowała ustalić, czy nie wciskam jej kitu.

Jestem pewien, że znakomicie zdaje sobie sprawę, że wciskam jej kit, ale ponieważ ma milion innych problemów do rozwiązania, setki innych uczniów wymagających pomocy, niekończącą się procesję bucowatych rodziców do uspokojenia, stosy papierkowej roboty, masę spotkań w paskudnej sali z okrągłym stołem i klimatyzacją zamontowaną w oknie, uruchamianą nawet w zimie, bo dokładnie pod spodem znajduje się kotłownia, w której panują tropikalne warunki, wie dobrze, że najłatwiejszym wyjściem będzie mi uwierzyć.

Spełniła swój obowiązek, ukoła sumienie, odnajdując mnie na korytarzu i dając mi sposobność zrobienia czegoś szalonego,

ja również odegrałem swoją rolę, zachowując spokój, udając, że wszystko jest okej, a tym samym pozwalając jej na skreślenie mnie z listy spraw do załatwienia. Może się zająć kolejną sprawą. Ja zresztą również.

Kiedy zrozumiemy, w jaki sposób system kontroluje dorosłych, manipulowanie nimi staje się banalnie proste.

– Lizaki o smaku piwa korzennego powoli się kończą, ale odłożyłam kilka dla ciebie – mówi z uśmiechem.

Gdyby tylko dało się rozwiązać wszystkie problemy za pomocą słodyczy, pani Shanahan byłaby doprawdy kimś, myślę.

– Czyli porozmawiamy na ósmej godzinie lekcyjnej, zgadza się? Obiecuj, że do mnie przyjdiesz. Zawsze wyczekuję niecierpliwie twoich wizyt, Leonardzie Peacocku.

Ostatnie zdanie wypowiada w taki sposób, jakby ze mną flirtowała, jakbyśmy podczas spotkania w gabinecie mieli uprawiać seks. Nie ona jedyna tak się zachowuje. Wiele nauczycielek flirtuje z uczniami. Może po prostu nie potrafią w inny sposób rozmawiać z mężczyznami? Wykorzystują swoją seksualność do uzyskania tego, czego pragną. Muszę przyznać, że to skuteczna metoda, ponieważ teraz naprawdę mam ochotę zobaczyć się z panią Shanahan, więc gdybym już wcześniej nie postanowił popełnić samobójstwa, bez wątpienia poszedłbym później do jej biura – choćby po to, aby odebrać lizaka o smaku piwa korzennego, o którym tak marzę.

– Oczywiście – kłamię. – Na pewno stawię się dziś po południu na spotkanie z moją ulubioną, niezwykle cudowną i przenikliwą panią pedagog.

Wygląda, jakby się nieco zarumieniła. Uśmiecha się do mnie, zadowolona z siebie.

Kiedy się odwraca, wołam za nią:

– Pani Shanahan?

Nie potrafię się powstrzymać.

– Tak, Leonardzie? – mówi i odwraca się, robiąc piruet, jakby była samą Marilyn Monroe. Jej sukienka faluje i lekko się unosi.

– Dziękuję, że sprawdziła pani, czy wszystko ze mną okej.

Jest pani dobrą pedagog szkolną. Jedną z najlepszych.

– Bardzo mi miło – odpowiada i rozpromienia się niczym słońce w zenicie, ponieważ nie rozumie prawdziwego sensu moich słów.

Ostatecznie jest tylko pedagogiem szkolnym. Potrafi określić, jaką średnią ocen uczeń musi osiągnąć, aby dostać się na Uniwersytet Pensylwanii, ale oczekiwanie od niej czegokolwiek więcej byłoby przesadą. Miałem szczęście, że dostałem od niej tyle lizaków.

Tuż przed odejściem, zupełnie jakby chciała potwierdzić, że oboje gramy swoje role, dodaje:

– Ale przyjdiesz do mnie na ósmej godzinie lekcyjnej, prawda?

– Ma to pani jak w banku – kłamię.

Przychodzi mi na myśl, że datę moich urodzin musi mieć zapisaną gdzieś w aktach osobowych, ale ponieważ ma na głowie masę dzieciaków, nie mogę mieć pretensji, że o mnie zapomniała.

W szkole podstawowej nauczyciele zawsze pamiętali o urodzinach uczniów, co było naprawdę miłe. Pieczono wtedy muffiny, brownies czy przynajmniej jakieś zwykłe ciastka, a wszyscy śpiewali z takim zaangażowaniem, że człowiek czuł się naprawdę wyjątkowy, czuł się częścią wspólnoty, nawet jeśli w głębi serca szczerze nienawidził swoich kolegów. Nauczyciele w szkołach podstawowych nie robią tego bez powodu. Nie chodzi wyłącznie o dobrą zabawę. Miało to określony cel.

Zastanawiam się, w jakim wieku wypada dać sobie spokój z pamiętaniem o urodzinach znajomych. Kiedy zanika w nas potrzeba, aby wszyscy dokoła potwierdzali oficjalnie, że się starzejemy, zmieniamy i przybliżamy do śmierci? O tych aspektach akurat nikt nie wspomina. Najpierw wszyscy pamiętają rok w rok o twoich urodzinach, a potem nagle nie możesz sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz ktoś zaśpiewał ci „Sto lat”. A przecież powinieneś to pamiętać, prawda?

Sam nie potrafiłbym wskazać konkretnego roku. Jakoś mi to uciekło. Smutne, że nie zauważyłem kiedy.

Odprowadzam wzrokiem oddalającą się korytarzem panią

Shanahan. Jej krok wydaje się sprężysty, zupełnie jakby komplementy wzmocniły w niej poczucie własnej wartości i wprawiły ją w przekonanie, że wykonuje rzeczywiście istotną pracę³².

W końcu znika mi z oczu.

32 Próbuję sobie wyobrazić, że jestem mężem pani Shanahan, że na każdy posiłek jem lizaki o smaku piwa korzennego. Pedagog szkolny – jako żona – prawdopodobnie troszczyłaby się o mój stan emocjonalny, choć kto wie, czy nie byłaby tak zmęczona rozwiązywaniem problemów innych ludzi, że po powrocie z pracy zamieniałaby się w samolubną sukę. Nie potrafię zdecydować, który wariant jest prawdziwy. Podejrzewam, że ten drugi.

SIEDEMNAŚCIE

List z przyszłości numer 3

Cześć, Tato!

Tu S., Twoja córka. Ale to dziwne! Nie rozumiem, dlaczego mam do Ciebie pisać, skoro dopiero co odpłynęłaś łodzią z dziadkiem, a delfin Horatio jak zwykle się przyłączył, żeby dotrzymać Wam towarzystwa.

Mamusia mówi, że jesteś smutny, ale twierdzi też, że piszemy do Ciebie, kiedy byłeś jeszcze małym chłopcem, czego w sumie nie rozumiem. Mama zmusza mnie do robienia masy dziwnych zadań szkolnych i podejrzewam, że ten list jest jednym z nich. Zawsze każesz mi słuchać mamy, no więc jej słucham. To ona pomaga mi napisać ten list. Mówi, że powinnam opowiedzieć w nim o rzeczach, które już o mnie wiesz, co wydaje się głupie. Ale co zrobić.

Mój ulubiony kolor to delfinowoszary.

Moja ulubiona konstelacja to Kasjopeja, ponieważ tak fajowsko wypowiada się jej nazwę!

Moje ulubione jedzenie to zupa kukurydziana z bekonem. (Ha, ha! Żartowałam!)

Moja ulubiona gra nazywa się „Kto tu mieszkał?”. Uwielbiam słuchać zmyślanych przez Ciebie opowieści o tym, jak wyglądało życie w mieście pod wodą – które Ty nazywasz Filadelfią.

Weszliśmy raz do mieszkania w starym wieżowcu, o którym mówisz Liberty Place. Opowiadałaś mi, że dawniej niektórzy ludzie mieszkali wysoko w chmurach niczym królowie i królowe i spoglądali z góry na wszystkich, którzy

musieli żyć blisko ziemi. Dziś tylko naprawdę bogaci mieszkają na ziemi, co nazwałś ironią losu.

Obeszliśmy cały dom i znaleźliśmy suknie – dowód, że faktycznie mieszkała tam kiedyś królowa. Suknie były lśniące i wielobarwne. I było ich tak wiele! Powiedziałeś, że Twoja matka zaprojektowała jedną z nich, co było miłą informacją, ponieważ nigdy nie wspominasz o swojej mamie.

W sypialni znaleźliśmy kasetkę ze złotą biżuterią. Zawsze pozwalasz mi zatrzymywać złoto. Zbieramy je z kasetek znalezionych na terenie całej Placówki 37. Trzymam je pod łóżkiem w starych pojemnikach na jedzenie, mimo że niespecjalnie rozumiem, dlaczego dawni ludzie tak bardzo kochali złoto (pomijając to, że tak pięknie lśni). Nazywaś mnie księżniczką, a kiedy czasem zakładałam na siebie tyle złota, ile tylko potrafię udźwignąć, nazywaś mnie Jay-Z i wybuchasz gromkim śmiechem.

Moja ulubiona bajka do poduszki opowiada o Filadelfijskiej Phyllis, małej dziewczynce, która na przełomie wieków rozwiązywała zagadki kryminalne. Opowiedziałeś mi mnóstwo historii o Filadelfijskiej Phyllis, a moja ulubiona to ta, w której bohaterka za pomocą magicznej broni powstrzymuje łobuza od zaczepiania innych dzieci w szkole. Często żałuję, że nie ma tu innych dzieci, ale słuchając Twoich opowieści o różnej maści łobuziakach, myślę sobie, że może mam szczęście.

Moja ulubiona piosenka to ta, którą napisał Twój tata, zatytułowana *Underwater Vatican*. Śpiewasz mi ją czasem, ponieważ tęsknisz za swoim tatą. (Mama pomogła mi napisać słowo „Vatican”. Mówi, że było to miejsce, gdzie dawno temu mieszkał jakiś ważny facet, ale nie za bardzo potrafi wyjaśnić, dlaczego był taki ważny. Twierdzi, że takich facetów już teraz nie ma).

Tatusiu, nie przychodzi mi do głowy nic innego, co mogłabym napisać.

Kocham Cię.

Przykro mi, że jako mały chłopiec byłeś smutny, ale teraz bardzo rzadko jesteś smutny, a to chyba dobrze, prawda?

Mamusia kazała mi napisać, żebyś się dzielnie trzymał.

Tak się tylko zastanawiam: trzymał czego?

Sama nie wiem. Ale trzymaj się.

No to napisałam list. Mam nadzieję, że mama zaliczy mi to zadanie.

Nie mogę się doczekać, kiedy zobaczymy się dziś wieczorem na kolacji. Zdaje się, że ZNÓW jemy supę kukurydzianą z bekonem, ponieważ tego mamy najwięcej, a inne rodzaje jedzenia oszczędzamy na specjalne okazje, na przykład urodziny. Moje będą za jakiś tydzień. Powiedziałeś, że przygotowałeś dla mnie absolutnie wyjątkową niespodziankę.

Ciekawe, co to będzie!

Nigdy, przenigdy nie zapominasz o moich urodzinach i zawsze przygotowujesz coś specjalnego.

Czy to prawda, że Ty nie masz urodzin?

Tak bardzo chciałabym wiedzieć, kiedy masz urodziny, ponieważ znalazłabym dla Ciebie najlepszy prezent na świecie. Horatio pomógłby mi przeszukać Placówkę 37 i znaleźlibyśmy coś idealnego.

Dlaczego nie chcesz mi powiedzieć, kiedy masz urodziny?

Mama uważa, że to przez złe wspomnienia.

Dlaczego ja nie mam złych wspomnień? Zapytałam ją o to, a ona odpowiedziała, że dlatego, że mam takiego wspaniałego tatę.

Uśmiecham się, kiedy to słyszę.

Jesteś dobrym tatą!

Kocham Cię!

*S., Twoja „Księżniczka Jay-Z”
(Co to jest „Jay-Z”? Zdradź mi to w końcu!)*

OSIEMNAŚCIE

Herr Silverman ma jakieś sto dziewięćdziesiąt centymetrów wzrostu. Jego sylwetkę najlepiej charakteryzuje słowo „żyłasty”. Włosy przedwcześnie przyprószyła mu siwizna i za dziesięć lat będzie całkiem siwiutki. Zawsze nosi krawat w jakimś wyrazistym kolorze, białą koszulę z długimi rękawami, zielone, jasnobrązowe lub czarne spodnie bez zaszewek, sznurowane buty z czarnego lub brązowego zamszu z postukującymi obcasami oraz skórzany pasek dobrany kolorystycznie do butów. Prosto, ale elegancko – zazwyczaj wygląda jak kelner w dobrej restauracji. Dziś ma na sobie czarne spodnie, krawat, buty i pasek. Zgolił załążki koziej bródki³³.

Na początku każdej lekcji wita uczniów w drzwiach, podaje też każdemu rękę przy wyjściu z klasy. Uśmiecha się wtedy i patrzy prosto w oczy. Żaden inny nauczyciel tego nie robi. Zdarza się, że powitania trwają tak długo, że część uczniów czeka pod klasą już po dzwonku, co mocno wkurza resztę grona pedagogicznego.

Kiedyś dyrektor nie zauważył stojącego w drzwiach Herr Silvermana i na widok kolejki zawołał: „Włazić do klasy, i to już!”.

„Nie ma powodów do zdenerwowania – uspokoił go wtedy Herr Silverman. – Jesteśmy w trakcie codziennego powitania. Każdy zasługuje na »Dzień dobry«. Dzień dobry, Andrew”.

³³ Herr Silverman nieustannie eksperymentuje z zarostem. W zeszłym tygodniu wpadł na kiepski pomysł, aby zapuścić brodę w stylu Abrahama Lincoln. Uczniowie komentują głośno jego kolejne pomysły, ale Herr Silverman nigdy nie wpada w złość. Na przytyki reaguje uśmiechem, który ma w sobie coś z autoironii. Wydaje się zupełnie niewrażliwy na komentarze innych, co jest naprawdę godne podziwu.

Dyrektor miał naprawdę dziwaczny wyraz twarzy i w końcu odpowiedział: „Dzień dobry”, po czym odszedł szybkim krokiem.

Dziś Herr Silverman ściska mi rękę i się uśmiecha.

– Podoba mi się twój nowy kapelusz, Leonardzie.

Robi mi się naprawdę miło, ponieważ wierzę, że kapelusz rzeczywiście mu się podoba, a ściśle mówiąc, podoba mu się to, że za pomocą stroju wyrażam swoją indywidualność – że założyłem coś innego niż reszta klasy i nie boję się inności³⁴.

– Dziękuję. Czy mogę z panem porozmawiać po lekcji? Mam coś dla pana.

– Oczywiście. – Kiwa głową i obdarza mnie kolejnym uśmiechem, autentycznym uśmiechem, który angażuje wszystkie mięśnie twarzy i nie wygląda na wymuszony. Uśmiech Herr Silvermana zawsze poprawia mi nastrój.

– Dlaczego musi codziennie ściskać każdemu dłoń? – komentuje Dan Lewis, kiedy siadamy w ławkach.

– Bo straszny z niego dziwak – odpowiada pod nosem Tina Whitehead.

Najchętniej wyciągnąłbym walthera P38 i palnął obojgu w te überdurne łepetyny, ponieważ Herr Silverman jest jedynym nauczycielem, któremu na nas zależy i który poświęca czas, aby nam o tym powiedzieć – codziennie! – tymczasem ci skretyniali buce z mojej klasy mają mu to za złe. Zupełnie jakby chcieli, aby ich lekceważono.

Podczas jednej z rozmów po lekcji Herr Silverman powiedział mi, że kiedy jakiś człowiek sprzeciwia się zastanemu porządkowi i zaczyna więcej wymagać od siebie, to nawet jeśli swoim postępowaniem przynosi korzyści innym, ludzie mają mu to za złe, głównie dlatego, że brakuje im siły, aby pójść w jego ślady. Może zatem Dan Lewis i Tina Whitehead są po prostu słabsi od Herr Silvermana i z tego powodu potrzebują jego życzliwości. Sam z pewnością nie poświęcałbym codziennie swojego czasu, żeby spojrzeć im prosto w oczy i się do nich uśmiechnąć, gdyby obgadywali mnie w ten sposób za

34 Co w zasadzie można uznać za credo Herr Silvermana – „Myśl samodzielnie i rób to, co uważasz za słuszne, ale pozwól innym na to samo”.

moimi plecami. Herr Silverman w swej mądrości rozumie, że przyzwolenie na różnorodność ma swoje konsekwencje. Ciągłe nam o tym przypomina. O konsekwencjach. Wyróżnia go to, że sam nigdy nie narzeka na konsekwencje, z którymi musi się zmagać.

– A zatem... – zwraca się do klasy Herr Silverman, a ja zauważam, że również dziś nie podwinął rękawów koszuli. – Mamy dzień pytań etycznych. Czy ktoś przygotował pytanie?

Dzień pytań etycznych polega na tym, że jedna osoba zadaje trudne pytanie związane z Holocaustem – przypominające dylemat moralny, na które nie sposób udzielić jednoznacznie pozytywnej lub negatywnej odpowiedzi – a później klasa dyskutuje nad odpowiedzią.

Dziś tylko ja wyciągam w górę rękę.

– Leonardzie?

– Założmy, że amerykański nastolatek odziedziczył hitlerowski pistolet po dziadku, który w czasie wojny wziął do niewoli i rozstrzelał wysokiej rangi nazistowskiego oficera. Co ten nastolatek powinien zrobić z bronią?

Naprawdę ciekawi mnie reakcja kolegów z klasy. Jestem pewien, że ich odpowiedzi nie będą się pokrywały z moją. Niesamowite, jak wiele nas dzieli.

Sporą przyjemność sprawia mi również mieszanie im w głowach – widać wtedy, jacy są głupi, ponieważ za nic w świecie nie wpadliby na to, że chodzi o mój pistolet, mimo że praktycznie właśnie im to powiedziałem. Jutro spojrzę na dyskusję w klasie z zupełnie innej perspektywy i uświadomią sobie własną durnotę.

Lucy Becker zgłasza się jako pierwsza, a jej wypowiedź sprowadza się mniej więcej do tego, że pistolet należy do Muzeum Holocaustu w Waszyngtonie, po czym rozwódzi się nad potrzebą dokumentowania naszych błędów, abyśmy nie byli skazani na popełnianie ich po raz kolejny³⁵.

– Kontrargumenty? – mówi Herr Silverman.

Jack Williams, dość inteligentny i ciekawy dzieciak,

³⁵ Jest to prawdopodobnie odpowiedź, za którą można uzyskać największą liczbę punktów z eseju na egzaminie kończącym szkołę.

przekonuje, że pistolet należałoby zniszczyć, i wspomina o neonazistach, którzy kolekcjonują tego rodzaju pamiątki. Jack twierdzi, że jeśli zniszczymy wszystkie pozostałości po nazistowskiej propagandzie, nikt nie będzie mógł ich wykorzystać do werbowania nowych zwolenników ruchu nazistowskiego.

– Właśnie dlatego prezydent Obama kazał pochować Osamę bin Ladena w morzu – wyjaśnia Jack. – Aby nikt nie wykorzystał jego grobu jako symbolu.

– Bardzo ciekawe spostrzeżenie, Jack – chwali go Herr Silverman. – Co na to reszta klasy?

Moi koledzy przerzucają się pomysłami, a ich odpowiedzi – mimo że sam postawiłem pytanie – zaczynają budzić we mnie pewien niepokój. Przyniosłem do szkoły prawdziwy hitlerowski pistolet, a teraz wszyscy debatują nad jego losami, nie zdając sobie sprawy, że moje pytanie etyczne nie odnosiło się wcale do sytuacji hipotetycznej, ale całkowicie realnej – nie wiedzą, że mam ten pistolet w plecaku.

Choć są niewyobrażalnie głupi, zaczynam się obawiać, że ktoś mimo wszystko połapie się w sytuacji i odgadnie, dlaczego postawiłem to pytanie właśnie dziś – a później mnie zlinczują³⁶.

Niepokoję się tak bardzo, że oblewa mnie pot.

Czuję się naprawdę zagubiony, zupełnie jakbym chciał, by wszystko to się skończyło – wszystko.

Jednocześnie chcę, żeby ktoś się domyślił, żeby połączył w całość wskazówki pozostawiane przeze mnie od rana, a nawet przez kilka ostatnich lat, ale nikt się niczego nie domyśla, a ja zaczynam rozumieć, dlaczego niektórym ludziom odbija i robią różne paskudne rzeczy – jak naziści, Hitler, Ted Kaczynski, Timothy McVeigh, Eric Harris, Dylan Klebold i Cho Seung-Hui³⁷ oraz wielu innych potwornych ludzi, o których

³⁶ Wydawałoby się, że lincz rozwiązałby wszystkie moje problemy, ale choć pragnę śmierci, bycie rozerwanym na kawałki, kończy na po koźczyńie, przez überdurnowatych kolegów z klasy to niezbyt malownicza perspektywa śmierci. Śmierć z rąk überdurniów byłaby überrozczarowująca.

³⁷ Powinniście sobie poczytać o tych mordercach. Wiele ich łączyło.

uczyliśmy się w szkole – zresztą wiecie co? Pieprzyć Lindę za to, że zapomniała o moich urodzinach – PIEPRZYĆ JĄ – bo jak można zapomnieć o tym, że urodziło się kogoś osiemnaście lat wcześniej, to NIEODPOWIEDZIALNE, NIEODPOWIEDZIALNE, samolubne, karygodne, nieludzkie i...

– Leonard? – mówi Herr Silverman.

Wszyscy odwrócili głowy i patrzą na mnie.

– Pokusisz się o podsumowanie?

Mam zebrać argumenty mówiące o tym, co należy zrobić z waltherem P38, i ocenić, która strona moim zdaniem wygrała dyskusję, ale nie mam zdania, ponieważ niespecjalnie przysłuchiwałem się wypowiedziom innych.

– Nie wiem. Jakoś dzisiaj nic nie wiem – mówię, po czym wydam z siebie niezamierzone westchnięcie.

Herr Silverman wpatruje się we mnie uważnie, w końcu odwzajemniam spojrzenie i zaczynam go telepatycznie błagać: „Proszę, niech pan odpuści. Dziś są moje urodziny. Zostało mi jeszcze tylko kilka godzin na tej planecie. Błagam. Niech pan będzie tak miły i odpuści”.

– To trudne pytanie, Leonardzie. I ciekawe. Sam nie znam odpowiedzi – stwierdza, ratując mnie z opresji.

Überdurnie wznoszą oczy do nieba i wymieniają spojrzenia.

Herr Silverman przechodzi do tablicy i zaczyna omawiać pojęcie rozdwojenia lub bycia dwoma osobami jednocześnie – dobry Niemiec z czasów drugiej wojny światowej spożywa obiad z rodziną przy schludnie zastawionym stole, czyta dzieciom bajkę na dobranoc, całuje je w czółka i przykrywa kołderkami, podczas gdy wcześniej przez cały dzień ignorował krzyki żydowskich kobiet i dzieci, posyłał ich do gazu i wrzucał ich zwłoki do przerażających masowych grobów.

Herr Silverman chce nam w ten sposób powiedzieć, że człowiek może być jednocześnie człowiekiem i potworem – że

Założę się, że pod wieloma względami czuli się osamotnieni, bezsilni, ZAPOMNIANI, ignorowani, wyalienowani, pozbawieni znaczenia, cyniczni i smutni. Poczytajcie o nich. Naprawdę warto. Można się niejednego nauczyć. Więcej, niż sam potrafię tu wyjaśnić.

w każdym z nas tkwią obie potencjalności.

Co głupsze dzieci wyklócają się z nim, że pod żadnym względem nie przypominają nazistów i nigdy nie zachowałyby się w podobny sposób. Wszyscy doskonale wiedzą, że zdaniem Herr Silvermana wszyscy jesteśmy pod pewnymi względami rozdwojeni, ale udają, że tego nie rozumieją.

Na podobnej zasadzie uczniowie cieszący się u nauczycieli opinią najsympatyczniejszych w weekendy żłopiają hektolitry alkoholu, prowadzą po pijanemu i zmuszą do seksu dziewczyny, z którymi umówili się na randkę. Na widok wpływowych dorosłych te odrażające istoty przechodzą metamorfozę po to, by otrzymać rekomendację na studia oraz innego rodzaju przywileje. Mniej popularne i autentycznie miłe dzieci czują się z tego powodu paskudnie. Sam nigdy nie ściągałem na klasówce ani nie splagiatowałem wypracowania, a Herr Silverman to prawdopodobnie jedyny nauczyciel w szkole, który zgodziłby się napisać dla mnie list polecający na uniwersytet.

Nasza klasowa prymuska Trish MacArthur otrzymała listy polecające od najpopularniejszych nauczycieli, tymczasem każdy uczeń w naszej szkole doskonale wie, że dziewczyna urządza najbardziej szalone imprezy z morzem wódki i narkotyków, na których częstymi gośćmi są policjanci, ale, jako że ma tatusia burmistrza, ich interwencja ogranicza się do polecenia: „Ściszcie muzykę”. W zeszłym roku jakiś dzieciak przedawkował w jej domu narkotyki i trafił do szpitala. O dziwo, wśród grona nauczycielskiego Trish nadal cieszy się nieskazitelną opinią. Chodzi ze mną na fakultet z angielskiego i zaproponowała mi kiedyś dwieście dolarów za „pomoc” w napisaniu wypracowania z *Hamleta*. Zatrzepotała powiekami, przybrała pozę niewiniątka, wypięła cycki, ściągając łopatki, i wyszeptała: „Bardzo cię proszę” tym swoim bezradnym głosikiem, którym zwraca się do nauczycieli płci męskiej. Oni to uwielbiają. Dziewczyna naprawdę wie, jak uzyskać to, czego chce. Oczywiście odpowiedziałem, żeby szła się walić. Nazwałem ją fałszywą prymuską i oszustką, na co ona stanęła prosto, pozwoliła grawitacji przejąć władanie nad

cyczkami, przestała mrugać w taki sposób, jakby jej powieki były motylimi skrzydełkami, po czym szorstkim, nienaturalnie dorosłym tonem powiedziała: „Czy ty w ogóle masz jakikolwiek cel w tej szkole? Żałosny jesteś, Leonard”.

Pokazała mi środkowy palec i sobie poszła.

Oto nasza szkolna prymuska.

Najlepsza z najlepszych.

Trish MacArthur.

– Skąd wiecie, jak byście postąpili, gdyby rząd waszego państwa zmuszał was do popełniania przestępstw, a wy mimo to chcielibyście pozostać dobrymi rodzicami? – pyta Herr Silverman. – Czy ci Niemcy byli źli, czy może próbowali się dostosować do społecznej i politycznej atmosfery swoich czasów?

Tymi słowami wprawia w zakłopotanie większość moich kolegów i koleżanek z klasy.

Przysłuchując się ich piskliwym odpowiedziom i próbom postawienia samych siebie na moralnym piedestale, dochodzę do wniosku, że przepaść między mną a nimi z czasem coraz bardziej się pogłębia.

Kłamią tak bezczelnie, że aż mi więdną uszy.

Dzisiejszy temat lekcji niesamowicie wkurza überdurniów, ale prawda zawsze w oczy kole. To przynosi mi pewne pocieszenie, choć nie dlatego, że hitlerowcy popełniali straszliwe zbrodnie, ale ponieważ Herr Silverman próbuje obnażyć to, co wszyscy inni starają się za wszelką cenę ukryć.

To przygnębiające, jak moi koledzy i koleżanki z klasy upajają się własną ignorancją. Wyłączam się na sporą część lekcji i czekam na dzwonek, aby wręczyć Herr Silvermanowi prezent i przybliżyć się do kresu Leonarda Peacocka.

DZIEWIĘTNAŚCIE

Po dzwonku zostają na swoim miejscu.

Herr Silverman tradycyjnie ustawia się przy drzwiach i osobiście żegna każdego ucznia opuszczającego klasę.

Wyraźnie zależy mu na każdym – nawet na tych najgłupszych.

Zachowuje się jak jakiś święty.

Większość dzieciaków przepycha się obok niego, nie podnosząc nawet wzroku, mimo że Herr Silverman stara się pożegnać z każdym.

Uwierzcie, ma to sens, nawet jeśli überdurnie z mojej klasy nie potrafią tego docenić.

Zdarzały się dni, kiedy Herr Silverman był jedynym człowiekiem, który nawiązał ze mną kontakt wzrokowy.

Jedynym człowiekiem przez caluteńki dzień.

Niby drobiazg, ale takie drobiazgi się liczą.

– A zatem – zwraca się do mnie Herr Silverman, zamykając drzwi do klasy³⁸. – Chciałeś ze mną porozmawiać.

– Chodzi o pytanie, które zadałem dziś na lekcji – wyjaśniam.

Siada w sąsiedniej ławce.

– No tak, co należałoby zrobić z hitlerowskim pistoletem.

– No właśnie. Czy uważa pan, że możliwa jest zmiana czegoś o negatywnej, potwornej konotacji w coś, co ma konotację

³⁸ Większość nauczycieli nigdy nie zamknie drzwi, przebywając sam na sam z uczniem, bo uważają to za sprzeczne z prawem czy coś w tym guście. To straszna głupota, bo sugerują w ten sposób, że nastolatek może zostać zgwałcony o każdej porze dnia i nocy, a otwarte drzwi go przed tym ochronią. (Nie ochronią. Bo niby jak?) Herr Silverman zamyka drzwi, czym wzbudza moje zaufanie. Nie gra według cudzych reguł – gra według własnych reguł.

pozytywną?

– Jasne – odpowiada.

Czekam, aż powie coś więcej, ale on milczy, czym wytrąca mnie z równowagi. Zmieszany sięgam do plecaka i wyciągam małe pudełko owinięte w różowy papier.

– To dla pana.

– Z jakiej okazji dajesz mi prezent? – Herr Silverman się uśmiecha.

– Wyjaśnię, kiedy go pan rozpakuje.

– Okej. – Kiwa głową i zaczyna ostrożnie odwijać różowy papier. Otwiera pudełko, po czym spogląda na mnie, unosząc brwi. – Czy to jest to, co myślę?

– Tak, to Brązowa Gwiazda, którą mój dziadek otrzymał za zabicie wysokiego rangą hitlerowca podczas drugiej wojny światowej.

– Dlaczego mi to dajesz?

– Z wielu powodów. Większości nie potrafię należycie wyjaśnić. Ale właśnie dlatego ludzie dają sobie prezenty, prawda? Nie potrafią wyrazić odczuć za pomocą słów, więc wyrażają je symbolicznie za pomocą prezentów. Doszedłem do wniosku, że świat byłby lepszym miejscem, gdyby medale przyznawano wspaniałym nauczycielom, a nie żołnierzom, którzy zabijali wrogów na wojnie. A skoro na lekcjach rozmawialiśmy o drugiej wojnie światowej i próbowaliśmy zrozumieć te wszystkie okropieństwa, uznałem, że dając panu ten medal, mógłbym zamienić jego negatywny aspekt w coś pozytywnego. Choć może to nie ma sensu. Sam nie wiem. Chciałbym jednak, żeby go pan przyjął, dobrze? To dla mnie ważne. Może schowa go pan sobie do szuflady w swoim biurku i ilekroć przejdzie panu przez głowę myśl, że nauczanie nie ma sensu, pomyśli pan o tym zwariowanym Leonardzie Peacocku, który uwielbiał pański przedmiot i podarował panu Brązową Gwiazdę swojego dziadka jako nagrodę za bycie znakomitym nauczycielem. Być może doda to panu siły. Sam nie wiem.

– Jestem zaszczycony, Leonardzie... naprawdę – mówi, patrząc mi prosto w oczy z typową dla siebie powagą. – Ale dlaczego podarowałeś mi go akurat dziś?

– Chyba bez powodu. Uznałem, że dziś nie zaszkodzi –
kłamie lekko drżącym głosem.

– Czy masz broń swojego dziadka z czasów drugiej wojny
światowej?

Tym pytaniem wprawia mnie w przerażenie.

– Co? – mówię zaskoczony i nagle zdaję sobie sprawę, że
gryzmołę piórem swoje imię na ławce.

Ciekawe, dlaczego to robię.

Zaraz potem zaczynam się zastanawiać, dlaczego Herr
Silverman nie mówi, abym przestał niszczyć sprzęt będący
własnością szkoły.

– Mam nadzieję, że się nie obrazisz, jeśli o coś zapytam,
Leonardzie. Nagła zmiana wyglądu zewnętrznego... Ściąłeś
sobie włosy, prawda?

Nie przerywam kreślenia swojego nazwiska na ławce.

– Rozdawanie własnego dobytku. To wyraźne znaki. Ludzie
planujący samobójstwo często zachowują się w ten sposób.
Niepokoję się, że to właśnie się z tobą dzieje.

L-E-O-N-A-R-D-P-E-A-C-O-C-K

L-E-O-N-A-R-D-P-E-A-C-O-C-K

L-E-O-N-A-R-D-P-E-A-C-O-C-K

Uwieczniam litery na ławce.

Dlaczego?

Nigdy wcześniej nie napisałem swojego nazwiska na ławce.

– Próbujesz mi coś powiedzieć? – docieka.

– W sumie nie – odpowiadam, nie podnosząc wzroku. –
Chciałem tylko, żeby pan wiedział, jak wiele ten przedmiot dla
mnie znaczy.

Milczy, ale czuję, że wpatruje się w moją twarz – wiem, że
jest zaniepokojony bardziej niż ktokolwiek inny i że będę
musiał wykazać się nie lada zdolnościami aktorskimi, jeśli
zamierzam opuścić klasę i dokończyć misję.

Raz jeszcze przywdziewam hollywoodzką maskę. Uśmiecham
się do niego, wręcz zmuszam do śmiechu.

– Prawdopodobnie rzeczywiście nosiłbym się z zamiarem
popęnienia samobójstwa, gdybym nie przychodził codziennie
do tej sali. Naprawdę chciałbym je popełnić. Pańskie lekcje są

zapewne ostatnią rzeczą, która mnie trzyma przy życiu.

– To nieprawda. W twoim życiu istnieje mnóstwo rzeczy, dla których warto żyć. W przyszłości czeka cię niewątpliwie dużo dobrego, Leonardzie. Jestem tego pewien. Nie masz pojęcia, jak wielu interesujących ludzi spotkasz po ukończeniu szkoły średniej. Twoja życiowa partnerka, najlepsza przyjaciółka, najcudowniejsza osoba, jaką kiedykolwiek spotkasz, siedzi teraz w jakiejś szkole średniej i czeka na jej ukończenie, żeby wkroczyć do twojego życia. Być może ma nawet podobne odczucia co ty, może wręcz rozmyśla o tobie, ma nadzieję, że starczy ci sił, aby dotrzeć do tego momentu w przyszłości, kiedy się spotkacie. Czy napisałeś te listy, o których rozmawialiśmy ostatnim razem? Listy z przyszłości? Spróbowałaś?

– Nie – kłamię, ponieważ pisanie listów obudziło we mnie wiele emocji, a nie chciałbym teraz o nich mówić. Muszę się skoncentrować na zadaniu. – Może zajmę się tym dziś wieczorem³⁹.

– Powinieneś. Myślę, że by ci pomogły.

Ponownie rozmyślam nad tajemnicą jego rękawów. Pewnie dlatego, że mam ostatnią okazję, aby go o to zapytać.

– Czy mogę panu zadać osobiste pytanie?

– Proszę bardzo.

Siedzimy w milczeniu przez chwilę, kiedy próbuję zebrać się na odwagę. Kiedy w końcu otwieram usta, mój głos drży.

– Dlaczego nigdy nie podwija pan rękawów ani nie nosi koszuli z krótkimi rękawami? Dlaczego nigdy nie nosi pan koszulki polo z herbem szkoły?

Serce wali mi tak mocno, że mogłoby rozerwać klatkę piersiową – do pewnego stopnia wierzę, że jego odpowiedź

39 Oczywiście listy napisałem już wcześniej, ale nie pokazałem ich Herr Silvermanowi, ponieważ zawierają myśli zbyt mocne, osobiste i szalone – a może oczekiwał czego innego. Mimo to czuję, że te listy są naprawdę ważne. Nie chcę pozbawić się efektu, jaki na mnie wywierają, nawet jeśli nie do końca rozumiem dlaczego. Chyba nie potrafiłbym tego znieść, gdyby Herr Silverman uznał je za bezsensowne. Zwłaszcza skoro twierdzi, że mogą mnie uratować, co oznacza, że według niego bez wątpienia jestem wart uratowania.

mnie uratuje. Nawet jeśli trudno powiedzieć dlaczego.

– Zauważyłeś to, co? – mówi Herr Silverman.

– Tak. Zastanawiam się nad tym od dłuższego czasu.

– Proponuję następujący układ – mówi, lekko mrużąc oczy. – Napisz listy z przyszłości, a ja zdradzę ci, dlaczego nie podwijam rękawów. Co ty na to?

– Jasne – mówię i uśmiecham się, ponieważ widzę, że Herr Silverman naprawdę jest przekonany o korzyściach, jakie wyniosę z napisania listów. Wkłada całe serce w pomaganie takim popieprzonym uczniom jak ja. Na chwilę zapominam, że listy już napisałem, a dziś jest ostatni dzień mojego życia, z czego wynika, że nigdy nie dowiem się, dlaczego Herr Silverman nie podwija rękawów. – Podoba się panu prezent?

Bierze do ręki Białą Gwiazdę i unosi ją sobie przed oczy.

– Jestem zaszczycony, że masz tak wysokie mniemanie o moich lekcjach, ale chyba nie mogę zatrzymać tego odznaczenia, Leonardzie. – Wkłada je z powrotem do pudełka. – To pamiątka rodzinna. Twoje dziedzictwo.

– A może pan ją przechować dla mnie w swoim biurku, dopóki nie postanowię, co z nią zrobić? – proponuję, ponieważ niespecjalnie mam ochotę wdawać się w dyskusję na ten temat. – Przynajmniej na jeden dzień. Będę naprawdę zobowiązany.

– Dlaczego?

– Tak po prostu. Dobrze? – Posyłam mu błagalne spojrzenie.

– Dobrze – mówi. – Na jeden dzień. A ty przyjdiesz jutro i ją odbierzesz? Obiecujesz?

Wiem, co próbuje zrobić – przydziela mi zadanie, które wymaga, abym przyszedł jutro do szkoły. Robi mi się nawet miło i jestem zaskoczony, że wciąż potrafię mieć lepsze samopoczucie.

– Tak – kłamię. – Przyjdę po nią jutro.

– Dobrze. Zawsze chętnie słucham twoich opinii. Byłbym zdruzgotany, gdyby twoja ławka choćby raz stała pusta. Überzdrutzotany.

Nasze spojrzenia jakby spotykają się na chwilę, a mnie przychodzi do głowy, że Herr Silverman jest jedyną osobą

w moim życiu, która nigdy nie wciska mi kitu. Pewnie również jedyną w szkole, która autentycznie przejęłaby się moim zniknięciem.

– Rząd powinien odznaczyć pana za bycie dobrym nauczycielem, Herr Silverman. Mówię poważnie. Naprawdę powinien.

– Dziękuję, Leonardzie. Na pewno wszystko u ciebie w porządku? Nie chciałbyś porozmawiać ze mną na jakiś inny temat?

– Tak, wszystko w porządku. Tak się zresztą składa, że idę zaraz do pedagog szkolnej. Pani Giavotella już wcześniej zgłosiła jej moje „dziwne zachowanie”. Prędzej czy później poproszą pana o ocenę mojej poczytalności. Udaję się teraz do pedagog, więc nawet gdyby rzeczywiście pomieszało mi się w głowie, pani nadterapeutka Shanahan wyleczy mnie błyskawicznie za pomocą lizaków o smaku piwa korzennego, zanim jeszcze zdążę opuścić budynek. Zatem nie ma powodów do obaw, prawda?

Podnoszę wzrok, aby sprawdzić, czy dał się nabrać na moje kłamstwa, ale od razu widzę, że nie.

– Przepraszam za te bazgroły na ławce. Chce pan, żebym ją umył?

– Dam ci numer mojej komórki. Obiecasz, że do mnie zadzwonisz, gdyby ogarnęło cię pragnienie odebrania sobie życia?

– Ja nie zamierzam...

– Możesz zadzwonić o dowolnej porze, nawet w środku nocy. Przynajmniej zadzwoń wcześniej, a zdradzę ci, dlaczego nie podwijam rękawów. Obiecujesz? Idę o zakład, że odpowiedź na to pytanie poprawi ci samopoczucie. Zostawmy ją sobie na czarną godzinę. Posłużymy się anegdotą jako antidotum – mówi, po czym uśmiecha się w taki sposób, że i ja się uśmiecham, ponieważ widzę, że jest dumny z tego głupkowatego niepełnego rymu, a poza tym ponownie łamie reguły, podając mi numer swojego prywatnego telefonu komórkowego. Żaden inny nauczyciel z mojej szkoły by tego nie zrobił. Herr Silverman staje na głowie, żeby mi pomóc. Robi mi się smutno na myśl, że będzie naprawdę zmartwiony, kiedy usłyszy o popełnionym przeze mnie morderstwie

i samobójstwie. – Obiecujesz zatem, że zadzwonisz, kiedy będzie ci gorzej, zanim zrobisz coś pochopnego? Odpowiem wtedy na twoje pytanie. To wielka tajemnica. Ale tobie, Leonardzie, ją zdradzę, ponieważ myślę, że powinieneś ją znać. Jesteś inny. Ja też jestem inny. Inność to cecha pozytywna. Ale inność jest również trudna. Uwierz mi, wiem.

Jego słowa o byciu innym dość mną wstrząsają, ponieważ wcześniej nie przyszło mi nigdy do głowy, że nauczyciele mają podobne odczucia jak ja, ale kiwam z powagą głową, jakbym rozumiał, co mówi, a jednocześnie nie przestaję rozmyślać o tym, jaki, do licha, sekret może się kryć pod tymi rękawami.

Zapisuje numer swojej komórki zielonym atramentem i podaje mi karteczkę.

– Napisz listy z przyszłości, Leonardzie. Ci ludzie chcą cię poznać. Twoje życie stanie się znacznie lepsze. Obiecuję. Na razie wytrzymaj, ile tylko możesz. I patrz z optymizmem w przyszłość. Uwierz mi. Masz za sobą tylko drobną część życia. Mgnienie oka. A gdybyś uznał, że jednak nie potrafisz w to uwierzyć, zadzwoń do mnie o dowolnej porze. Porozmawiamy. Odpowiem na twoje pytanie. Bo właśnie wtedy ci to pomoże. Obiecuję.

– Dlaczego jest pan dla mnie taki miły? – pytam.

– Ludzie powinni być dla ciebie mili, Leonardzie. Jesteś istotą ludzką. Powinieneś oczekiwać, że ludzie są dla ciebie mili. Te osoby z twojej przyszłości, te, które piszą do ciebie listy, one również będą miłe. Wyobraź to sobie, a tak się stanie. Napisz listy.

– Okej – mówię. – Dziękuję, Herr Silverman.

I możliwie najszybciej zmywam się z klasy.

Gdyby tylko świat był pełny Herr Silvermanów... Ale nie jest. Składa się głównie z überdurniów w rodzaju moich kolegów i koleżanek z klasy, pośród których trafiają się też sadystyczne buce pokroju Ashera Beala.

Nie idę do pani pedagog.

Nie zjem dziś lizaka o smaku piwa korzennego.

Został mi jeszcze jeden prezent do dostarczenia.

Muszę wypełnić misję.

DWADZIEŚCIA

Ostatnie urodziny, które obchodziłem wspólnie z Asherem Bealem, odbyły się jakieś siedem lat temu, zanim jeszcze wydarzyły się wszystkie naprawdę złe rzeczy.

Na przyjęciu rozwinął prezent ode mnie, a w środku znalazł kartkę papieru z pytajnikiem.

– Co to ma być? – spytał, przyglądając mi się spod przymrużonych powiek.

Odgłos roztrącanych drewnianych kręgli odbił się echem w hali. Jego olewająca, ale sympatyczna matka zarezerwowała dwa tory⁴⁰.

– Najlepszy prezent urodzinowy, jaki kiedykolwiek dostaniesz – wyjaśniłem.

– Nie rozumiem.

Pamiętam, że inne dzieci uczestniczące w urodzinach spojrzały na mnie dziwnie, jakby mówiły: jak, do diabła, pytajnik na kartce papieru ma być prezentem?⁴¹

– Zrozumiesz – odparłem z przekonaniem.

– Kiedy?

– Wkrótce.

– Okej – powiedział Asher, wrzucił ramionami i zabrał się do otwierania pozostałych prezentów: DVD z wrestlingiem, gier komputerowych, kuponów podarunkowych, standardowych rzeczy.

Pamiętam, że rozpiełała mnie duma, jakbym zrobił dla mojego najlepszego przyjaciela coś tak wspaniałego, że nie

⁴⁰ To nas z Asherem łączyło – olewające matki.

⁴¹ Już wtedy byłem dziwnym dzieckiem, co ludzie zaczynali coraz wyraźniej dostrzegać. Asher miał wielu kolegów, ale ja tak naprawdę miałem tylko Ashera.

będzie się mógł nadziwić. Matki pozostałych gości bezmyślnie kupiły typowe prezenty, o których jedenastolatek zapomni po kilku dniach.

W tamten weekend zaprosiłem Ashera, by spędził noc w moim domu, a kiedy przyjechał, spodziewając się, że spędzimy wieczór na graniu na komputerze i zjadaniu się pizzą, pojawił się mój tata i swoim zabawnym głosem oświadczył:

– Paniczu Beal, limuzyna czeka.

– Co? – zdumiał się Asher. Roześmiał się zdezorientowany, nie rozumiejąc, co się dzieje, a to mnie niezmiernie ucieszyło⁴².

Ponieważ tata był w dobrym humorze⁴³, odgrywał rolę naszego szofera i z kamienną twarzą, jakby nas w ogóle nie znał, oświadczył:

– Pan Peacock kazał mi zawieźć panicza do Atlantic City, gdzie dzisiejszego wieczoru będzie panicz uczestnikiem koncertu rockowego.

Asherowi rozbłyły oczy.

– Tylko nie mów, że masz bilety na Green Day. Powaga?

– Wszystkiego najlepszego – powiedziałem z uśmiechem.

Jego twarz pojaśniała z radości.

– Tak! Tak! Tak! – zawołał, unosząc pięści w powietrze, po czym niezgrabnie mnie objął i przewrócił na kanapę.

Chyba nigdy nie czułem się lepiej, jak w tamtej chwili, być może dlatego, że ani wcześniej, ani później nie wzbudziłem w innej istocie ludzkiej takiej radości, żeby spontanicznie rzuciła mi się na szyję.

Przez całą drogę do Atlantic City opowiadał o Green Day, o prawdopodobnej liście piosenek, że najbardziej chciałby usłyszeć *American Idiot*, swój ulubiony przebój. Miał to być jego pierwszy prawdziwy koncert. Siedziałem obok Ashera, chłonąc jego entuzjazm.

42 Dlaczego uwielbiamy zaskakiwać innych? Czy dlatego, że lubimy wiedzieć coś, czego oni nie wiedzą? Czy daje nam to poczucie władzy? Czy byłem szczęśliwy, ponieważ Asher musiał podporządkować się moim planom? A może po prostu próbowałem zrobić coś miłego?

43 Tata zawsze był w dobrym humorze, kiedy wybierał się do kasyna.

Tata zabrał nas do irlandzkiego pubu na kolację, gdzie wypił kilka piw, a potem zaprowadził nas na koncert, który odbywał się w jednym z kasyn. Nie pamiętam w którym, ponieważ jak dla mnie wszystkie wyglądały identycznie. Kiedy Asher zorientował się, że siedzimy w pierwszym rzędzie, ponownie rzucił mi się na szyję.

– Jesteś wielki, Leonardzie Peacocku! Pierwszy rząd? Pierwszy rząd? Jakim cudem?

W tamtym czasie mój tata wciąż miał tu i ówdzie chody, ale nie powiedziałem tego Asherowi, tylko wzruszyłem skromnie ramionami.

Uszczęśliwiając przyjaciela, czułem się zajebiście dobrze.

Zupełnie jakbym był bohaterem.

Green Day weszli na scenę.

Kiedy zaczęli grać *American Idiot*, Asher złapał mnie za ramię, wrzasnął z radości prosto w moją twarz, po czym wyśpiewał całą piosenkę.

Nigdy nie uważałem się za wielkiego fana Green Day, ale to był najlepszy koncert, jaki widziałem na żywo, głównie z powodu ogromnej radości, którą sprawiało mi obserwowanie, jak Asher przeżywa możliwość obejrzenia na żywo ulubionego zespołu – świadomość, że przeżywa to dzięki mnie, że to ja jestem bohaterem wieczoru, że to ja dałem mu najlepszy prezent pod słońcem, że te wszystkie buce z przyjęcia urodzinowego, dzieciaki z naszej klasy, które krzywiły się na widok pytajnika narysowanego na kartce papieru, że wszystkie one nie rozumiały ani prezentu, ani mnie, ani, generalnie rzecz biorąc, życia.

Ubrani w koszulki Green Day z granatami w kształcie serc, spotkaliśmy się z moim tatą w wyznaczonym miejscu pod kasynem. Ledwie go zrozumiałem, kiedy zapytał o wrażenia, ponieważ nadal dzwoniło mi w uszach.

– Było bombowo! – powtarzał Asher. – Fantastycznie!

– No dobrze, no dobrze – powiedział tata, cały wyluzowany i ze szklistym spojrzeniem, jak zwykle po kilku piwach. – No dobrze, no dobrze.

Powiedział to szybko i jakby rytmicznie, kładąc akcent na

drugie „do” i nie wymawiając ostatniego „e”, przez co całość brzmiała jak: „No dobrze, no opsz”.

W miesiącach poprzedzających ucieczkę z kraju, kiedy tata często tracił panowanie nad sobą, „No dobrze, no opsz” było w zasadzie jego odpowiedzią na wszystko. „Tato, oblałem klasówkę z geologii”. „No dobrze, no opsz”. „Mama puka się z tym francuskim projektantem, u którego pracowała jako modelka”. „No dobrze, no opsz”. „Tato, przed momentem podpaliłem ci jaja”. „No dobrze, no opsz”. Zamienił się w jedną z tych lalek, które powtarzają nagrane hasło, ilekroć pociągnie się za sznurek. „No dobrze, no opsz”. „No dobrze, no opsz”. „No dobrze, no opsz”.

W pokoju hotelowym zarządził: „Możecie sobie wypożyczyć film, ale macie zostać w pokoju. No dobrze, no opsz? Ja wracam do kasyna. Mam przeczucie, że dopisze mi dziś szczęście”. Nie zdziwiłem się, ponieważ tata zawsze zostawiał mnie samego, nawet kiedy byłem małym dzieckiem.

Po wyjściu taty odczekaliśmy z Asherem dziesięć minut, a gdy nabraliśmy pewności, że zaczął już w coś grać, ruszyliśmy na zwiedzanie hotelu.

Pokonaliśmy biegiem niekończący się labirynt korytarzy, pukając do drzwi, opróżniając maszyny do lodu, tocząc na klatkach schodowych bitwy na lodowe kulki; na zmianę siadaliśmy na wózku pokojówki i wjeżdżaliśmy nim w ścianę; spróbowaliśmy się wkręcić do nocnego klubu, ale zostaliśmy przyłapani przez bramkarza, który zaśmiewał się do rozpuku, kiedy oświadczyliśmy – z całkowicie poważnymi minami – że Asher obchodzi dziś dwudzieste pierwsze urodziny. Obeszliśmy kasyno w poszukiwaniu członków zespołu Green Day i zostaliśmy stamtąd w końcu wykopani; w środku nocy zaspokoiliśmy wilczy apetyt pizzą, a na zakończenie zasiedliśmy na promenadzie z łokciami opartymi na barierce i nogami dyndającymi za krawędzią.

– Zajebisty wieczór, stary – stwierdził Asher. – Najlepszy prezent urodzinowy w historii. Szacunek.

– Żebyś wiedział – odpowiedziałem, kiedy tak przysłuchiwalismy się dobiegającemu z ciemności hukowi fal.

– Myślisz, że przyjedziemy kiedyś do tego hotelu jako dorośli? – spytał. – Myślisz, że wciąż będziemy się kumpłować?

Gdyby ktoś przyłożył do mojej jedenastoletniej głowy hitlerowskiego walthera P38 i zagroził śmiercią, jeśli nie powiem prawdy, po czym zapytał, czy do końca życia zostaniemy z Asherem najlepszymi przyjaciółmi, tamtej nocy bez wahania odpowiedziałbym: Tak⁴⁴.

– Prawdopodobnie – stwierdziłem.

Potem dalej siedzieliśmy na promenadzie, wymachując nogami.

Nie rozmawialiśmy wiele więcej i przez cały wieczór nie zdarzyło się nic szczególnie niezwykłego – same typowe dla dzieciaków wygłupy⁴⁵.

Być może to był ten rodzaju haju, który potrafią osiągnąć i zrozumieć tylko dzieci.

Tamtej nocy dokoła nas setki dorosłych piły alkohol, grały w kasynach i paliły skręty, ale idę o zakład, że ani jeden nie był na takim haju jak Asher i ja.

Być może właśnie dlatego dorośli piją, uprawiają hazard i zażywają narkotyki – nie potrafią się dłużej podjarać w naturalny sposób.

Być może z wiekiem tracimy tę zdolność.

Bez wątpienia utracił ją Asher.

44 Dzieci przypominają ślepych pasażerów – nie widzą, co je czeka na dalszym etapie podróży.

45 Zastanawialiście się kiedyś nad wszystkimi wieczorami waszego życia, których nie potraficie sobie przypomnieć? Tak prozaicznymi, że mózg nie zadał sobie trudu, by je zarejestrować. Setki, może tysiące wieczorów rozpoczęło się i zakończyło, nie pozostawiając żadnego śladu w pamięci. Czy to was nie przeraża? A co, jeśli wasz umysł zapamiętuje te niewłaściwe wieczory?

DWADZIEŚCIA JEDEN

Kiedyś po długim, przygnębiającym popołudniu, kiedy wychodziłem ze stacji metra ubrany w pogrzebowy garnitur po całym dniu spędzonym na obserwowaniu nieszczęśliwych dorosłych filadelfijczyków, jakaś dziewczyna⁴⁶, której nigdy wcześniej nie widziałem, podetknęła mi pod twarz świstek papieru.

– Jedyna droga, jedyna prawda, jedyne światło!

– Słucham? – spytałem.

– Oto traktat. Przeczytaj go.

Wziąłem broszurkę, która przypominała miniaturowy zeszyt z komiksem. Obrazki i słowa wykonano czerwonym tuszem, przez co wszystko wyglądało niesamowicie dramatycznie i poważnie. Na pierwszej stronie widniała fotografia uśmiechniętego mężczyzny. Pod życzliwą twarzą napisano: „Możesz być najsympatyczniejszym człowiekiem na świecie, ale jeśli brak ci Jezusa w sercu, pójdziesz do piekła”.

Pamiętam, że zaśmiałem się wtedy, ponieważ hasło brzmiało tak pompatycznie, że przypominało raczej dowcip. Przeszło mi

⁴⁶ Zwróciłem uwagę przede wszystkim na to, że w najmniejszym stopniu nie przypominała dziewczyn z mojej szkoły. Miała ostre rysy twarzy i jakby staromodną sylwetkę, podobną do dziewczyn z filmów Bogarta. Tych bardziej wyrafinowanych. Tajemniczych. Niebezpiecznych. *Femmes fatales*. Kobieta, dla której mężczyzna jest gotów zaryzykować śmierć z rąk jej wrogów, byle tylko móc ją pocałować na końcu przygody, kiedy w tle zaczyna grać orkiestra smyczkowa, a ona jest bliska omdlenia. Dziewczyna, dla której każdy chłopak natychmiast traci głowę. Widziałem, że nie przypomina tej *femme fatale* w okularach w stylu lat siedemdziesiątych, którą śledziłem kiedyś w Filadelfii. Wydawała się mniej szalona, a bardziej radosna, optymistyczna i pociągająca.

przez myśl, że broszurka jest tylko zasłoną dymną – częścią pułapki zastawionej przez dziewczynę o staromodnej sylwetce.

– Kim jesteś? – spytałem, starając się zrobić wrażenie wyluzowanego i opanowanego jak Bogart.

– Nazywam się Lauren Rose. Chciałabym wskazać ci jedyną prawdziwą drogę. Przekazać dobrą nowinę.

Miała na imię Lauren i była wysoką blondynką.

Lauren.

Gdybym wierzył w sygnały od losu, pewnie lekko bym się wystraszył, ponieważ dziewczyna naprawdę mocno przypominała młodą Lauren Bacall, wysoką blondynkę o podobnie ostrych rysach twarzy, porażająco piękną za swoich najlepszych lat – nieodparcie piękną. Mając w pamięci Bogarta, który tyle razy zdobywał Bacall w czarno-białej krainie Hollywood, ogarnęło mnie poczucie swego rodzaju nieuchronności. Będzie to pierwsza dziewczyna, którą pocałuję, postanowiłem w myślach. Wyzaczyłem sobie cel, a potem uczepliłem się go niczym chart ścigający zająca.

– Co to za dobra nowina? – spytałem, starając się robić wrażenie spokojnego, uprzejmego i pewnego siebie jak czarno-biały Bogart. Udawałem, że jesteśmy postaciami z *Wielkiego snu*. – Bardzo by się jakaś przydała.

– Że Jezus Chrystus oddał życie za nasze grzechy.

– Aha.

Nie wiedziałem, co o tym myśleć, a jej misjonarski ton wyrwał mnie na chwilę z filmowej fantazji, niemniej cel miałem już wyznaczony, a pamiętałem, że Bogart zawsze zdobywa Bacall, niezależnie od tego, jak wiele przeszkód musi pokonać, ilu bandytów załatwić. W związku z tym spróbowałem zmienić temat.

– Chyba nigdy wcześniej cię nie widziałem. Chodzisz gdzieś tu do szkoły średniej?

– Nie. – Pokręciła głową, po czym zwróciła się do grupy biznesmenów: – Jezus was miłuje.

Minęli ją bez słowa, nie biorąc ulotki wyciągniętej w ich stronę. Nawet nie spojrzeli na dziewczynę. Zupełnie jakby była niewidzialna. A choć sam nie mam zwyczaju wdawania się

w debaty o religii z ludźmi wierzącymi, zrobiło mi się żal Lauren, ponieważ z jej oczu biła desperacja, z gatunku tych, które wymagają interwencji drugiej osoby. Większość podróżnych wychodzących ze stacji w ogóle nie dostrzegała Lauren, ponieważ chcieli jak najszybciej wrócić do domu po długim dniu pracy.

Niektórzy wierzą w boga którejś z istniejących religii, a zatem nie potrzebują rozdawanej przez nią ulotki, inni i tak nigdy nie uwierzą. Podejrzewam, że ludzie mieszczący się między tymi dwiema skrajnościami nie chcą, by ktoś zawracał im głowę w drodze powrotnej z pracy.

– A gdzie chodzisz do szkoły? – spytałem, licząc na zmianę tematu.

– Odbieram edukację w domu.

– Czyli uczy cię mama?

– I tata. Tak.

Wpatrywała się z nadzieją w ludzi wychodzących ze stacji metra i przestała zwracać na mnie większą uwagę, co wydało mi się dziwne, jako że byłem jedyną osobą, która wzięła tę jej broszurkę. Wydawałoby się, że powinna dołożyć wszelkich starań, aby mnie przekonać, prawda? Była klasyczną *femme fatale* – zdeterminowaną, piękną, arystokratyczną.

– Dlaczego? – spytałem.

– Co dlaczego?

– Dlaczego uczysz się w domu?

– Rodzice chcą, żebym odebrała chrześcijańską edukację.

– Co to oznacza? – dociekałem, by podtrzymać rozmowę.

– Edukację opartą na Biblii.

– Aha.

– Jezus cię miłuje – powiedziała do starszego mężczyzny, ale on zignorował wyciągniętą broszurę.

– Jeżeli ją przeczytam – uniosłem egzemplarz, który mi dała – możemy później porozmawiać?

Odwróciła się do mnie, jej oczy rozbłysły.

– Mówisz poważnie? Naprawdę zamierzasz to przeczytać i zastanowić się, czy nie powierzyć życia Jezusowi Chrystusowi?

– Jasne – odpowiedziałem i zacząłem się śmiać. Musiałem być pierwszą osobą, która zgodziła się przeczytać tę jej broszurkę. Lauren zachowywała się jak podekscytowana dziewczynka, a choć musiała być w moim wieku, wydawała się znacznie młodsza, jakby niezepsuta, zdolna do entuzjazmu, niekryjąca emocji przed obcymi ludźmi. Choć w jej przypadku chodziło o Jezusa, podobało mi się, że potrafiła się szczerze czymś podekscytować.

– Chcesz przyjść do mojego kościoła w tę niedzielę?

– Najpierw to przeczytam, a potem porozmawiamy, dobrze?

– Jak się ze mną skontaktujesz? – zapytała wyraźnie zaniepokojona.

– Przeczytam broszurę na tamtej ławce, a potem porozmawiamy, okej?

Przygryzła dolną wargę i pokiwała głową zdecydowanie zbyt entuzjastycznie – aż mnie tym lekko przeraziła – a gdyby nie zrobiła tej samej kociej sztuczki, którą Lauren Bacall stosuje czasami w filmach z Bogartem, kiedy w wyrafinowany sposób mruży oczy i spogląda spod rzęs na swojego mężczyznę, prawdopodobnie od razu dałbym za wygraną.

– Och, zaczekaj... – powstrzymała mnie, kiedy ruszyłem w stronę ławki. Zaczęła grzebać w pliku kartek papieru. Po chwili uśmiechnęła się i wyciągnęła inną broszurę. – Przeczytaj tę. Jest przeznaczona dla nastolatków.

– Okej.

Usiadłem na ławce i uporałem się z całością w jakieś pięć minut.

Nie bardzo potrafiłem uwierzyć w to, co przeczytałem.

Broszurka była dość powalona, co powinno mi wystarczyć za wskazówkę, aby uciekać od mojej damy gdzie pieprz rośnie.

Z grubsza chodziło o to, że czworo nastolatków – dwóch chłopaków i dwie dziewczyny – wyprawia się kabrioletem do lasu „poszaleć”. Jadą „zaparkować”, co w praktyce oznacza picie piwa, całowanie się i obmacywanie. Bohaterem broszurki jest chłopak z tylnego siedzenia, który jako głęboko wierzący chrześcijanin ma wątpliwości, co powinien sądzić na temat „grzechów” popełnianych w trakcie wycieczki. W dymku nad

jego głową pojawiają się rozmyślenia w rodzaju: „Cindy jest niesamowicie piękna i mam wielką ochotę przespać się z nią, ale wiem, że zawiódłbym Jezusa. Zrobiłem mu już przykrość, pijąc piwo”⁴⁷.

W pewnym momencie oczami bohatera oglądamy widok na przednie siedzenie – takie staromodne, przypominające ławkę, które nie ma przerwy między fotelem kierowcy a fotelem pasażera ani środkowego pulpitu sterowniczego (z czego wyciągam wniosek, że jest to bardzo stara broszurka, może nawet z lat pięćdziesiątych). Widzimy nagie stopy dziewczyny uniesione w górę, co, jak się domyślam, miało oznaczać, że para na przednim siedzeniu uprawia seks. Cindy, dziewczyna z tylnego siedzenia, mówi do bohatera: „Wiesz, że tego chcesz. Zabawmy się. Mama ci nie mówiła, żebyś próbował nowych rzeczy?”.

Na następnym obrazku bohater Johnny wypija duszkiem piwo.

Potem widzimy, jak grupa jedzie z powrotem do domu. Kierowca ma oczy jak szparki, co zapewne oznacza, że jest pijany.

Zaraz potem widzimy zbliżenie na twarz Johnny’ego, a dymek nad jego głową mówi: „Panie Jezu, zawiódłem cię. Seks. Alkohol. Tak mi przykro. Czy kiedykolwiek mi wybaczysz?”.

Nie uwierzycie, ale na następnym obrazku samochód wpada na drzewo, a duch Johnny’ego unosi się ku niebu. Przyznaję, ucieszyłem się, że przynajmniej pozostała trójka przeżyła, niemniej nie potrafiłem dostrzec sensu całej opowiadki.

Broszurka pokazuje trzeźwego Johnny’ego w niebie, gdzie rozmawia z Jezusem, który co prawda ma typową jezusową brodę, białą szatę i aureolę, ale na moje oko z niewiadomych

47 Taki scenariusz to kompletna bzdura, ponieważ dziewczyna, z którą „zaparkował”, gładzi wewnętrzną stronę jego uda, a on ją kilka razy odpycha. Żaden nastoletni chłopiec nie odepchnie ręki ładnej dziewczyny od swojego krocza. Poza tym wszyscy wiedzą, że Jezus pił ze swoimi kompanami wino, dlaczego zatem miałyby go rozczarować ktoś, kto pije piwo?

powodów przypomina raczej gracza zawodowej ligi baseballowej. Ma to charakterystyczne spojrzenie baseballisty oraz kudłate włosy i brodę, ale jednocześnie sprawia wrażenie schludnego. Nie wygląda na kmiotka. Rozumiecie, co mam na myśli?

„Panie Jezu, przepraszam, że cię zawiodłem”, mówi Johnny.

„Prosiłeś o wybaczenie i otrzymasz ode mnie wybaczenie, ponieważ jesteś chrześcijaninem”, stwierdza Jezus, co wydało mi się dość miłym podejściem.

„Dziękuję, że oszczędziłeś życie moich przyjaciół”, mówi Johnny.

Jezus robi naprawdę smutną minę, z czego jasno wynika, że przyjaciele bohatera nie przeżyli, a ja niemal przerywam lekturę, ponieważ domyślam się, jakie to brednie zaraz przeczytam.

„Dlaczego nie opowiedziałeś o mnie swoim przyjaciołom, kiedy jeszcze żyli? – pyta Jezus. – Miałeś tak wiele okazji”.

„Moi przyjaciele zginęli?!”, woła przerażony Johnny.

Następny obrazek pokazuje trójkę wrzeszczących i trzymających się za twarze nastolatków pośrodku morza płomieni.

„Mogliby trafić razem z tobą do nieba, Johnny, ale nie opowiedziałeś im o mnie”, mówi Jezus.

Johnny chowa twarz w dłoniach i łka.

Poniżej umieszczono numery telefonów, pod które można zadzwonić, i adresy stron internetowych do odwiedzenia. Wszystkie one pomogą powierzyć życie Jezusowi.

Jezus Maria! myślę.

Opowiadka była niedorzeczna, a ponieważ wielu rzeczy nie rozumiałem, podszedłem do Lauren.

– Chyba nie rozumiem, o co tu dokładnie chodzi.

Na jej twarzy pojawił się wyraz wielkiego zatroskania.

– Chyba nie chcesz pójść do piekła?

Miałem już wyjaśnić, że nie wierzę w piekło, ale pragnienie pocałowania Lauren w stylu Bogarta było tak silne, że wolałem nie wspominać o niczym, co groziłoby przerwaniem rozmowy. Obejrzałem dostatecznie wiele filmów z Bogartem, aby

wiedzieć, że jeśli chodzi o piękne kobiety, trzeba przetrzymać ich szaleństwa, a Lauren, mimo zwariowanych poglądów, wydawała się pięknieć za każdym razem, kiedy na nią patrzyłem. Poza tym nigdy wcześniej nie przeprowadziłem tak długiej rozmowy z dziewczyną w swoim wieku, więc nie chciałem tego schrzanić.

– Dlaczego Johnny nie poszedł, jak pozostali, do piekła, skoro uprawiał seks i pił alkohol? – spytałem.

– Zaprosił Jezusa do swojego serca.

– Co to znaczy?

– Jeśli zaprosisz Jezusa do swojego serca, pójdiesz do nieba niezależnie od tego, co zrobiłeś. Krew Jezusa Chrystusa przemywa nasze serca, pozostawiając je białymi niczym śnieg.

– A zatem wystarczy wypowiedzieć formułkę?

– Co?

– Jeżeli powiesz: „Jezu, przybądź do mego serca”, będziesz bezpieczna? Niezależnie od wszystkiego idziesz do nieba. I tyle?

– Musisz wypowiedzieć te słowa szczerze.

– Skąd możesz wiedzieć, czy wypowiem je szczerze?

– Ty będziesz to wiedział w głębi serca i Bóg będzie wiedział. Co kryje się w głębi twojego serca? – Lauren wskazała na moją klatkę piersiową.

– Nie wiem – odpowiedziałem, ponieważ moje serce przepelniało pożądanie. Chciałem pocałować Lauren tak samo jak dziewczyna w samochodzie chciała pocałować Johnny’ego. Chciałem „zaparkować” z Lauren w najpaskudniejszy możliwy sposób. Oto, co podpowiadało mi serce.

– Chciałbyś przyjść w najbliższą niedzielę do mojego kościoła? – spytała Lauren.

– Spotkam cię tam?

– Oczywiście! Mój ojciec jest pastorem. Usiądziesz w naszej rodzinnej ławce, na samym przodzie!

Nie miałem ochoty na wizytę w kościele, ale rozumiałem, że odpowiedź twierdząca pomoże mi zrealizować plany, więc skinąłem głową.

– Okej, przyjdę.

W tamtą niedzielę przyszedłem na mszę do Lauren. Wcześniej przechodziłem koło jej kościoła miliony razy, ale nigdy nie zwróciłem uwagi na niego ani na to, co reprezentował. Była to kamienna budowla o średniowiecznym wyglądzie z imponującą wieżą, klasyczną dzwonnica, okrągłymi witrażami, czerwonymi poduszkami na drewnianych ławkach i całą resztą⁴⁸.

Mężczyźni w kościele mieli na sobie garnitury. Ja przyszedłem w dżinsach i swetrze, więc czułem się skępowany, mimo że nikt nie skomentował mojego ubioru (co uznałem za świadectwo kultury tej grupy wiernych).

Dostrzegłem Lauren. Siedziała w pierwszym rzędzie z matką, która podobnie jak córka przyciągała spojrzenia mężczyzn. Nastroiło mnie to optymistycznie⁴⁹.

Wyglądały raczej jak siostry. Przyszło mi do głowy, że wiara w Jezusa być może pozwala zachować młodość, zaraz potem uznałem jednak, że w takim wypadku Linda zostałaby największą fanatyczką Jezusa pod słońcem – bez wahania utopiłaby dziecko w wannie, gdyby tylko odmłodziło ją to o dziesięć lat.

Najfajniejszą rzeczą w kościele były wielkie organy – tak głośne, że przy ich dźwiękach powietrze wydawało się niemal drgać. Miałem poczucie, jakbym odbył podróż w czasie w przeszłość, choć nie jestem pewien, z jakiego powodu.

Aby się nie nudzić, wymyśliłem sobie, że jestem antropologiem z przyszłości mającym za zadanie obserwować dawne życie religijne.

Podano ogłoszenia parafialne dotyczące kółka biblijnego, które w tym tygodniu spotka się o tej i o tej godzinie, kościelnych obiadów, ludzi potrzebujących pomocy albo przebywających w szpitalu – co było miłe, ponieważ wszyscy wydawali się troszczyć o siebie nawzajem, tworzyć jedną wielką rodzinę.

Kto jak kto, ale akurat ja potrafiłem dostrzec atrakcyjność

48 Nie uwierzcie, ale był to pierwszy raz, kiedy uczestniczyłem w nabożeństwie kościelnym innym niż pogrzebowe.

49 Obecność pięknej kobiety czyni każdą sytuację znośniejszą.

takiej wspólnoty.

Później zebrani odśpiewali kilka hymnów – co w sumie również było miłe, ponieważ gdzie indziej można usłyszeć kilkaset osób śpiewających razem? – a ojciec Lauren wygłosił kazanie na temat pokory i unizoności, które pozwalają w najpełniejszy sposób służyć Bogu, czego akurat zupełnie nie rozumiałem.

Gdyby, jak wierzą ci ludzie, bóg rzeczywiście istniał i rzeczywiście stworzył cały wszechświat, czemu miałyby potrzebować naszej pomocy, nie wspominając o deklaracjach uwielbienia?

Jaki mógłby mieć z nas pożytek jako swoich sług?

Zupełnie nie potrafiłem tego pojąć i wiedziałem, że będę miał kłopot z wyjaśnieniem tej idei moim przełożonym, kiedy – jako antropolog podróżujący w czasie – złożę raport z obserwacji starożytnych religii.

Po kolejnej porcji sympatycznych śpiewów wszyscy ustawiliśmy się w kolejce, aby uścisnąć dłoń ojcu Lauren, ponieważ to on był głową Kościoła.

Tak wiele osób podlizywało się tacie Lauren – zupełnie jakby to on był bogiem – że kolejka przesuwała się strasznie powoli.

Kiedy nadeszła moja kolej, pastor Rose poklepał mnie po plecach.

– A więc to ty jesteś tą rybą, którą Lauren złowiła w tym tygodniu?

Rybą?, pomyślałem. Wszystko to było coraz dziwniejsze.

– Chyba tak – stwierdziłem, zastanawiając się, po kiego diabła włożył akademicką togę.

– Przyjdź kiedyś do mojego biura, to porozmawiamy jak mężczyzna z mężczyzną o co ciekawszych aspektach chrześcijaństwa, dobrze?

– Wolałbym rozmawiać z Lauren – odparłem, a on posłał mi spojrzenie sugerujące, że była to zdecydowanie niewłaściwa odpowiedź.

– No cóż, kiedy postanowisz na poważnie podejść do Jezusa, będę na ciebie czekał. Chłopcy tacy jak ty potrzebują mentorów, a to zajęcie dla mężczyzny, synu. Lauren to bez

wątpienia porządna chrześcijanka, ale sprowadziła cię do nas z jakiegoś powodu. Przyjdź do mnie, dobrze?

Przysięgam, że do mnie mrugnął – naprawdę, nie robię was w balona! – po czym uściśnął dłoń kolejnej osoby, a Lauren i ja zeszedliśmy na lunch do położonej w przyziemiu sali gimnastycznej, gdzie ustawiono stoły i krzesła, a w powietrzu unosił się smród przepoconych skarpet i duszonej wołowiny z jarzynami.

– No i jak wrażenia? – spytała Lauren, kiedy zasiedliśmy nad plastikowymi talerzami i czerwonymi kubkami.

Kościół był zupełnie w porządku. Podobała mi się część ze śpiewami i organy, ale reszta trochę mnie bawiła. Oczywiście nie byłem na tyle głupi, żeby przyznać się do tych myśli Lauren. Zamiast tego wczułem się w Bogarta.

– Wyglądasz pięknie w tej sukience – oświadczyłem.

Była to ciemnofioletowa sukienka do kolan na cienkich ramiączkach. Lauren przypominała jedną z tych egzotycznych roślin, które wabią owady do lepkich, słodkich pułapek, a potem je pożerają. Kiedy na nią spojrzałem, chciałem, żeby mnie pożarła.

– Dziękuję – odpowiedziała. – Myślisz, że byłbyś gotów powierzyć życie Jezusowi?

Miałem już skłamać, kiedy umięśniony blondynek o masywnej sylwetce zawodnika futbolu amerykańskiego podkradł się od tyłu do Lauren i zaczął jej masować ramiona.

– Hej, kwiatuszku – powiedział.

„Kwiatuszku”? Naprawdę?

– Hej – wyszeptała Lauren, a ja domyśliłem się, że chłopak nie jest zwykłym uczestnikiem mszy. Z wyglądu przypominał Johnny'ego z broszurki, czyli był moim pełnym przeciwieństwem.

– Leonard, to mój chłopak Jackson. Jackson, to jest Leonard.

– Słyszałem, że na poważnie rozważasz uznanie Jezusa Chrystusa za swojego Pana i Zbawcę – powiedział Jackson. – To jedyna słuszna droga.

– Lubisz parkować? – spytałem z niezrozumiałych powodów. Pewnie byłem zły i chciałem sobie stamtąd pójść. Poczulem się

straszliwie oszukany przez Lauren. Potrafiłbym zrozumieć, gdyby mnie pozarła, ale przedstawienie mnie swojemu chłopakowi po tym, jak mnie omamiła, było absolutnie nie do przyjęcia. Zwabiła mnie do kościoła sztukami *femme fatale*, czy inaczej stosowaną przez handlowców metodą „przynęta z zamianą”, mimo że miała już chłopaka o zdecydowanie normalniejszym wyglądzie, w całkowicie innym typie. – Parkujecie razem?

– Leonard! – zawołała Lauren, która bez wątplenia rozumiała moje słowa, nawet jeśli zajęło jej to krótką chwilę.

– O co chodzi? – zapytał Jackson ze zdezorientowaną miną.

Spojrzałem na zegar wiszący na ścianie sali gimnastycznej – pamiętam, że był osłonięty drucianą siatką, aby ktoś nie roztrzaskał go piłką do kosza⁵⁰.

– Już za kwadrans pierwsza? – zdziwiłem się, po czym zacząłem kłamać, żeby się stamtąd zmyć. Fantazja bogartowsko-bacallowska chwilowo się rozviała, a ja chciałem jak najszybciej wydostać się z kościoła. – O cholera! Muszę przewrócić na drugi bok przykutą do łóżka babcię. Dostaje odleżyn, jeżeli nie robię tego co cztery godziny. Dziadek zastępuje mnie, kiedy idę do szkoły, ale angażuje się tylko w dni powszednie. Mówi: „Weekendy należą do mnie”, co mogłoby się wydawać wredne, ale, rozumiecie, ma alzheimera, więc naprawdę trudno mieć pretensje. Okej. To lecę.

Wstałem, opuściłem salę gimnastyczną i po schodach wyszedłem na zewnątrz. Było popołudnie.

Lauren biegła za mną, powtarzając:

– Zaczekaj. Porozmawiajmy. Co się stało? Myślałam, że na poważnie podchodzisz do Jezusa.

Odwróciłem się na pięcie.

– Jestem zaprzysięgłym ateistą – wyjaśniłem. – Nie wierzę w piekło, więc żadna z tych opowiastek nie może mnie przestraszyć. Tak naprawdę chciałem tylko z tobą zaparkować, ponieważ jesteś piękna, zupełnie jak Lauren Bacall, i nie przypominasz dziewczyn z mojej szkoły. Podziwiam cię również za to, że stoisz sama na stacji metra, rozdając

50 To przedziwne, co zapamiętujemy, a czego nie zapamiętujemy.

broszurki i próbując ratować ludzi. Kiedy cię poznałem, wydawałaś się niezwykle interesująca, niepodobna do nikogo, kogo znam. Ale w kościele stałaś się inna, jakby odarta z ryzyka bycia chrześcijanką, bo wszyscy są tu chrześcijanami. Tu jesteś jedną z wielu, na stacji metra byłaś jedyna w swoim rodzaju. Ja sam należę do osób jedynych w swoim rodzaju, a skoro tak, to oczywiste jest, że ze sobą zrywamy. Tak na marginesie, nie mogę uwierzyć, że twój chłopak wygląda jak Johnny z broszurki. Jezus Maria, stać cię na kogoś lepszego!

Lauren stała przede mną z rozdziawionymi ustami.

– Jestem lekko szurnięty. I głównie samotny – tłumaczyłem, ponieważ wyglądała jak małe, zdezorientowane dziecko, a mnie znów zaczynało się jej robić żal. Najwyraźniej lubiłem ją tylko wtedy, kiedy byliśmy sam na sam. – Czasami przez cały dzień jeżdżę metrem za dorosłymi ludźmi o wyjątkowo nieszczęśliwym wyglądzie, więc pomyślałem, że łączy nas to, że oboje robimy coś dziwnego na stacji metra i...

– Wszystko w porządku Lauren? – spytał Jackson, który znów zaczął masować ramiona swojej dziewczyny i wpatrywał się we mnie tak gniewnym wzrokiem, jakby chciał mnie zamordować, żebym (jak wierzył) smażył się w piekielnych płomieniach, zanim zdążę zawierzyć serce Jezusowi Chrystusowi.

– Wszystko w porządku – powiedziałem. – Odchodzę. Problem rozwiązany.

I odszedłem.

DWADZIEŚCIA DWA

Od czasu do czasu widywałem Lauren na stacji metra. Udawała, że mnie nie zna, i ja również zachowywałem się tak, jakbym jej nie znał.

Trwało to mniej więcej rok.

Wreszcie pewnego dnia zobaczyłem ją w centrum Filadelfii. Jakiś menel szedł za nią, pokrzykując: „Dałaś mi kanapkę i myślisz, że zbawiłaś świat? To nie taki proste. Myślisz, że Bóg przysłał cię z misją podarowania mi dwóch kawałków chleba przełożonych plasterkiem żółtego sera, lichym skrawkiem szynki i tanią jaskrawożółtą musztardą, aby wynagrodzić mi dziesięć lat życia w kartonowym pudle? Naprawdę chcesz, żebym w to uwierzył? Bóg mnie kocha, ponieważ dałaś mi syfiastą kanapkę? Jestem bezdomny – nie szalony!”.

Gość miał obłąkane spojrzenie i lwią grzywę siwych włosów, przez co jego głowa przypominała zamarznięte słońce albo coś w tym guście.

– Ogromnie przepraszam, że pana zdenerwowałam – tłumaczyła się Lauren.

– To nie wystarczy. – Menel nie odpuszczał. – Chętnie podsunę ci kilka rzeczy, o których możesz wspomnieć swojemu bogu, kiedy następnym razem będziesz się do niego modlić w swoim miłym, ciepłym domu z toaletą i lodówką pełną jedzenia, którego nigdy nie dałabyś takiemu menelowi jak ja, ponieważ jest kurewsko drogie, a menelom daje się tanie żarcie. Założę się, że masz psa, który je lepiej ode mnie.

– Przepraszam – powtarzała Lauren. – Przepraszam.

Dość zabawne było obserwować Lauren zbierającą słowne razy od menela, a choć zgadzałem się z nim w stu procentach,

musiałem zainterweniować, ponieważ Lauren wyglądała na strasznie podenerwowaną. Podeszedłem do mężczyzny.

– Jestem przedstawicielem Amerykańskiego Towarzystwa Ateistycznego – oświadczyłem. – Wierzymy w chaos, odrzucamy istnienie boga i chcielibyśmy panu pogratulować, że pokazał pan tej przemądrzałej chrześcijance, gdzie jej miejsce. W nagrodę przekazujemy panu ten oto dwudziestodolarowy banknot, za który może pan nabyć porządniejszą kanapkę lub cokolwiek innego. Bez żadnych zobowiązań.

Lwiogrzywy menel popatrzył na mnie jak na wariata, ale wyrwał mi pieniądze z ręki i sobie poszedł.

– Zdajesz sobie sprawę, że kupi alkohol albo narkotyki – powiedziała Lauren, co mnie zasmuciło, ponieważ nie знаła zupełnie tego człowieka, a już na pewno nie mogła wiedzieć, czy ma problem z uzależnieniami.

– Chyba nie mieliśmy przyjemności... Nazywam się Leonard Peacock. – Wyciągnąłem do niej śmiało rękę z bogartowskim, miałem nadzieję, wdziękiem.

– Pamiętam cię – zbyła moje powitanie Lauren, ignorując wyciągniętą rękę i ponownie wcielając się w trudną do zdobycia Bacall. Wyglądała na mocno wstrząśniętą, więc nie miałem do niej żalu. – Jak sądzisz, dlaczego tak się na mnie zezłościł?

Nie miałem ochoty wymieniać wszystkich powodów, dla których zasługiwała na słowne razy od bezdomnego – nie miałem ochoty przede wszystkim dlatego, że nie przysłużyłoby się to mojej sprawie – więc po prostu zmieniłem temat.

– Nie ma za co – powiedziałem.

– Co?

– Menel przestał za tobą łązić i na ciebie pokrzykiwać.

– Och, nic mi nie groziło. Bóg by mnie obronił.

– Skąd wiesz, że bóg nie przysłał mnie, abym cię obronił? – zauważyłem, grając rolę adwokata diabła.

– Być może.

– Bóg mówi, że powinnaś pójść teraz ze mną na kawę.

– Chcesz ze mną iść na kawę? Dlaczego?

– Będziemy mogli kontynuować rozmowę o bogu – dałem

odpowiedź, jakiej oczekiwała.

– To, co powiedziałaś do mnie i Jacksona w kościele... To było bardzo niemiłe.

– No wiem, wiem. Przepraszam. – Chciałem przekonać ją do pójścia ze mną na kawę, ponieważ od ataku menela cała poczerwieniała na twarzy i wyglądała jak typowa *femme fatale* potrzebująca pomocy mężczyzny, a mnie chwilowo przestało obchodzić, że ma na twarzy wypisaną chęć zwabienia mnie w pułapkę.

– Nie zamierzam z tobą parkować – zadeklarowała niesamowicie poważnym tonem, co mnie naprawdę zasmuciło, bo wykorzystałem już większość swoich bogartowskich sztuczek, a nie przybliżyłem się zbyt do celu.

– Czy ludzie z twojego kościoła naprawdę używają słowa „parkować” jako eufemistycznego określenia na seks w samochodzie? Czy nastolatki naprawdę uprawiają seks w samochodzie? Nie mam nawet prawa jazdy.

– Jeżeli zamierzasz naśmiewać się z tego, że chodzę do kościoła albo wierzę w Boga, nie pójdę z tobą na kawę, panie Ateisto.

To, że nazwała mnie panem Ateistą, odebrało mi sporo pewności siebie, ponieważ przypominało wzniesienie muru – jakby dawała do zrozumienia, że moje osobiste przekonania staną na przeszkodzie naszej znajomości, a w dalszej perspektywie – pocałunkowi. Poczuję się, jakby po raz kolejny przypięto mi łątkę, umieszczono w przegródce. W jednej chwili zaloty przestały mnie bawić.

Konsekwencje, powtarza Herr Silverman. Konsekwencje.

Zrezygnowałem z planu. Postanowiłem spróbować podejścia na poważnie.

– Nie zamierzam się z ciebie naśmiewać, okej? Chcę cię tylko zrozumieć. Może udałoby nam się wymienić myśli. Może potrafilibyśmy omówić nasze przekonania przy kawie, nie próbując się nawzajem zmieniać. Jak sądzisz?

– Nie będę się z tobą całować.

– Od całowania masz Jacksona, prawda?

– Z Jacksonem też nigdy się nie całowałam.

– Myślałem, że jest twoim chłopakiem.

– Chcę zachować wszystko dla męża.

– Zachować?

– Tak.

– A zatem nie pocałujesz się z nikim przed ślubem?

– Nie będę się całowała w twoim rozumieniu tego słowa. Cmoknięcie w usta lub policzek się nie liczy.

Muszę przyznać, było coś pociągającego w tym, że nikt jej jeszcze nigdy nie całował. Być może pociągała mnie niewinność Lauren. Być może kojarzyła mi się z tym, kim sam byłem, zanim zdarzyły się wszystkie okropne rzeczy.

– Jesteś mi winna kawę za odpędzenie bezdomnego. Znam fajne miejsce tuż za rogiem. To jak? Zgadzasz się?

– Porozmawiamy o naszych przekonaniach religijnych. To będzie wymiana myśli, zgadza się?

– Zgadza się.

Poszliśmy do kawiarni z niesamowicie wielkimi kanapami w kształcie najróżniejszych figur geometrycznych, na przykład trójkątów, rombów i kół. Człowiek ma tam poczucie, jakby trafił do przedszkola dla olbrzymów.

Zajęliśmy miejsca, a ja zamówiłem podwójne espresso, ponieważ uznałem, że zrobię w ten sposób wrażenie wyrafinowanego luzaka, poza tym był to najbardziej bogartowski z dostępnych napojów (nie mogłem zamówić ginu ani szkockiej). Lauren poprosiła o miętową mokkę. Znowu zachowała się dziecinnie, ale ponieważ to również mi się w niej podoba⁵¹, przywołałem z powrotem kelnera i zmieniłem zamówienie: „Ja również poproszę miętową mokkę”.

Rozejrzała się po kawiarni, obejrzała nawet sufit, jakby interesowała ją jego konstrukcja i sprawdzała, czy nie zawali nam się na głowy.

– Dlaczego masz na sobie garnitur? – spytała w końcu.

– Zakładam go czasami, kiedy robię sobie dzień wolny od szkoły na badania terenowe.

⁵¹ To zastanawiające, że chciałem, aby jednocześnie była seksowną dziewczyną typu Bacall i dzieckiem, ponieważ są to całkowite przeciwieństwa, a ona nie mogła być jednocześnie obiema postaciami.

– Co badasz?
– Starzenie się i szanse na szczęśliwe życie po osiągnięciu dorosłości.

– Jezus może uczynić cię szczęśliwym.

Roześmiałem się.

– Potrafisz rozmawiać o czymś innym niż tylko o Jezusie?

Teraz to ona się uśmiechała.

– Dlaczego ignorowałeś mnie przez ostatni rok?

– Ja cię nie ignorowałem. To ty mnie ignorowałaś.

– Wcale cię nie ignorowałam! Próbowałam uchwycić twój wzrok, ilekroć zobaczyłam cię na stacji metra, ale przechodziłaś szybkim krokiem, nawet nie zaszczycając mnie spojrzeniem. Tak się składa, że za każdym razem było mi z tego powodu przykro.

Znów przeobraziła się w *femme fatale* o kociej twarzy. Znów próbowała zwabić mnie w pułapkę.

– Co słyszać u Jacksona? – zmieniłem temat.

– W jakim sensie?

– Założę się, że nie chciałby, żebyś ze mną rozmawiała.

– Byłby szczęśliwy, gdyby usłyszał, że rozmawialiśmy o Bogu. On również wierzy, że powinniśmy wszystkich zbawić.

– W takim razie dlaczego nie pomaga ci rozdawać broszurek o Jezusie?

– Dawniej pomagał, ale teraz studiuje. Poza tym nie jest już moim chłopakiem.

Kiedy to usłyszałem, serce zabiło mi mocniej.

– Czy właśnie dlatego zgodziłaś się pójść ze mną na kawę? Ponieważ nie masz już chłopaka? – zainteresowałem się. Miałem nadzieję na twierdzącą odpowiedź, ale akurat w tamtej chwili przyszedł kelner z naszymi miętowymi moki.

Lauren upiła łyk kawy.

– Pycha!

Uśmiechnąłem się. Spróbowałem swojej. Kawa smakowała jak czekoladka z miętowym nadzieniem.

– Dałabyś się kiedyś zaprosić na kolację?

– Zapraszasz mnie na randkę? – spytała Lauren.

– Okej, zapomnij o sprawie – powiedziałem, ponieważ

ściągnęła brwi i przymrużyła oczy, tyle że nie w seksownym, kocim stylu Bacall. – Może uznalibyśmy to dzisiejsze spotkanie za pierwszą randkę, dzięki czemu nie musielibyśmy sobie zawracać głowy oficjalnym zaproszeniem? Zaczęlibyśmy od teraz.

– Na randki umawiam się tylko z chrześcijanami.

– Och... Rozumiem.

Wcześniej nie przywiązywałem do tego wielkiej wagi, uznając sprawę religii za błahostkę, z którą łatwo się uporam. Nie zdawałem sobie sprawy, jak wielkie ograniczenia nakładało na nią to jej chrześcijaństwo.

– Chcesz porozmawiać o Jezusie? – spytała.

– To twój ulubiony temat, co?

– Tak.

– Nie masz jakichś innych zainteresowań?

– Jasne, że mam. Ale zanim do nich przejdziemy, musimy pokonać tę przeszkodę. Nie chcę marnować twojego ani swojego czasu.

– Czy twoja religia nie mówi przypadkiem, że każdy człowiek jest ważny? Ten menel z pewnością nie wierzył w Jezusa, a mimo to dałaś mu kanapkę.

– Zgoda, ale nie zamierzałam umawiać się z nim na randkę! – Lauren niemal przewróciła uroczo oczami, po czym wypła łyk miętowej mokki.

Boże, ależ ją w tamtej chwili kochałem, głównie dlatego, że zasugerowała właśnie gotowość umówienia się ze mną na randkę – tym samym możliwość posiadania przeze mnie dziewczyny stała się nagle całkiem realna.

– Pozwól, że problemem zakochiwania się w fanatyczne Jezusa zajmę się ja – zażartowałem, po czym wybuchnąłem śmiechem, żeby nie wzięła tych słów na poważnie.

– Nawet mnie nie znasz – odcięła się.

– Ale chciałbym poznać.

Westchnęła i spojrzała w stronę okna.

Przez następny kwadrans sączyliśmy kawy i obserwowaliśmy ludzi przechodzących chodnikiem.

Później wróciliśmy na stację metra, a w kolejce zmierzającej

do Jersey siedzieliśmy obok siebie. Nasze łokcie stykały się przez płaszcze, a ja dostałem krępującego wzvodu, co byłoby problemem w lecie, kiedy nie mógłbym go ukryć pod płaszczem.

Miałem poczucie, że i z nią coś się dzieje, nawet jeśli wbrew jej woli.

Kiedy wysiedliśmy z metra, ponownie zrobiła kocią minę Bacall.

– Miło było wypić z tobą kawę. Być może Bóg odmieni twoje serce i będziemy mogli kontynuować rozmowę o Jezusie. Kto wie, co zdarzy się potem.

Ostatnie zdanie wypowiedziała naprawdę flirciarskim tonem, przez co zrobiłem się jeszcze twardszy niż wcześniej. Ręce trzymałem w kieszeniach dwurzędowej kurtki i niemal musiałem przyciskać ten głupi wzwód do brzucha, jakby to była naładowana i odbezpieczona katapulta. Nie potrafiłem wydusić z siebie choćby jednego słowa, więc tylko skinąłem głową.

– Będę się za ciebie modliła – oświadczyła Lauren i pomachała mi na pożegnanie, zginając trzykrotnie czubki palców prawej ręki, zupełnie jakby była małą dziewczynką. Okręciła się na pięcie i odeszła.

Podejrzywałem, że ponownie próbuje mnie oszukać i podobnie jak nauczycielki z mojej szkoły wykorzystuje seksualność, aby wymusić odpowiednie zachowanie. Tyle że mnie to nie obchodziło – musiałem wiedzieć, jak smakuje ten pocałunek. Po prostu musiałem. Nie zamierzałem ponownie udawać zainteresowania chrześcijaństwem, bo miałem dość ciągłego udawania przed wszystkimi. Postanowiłem przemyśleć dogłębnie istnienie boga, skoro właśnie o tym Lauren chciała rozmawiać. Opracowałem listę pytań i trzy razy w tygodniu przy okazji spotkania na stacji metra przedstawiałem jej kolejne.

Dlaczego bóg miałby pozwolić na Holokaust?

Skoro bóg stworzył wszystko, dlaczego wynalazł grzech, wodzi nas na pokuszenie, a następnie rozlicza z popełnionych grzechów?

Dlaczego na świecie istnieje tak wiele religii, skoro bóg

stworzył świat i chce, abyśmy byli chrześcijanami?

Dlaczego bóg pozwala, żebyśmy toczyli z jego powodu wojny?

Wyobraź sobie, że urodziłaś się w innej kulturze i nigdy nawet nie słyszałaś o Jezusie Chrystusie – czy bóg posłałby cię do piekła za to, że nie byłaś chrześcijanką? A jeśli tak, czy uważasz, że byłby to sprawiedliwy wyrok?

Dlaczego w twoim kościele przywódcami są tylko mężczyźni? Czy kobiety nie mają zdolności przywódczych? Czy w dzisiejszych czasach taki patriarchalny system nie jest seksistowski?

Dlaczego tak wiele niemowląt umiera?

Dlaczego na świecie jest tylu biednych ludzi?

Czy Jezus odwiedził inne planety w odległych, nieznanych wszechświatach?

I tak dalej.

Po raz kolejny spotkaliśmy się w ciepłe wiosenne popołudnie. Miała na sobie szorty z kieszonkami po bokach, a ja nie mogłem się powstrzymać od wlepiania wzroku w kremowe uda, które były wprost idealne. Czekala przed stacją metra, cała w uśmiechach.

– CZEŚĆ, LEONARD! – zawołała. – Modliłam się za ciebie! Bóg tchnął we mnie wyjątkowy spokój w kwestii naszej przyjaźni. Wiem, że ma w tym jakiś cel.

Ale wraz z kolejnymi pytaniami, które zadawałem jej tamtego lata, coraz bardziej cichła i traciła entuzjazm, a mnie coraz mniejszą przyjemność sprawiało studiowanie odsłoniętych części jej ciała.

Zupełnie jakby traktowała każde pytanie jako policzek, podczas gdy moim prawdziwym celem – poza okazją do wpatrywania się w jej cudowne ciało – było zrozumienie i szczerą rozmowa.

Lauren niestety nigdy nie odpowiedziała na te pytania. Przytaczała tylko wersety z Biblii i powtarzała rzeczy, które wpoił jej ojciec, a ja zacząłem podejrzewać, że nie tyle wierzy w odpowiedzi, ile kurczowo się ich trzyma, ponieważ nie potrafi wymyślić innych i doszła do wniosku, że niewłaściwe

odpowiedzi będą lepsze od braku odpowiedzi.

Im więcej pytań zadawałem, tym bardziej mnie nienawidziła – wyraźnie to widziałem – co było ogromnie przygnębiające⁵². Zaczęła również zwracać uwagę na to, że jej się przyglądam, co rodziło niezręczne sytuacje, zwłaszcza odkąd zmieniła sposób ubierania i wkładała luźne, dłuższe spodenki, które przesłaniały widok i stanowiły wyraźny komunikat skierowany w moją stronę.

Ostatni raz widziałem ją z tydzień temu. Kiedy przyszedłem na stację metra, zmarszczyła na mój widok brwi.

– Jeżeli chcesz usłyszeć odpowiedzi na swoje pytania, musisz porozmawiać z moim ojcem. Jego zdaniem twoje pytania są niebezpieczne i powinien na nie odpowiedzieć prezbiter.

Zrobiło mi się diabelnie przykro⁵³.

– Posłuchaj – powiedziałem, podczas gdy smutni, ubrani w garnitury ludzie z aktówkami wymijali nas w przygnębiającym, beznamiętnym pośpiechu. – Koniec z pytaniami. Doszedłem do wniosku, że chyba do siebie nie pasujemy. Przeszanę cię zdręczać, ale czy wcześniej mógłbym cię prosić o jeszcze jedną przysługę?

– To zależy. – Spojrzała mi prosto w oczy w taki sposób, że mógł się w nich kryć flirt albo groźba. Trudno było odczytać, co naprawdę myśli. – Czego chcesz?

– Czy możesz się dalej za mnie modlić?

Jej oczy na moment otworzyły się szeroko – jakby ta prośba autentycznie ją uradowała – ale zaraz potem zmniejszyły się do rozmiarów czarnych groszków.

– Nie drwij ze mnie, dobrze?

– Co?

– Leonard, naprawdę sądzisz, że po tych niekończących się dziwnych pytaniach uwierzę, że chcesz, abym się za ciebie

⁵² Dlaczego ludzie lubią słyszeć tylko takie pytania, na które odpowiedzieli wcześniej milion razy, a nie cierpią, kiedy zbija się ich z tropu? Ja akurat uwielbiam, gdy jakieś pytanie zbija mnie z tropu. Z ogromną radością całymi dniami rozmyślałem wtedy nad możliwymi odpowiedziami. Czy są jeszcze inni ludzie, którzy lubią sobie podumać, czy też jestem kompletnym dziwakiem?

⁵³ Religijna gra słów?

modliła? – Mówiła ostrym tonem, jak Linda, kiedy, co ciągle powtarza, doprowadzam ją „do kresu sił”.

– Zmagam się teraz z różnymi problemami, zostałem z nimi zupełnie sam i naprawdę pomogłaby mi świadomość, że modlisz się za mnie – wyjaśniłem. – Jeśli chcesz, skłamię, ale gdybyś potwierdziła, że będziesz się nadal za mnie modlić, byłoby mi zdecydowanie lżej, bo miałbym świadomość, że przynajmniej jedna osoba na swój szczególny sposób kibicuje mi w tym trudnym okresie.

Lauren przyglądała mi się badawczo, jakby podejrzewała, że próbuję ją nabrać, ale po chwili – tym razem nie przybierając kociej miny *femme fatale* – skinęła głową.

– Okej. Będę się za ciebie modliła. Codziennie. I jeszcze jedno: ja nie kłamię. Nigdy.

Uśmiechnąłem się i odszedłem pośpiesznie, zanim miałyby okazję zmienić zdanie albo powiedzieć coś innego, co przekonałoby mnie o jej nieszczerości.

Świadomość, że Lauren modli się za mnie każdego dnia, początkowo była wielkim wsparciem. Naprawdę wielkim.

Po kilku dniach straciła moc – znów zawładnęło mną pragnienie zamordowania Ashera Beala – i zacząłem się zastanawiać, czy aby Lauren nie przestała się modlić. Kiedy żądza mordu stała się jeszcze bardziej dojmująca, doszedłem do przekonania, że bez wątplenia przestała.

DWADZIEŚCIA TRZY

Po szkole idę na stację metra i zgodnie z oczekiwaniami dostrzegam Lauren, która rozdaje broszurki, a dokładniej rzecz biorąc, wyciąga broszurki w stronę przechodniów, a ci mijają ją bez słowa, nie zaszczycając nawet spojrzeniem.

Ciekawe, jakie szaleństwa dziś rozpowszechnia i jaką historyjką obrazkową chce dziś wystraszyć ludzi: piekielnymi płomieniami, krwawymi zbawicielami czy innymi chrześcijańskimi makabreskami?

Ale nie przyszedłem dziś na stację, żeby mieszać Lauren w głowie, dyskutować o religii czy logice ani żeby prosić o przysługę bądź cokolwiek innego.

Przyszedłem się pożegnać.

Lauren podcięła włosy i ma grzywkę, która wystaje spod wydzierganej beretopodobnej czapki. Czoło osłania kurtynka jasnych włosów. Czapka jest strasznie brzydka i pasowałaby raczej do starszej pani, a to wystarcza, bym ponownie zadurzył się⁵⁴ w Lauren – mimo że przestała się za mnie modlić.

Lauren chyba nawet nie zdaje sobie sprawy, że założyła coś tak koszmarnie niemodnego. Nie wybrała czapki z przekory, jak to robią niektóre z dziewczyn z mojej szkoły, te malujące paznokcie na czarno. Co gorsza, Lauren ma na sobie kurtkę w kolorze złamanej bieli, która sięga do kolan i z daleka

54 Zdaję sobie sprawę, że zadurzenie się w osobie brzydkiej i przypominającej z wyglądu staruszkę jest czymś osobliwym, ale dla mnie najatrakcyjniejsze w Lauren jest to, że w niczym nie przypomina dziewczyn z mojej szkoły. Jest ładna na swój niepowtarzalny sposób. Poza tym wygląda, jakby potrzebowała ratunku. Sama zupełnie sobie nie radzi. Jest żalosna. Być może jest jedyną osobą żałośniejszą ode mnie.

przypomina tunikę. Lauren wygląda w niej jak narysowany przez dziecko aniołek.

Mój boże, wygląda idealnie.

Nikt poza mną nie zwraca na nią uwagi.

Odkąd ją dostrzegłem, minęło ją jakieś trzydzieści osób, a choć ona wyciągnęła do każdej z nich broszurkę – którą trzyma w rękawiczce z jednym palcem – nikt nie zaszczycił jej nawet spojrzeniem.

Oczywiście nadal sędzę, że sama idea boga to bzdura, ale muszę przyznać, że podziwiam Lauren. Stoi pod stacją metra, nie dlatego że chce mieć rację, udowodnić swoją wyższość moralną albo wzbudzić w ludziach wstyd za ich obecne przekonania. Nie interesuje jej wdawanie się w dyskusję ani nic podobnego. Zdaję sobie sprawę, że podświadomie pragnie zapewne dowieść wyższości swoich idei, ale jednocześnie naprawdę niepokoi się, że wszyscy będą się – zupełnie dosłownie – smażyli w piekle przez całą wieczność, a ona nie chciałaby, żeby kogokolwiek spotkał taki los. Zupełnie jakby żyła w bajkowym świecie i za wszelką cenę próbowała powstrzymać złego wilka od pożarcia nas żywcem i rozwalenia naszych domów. Kocham ją choćby za to, że troszczy się o obcych – za to, że próbuje zbawić ludzi. Nawet jeśli dostrzegane przez nią zagrożenie nie jest realne.

W pierwszej chwili mnie nie zauważa.

– Przepraszam, panienko – zaczynam, ponownie starając się naśladować Bogarta. – Nie wie panienka przypadkiem, jak mógłbym uczynić Jezusa Chrystusa swoim Panem i Zbawicielem? Muszę bowiem przyznać, że w ostatnim czasie...

– Przestań ze mnie drwić, Leonard – przerywa mi.

W tym czasie pięć osób mija obojętnie wyciągniętą rękę z broszurką.

– Ile osób dziś uratowałaś? – pytam, aby podtrzymać rozmowę.

– Dlaczego spod twojego kapelusza nie wystają włosy? – dziwi się, a ja się uśmiecham, ponieważ zauważyła, że je obciąłem.

– Wdałem się w bójkę z parą nożyczek. Modliłaś się za mnie,

jak obiecałaś?

– Codziennie – zapewnia takim tonem, że jej wierzę.

To smutne, ponieważ biorąc pod uwagę moje zamiary, oznaczałoby to, że modlitwa w ogóle nie działa.

– Wiesz, obejrzałem przypadkiem w telewizji program, w którym mówili, że kosmici mogli przylecieć na Ziemię tysiące lat temu i przekazać ludziom jakąś wiedzę, której oni nie byli jeszcze w stanie zrozumieć, na przykład o podróżach kosmicznych. Wtedy byłoby możliwe, że religia powstała jako swego rodzaju metafora wiedzy otrzymanej od kosmitów. Jezus wzlatający do nieba. Obiecujący, że powróci. To trochę przypomina podróże kosmiczne, prawda?

– Dlaczego mi to mówisz?

– W programie zasugerowali, że modlitwa jest formą komunikacji z kosmitami. Indiańskie pióra czy królewskie korony pełniłyby wtedy funkcję anten czy czegoś podobnego.

– Co ty opowiadasz?

Tylko dlatego, że chcę zrobić coś dobrego, zanim zabiję Ashera Beala i popełnię samobójstwo, ciągnę dalej:

– Co najciekawsze, w programie wielokrotnie poruszali temat uniwersalności modlitwy, która występuje pod różnymi postaciami na całym świecie. Za pomocą instrumentów naukowych zmierzono nawet energię wytwarzaną przez grupę modlących się ludzi. Postawiono hipotezę o możliwości wykrycia modlitwy metodami naukowymi, bo rzekomo wywiera ona rzeczywisty wpływ na otoczenie przez zmianę pozycji elektronów czy coś takiego, a kto wie, czy przy okazji nie przynosi dobroczynnych rezultatów, niezależnie od tego, czy rzeczywiście się z kimś komunikujemy, z bogiem albo kosmitami, czy też po prostu medytujemy. Modlitwa pomaga. A przynajmniej taka sugestia padła w programie. Moc modlitwy może być faktem.

– Modlitwa JEST faktem – mówi Lauren zdecydowanym głosem. Poczzerwieniała na twarzy i wygląda na mocno wkurzoną. – Bóg słyszy wszystkie modlitwy. Modlitwa ma wielką moc.

– Wiem. Wiem – powtarzam i uświadamiam sobie, że

Lauren zupełnie nie zrozumiała mojego wyводу, a co gorsza, nie zamierza go nawet wziąć pod rozwagę, ponieważ pozbawiłaby się w ten sposób złudzeń potrzebnych do przetrwania sześciu godzin tygodniowo pod stacją metra, gdzie bezskutecznie próbuje nawracać podróżnych na chrześcijaństwo.

– Mogę cię o coś zapytać, Lauren?

Nie odpowiada. Udało jej się właśnie wcisnąć broszurkę kobiecie w średnim wieku. „Jezus cię miłuje”, mówi do niej.

– Zapomnijmy o kosmitach, okej? Zanim odejdę i nigdy więcej cię nie zobaczę, chciałbym jedynie...

– Gdzie się wybierasz?

Nie chcę zdradzić, że zamierzam zabić Ashera Beala i siebie, ponieważ martwiłaby się, że trafię do piekła, które uważa za całkowicie realne miejsce.

– Nie wiem, dlaczego to powiedziałem. Zachowuję się jak idiota, a przecież chciałem cię zapytać...

Lauren mówi „Jezus cię miłuje” do kolejnej osoby.

– Myślisz, że gdybym był chrześcijaninem, na przykład urodził się w takiej rodzinie jak twoja, odbierał edukację w domu i został zmuszony do wierzenia...

– Nikt mnie nie zmusza do wierzenia w cokolwiek. Wierzę z własnej nieprzymuszonej woli.

– Tak, tak, wiem. Chodzi mi o coś innego. Myślisz, że gdybym był bardziej podobny do ciebie, gdybym podobnie wierzył w boga, to istniałaby szansa, żebyśmy ze sobą chodzili, może nawet się pobrali, mieli dzieci i, jak to się mówi, żyli długo i szczęśliwie?

Patrzy na mnie takim wzrokiem, jakby próbowała podjąć decyzję.

– Mógłbyś wieść takie życie, gdybyś poprosił o nie Boga. Jeżeli powierzysz swoje życie Bogu, On zadba o ciebie na wiele cudownych sposobów. To właśnie nam obiecuje. Jeżeli troszczy się o wróbelki, jakże większą troskę okaże nam?

Istnieje milion argumentów, których mógłbym użyć przeciwko temu, co właśnie powiedziała, ponieważ nie każdy wierzący w boga mieszka na przedmieściach i musi się zmagać

tylko z problemami typowymi dla Pierwszego Świata, jak powiedziała Baback, a gdyby wiara w boga rzeczywiście mogła rozwiązać wszystkie moje problemy i poprawić mi samopoczucie, bez wątpienia migiem zrobiłbym to, co radzi mi Lauren – każdy by zrobił, prawda?

Ale w tej chwili nie interesuje mnie podważanie jej założeń teologicznych i koncentruję się na tym, że Lauren nigdy się z nikim nie całowała, a ja mogę umrzeć, nigdy nie całując się z nią.

– Po prostu przyjmij, że tak jak ty jestem chrześcijaninem. Czysto teoretycznie. Czy moglibyśmy zostać małżonkami i wieść normalne życie? Powiedzmy w równoległym wszechświecie?

– Dlaczego pytasz?

Wygląda na mocno zdeorientowaną, a ponieważ podejrzewam, że lada chwila może rzucić się do ucieczki, odpuszczam ten wątek.

– Przyniosłem ci prezent – mówię i zaczynam otwierać plecak.

– Dlaczego przyniosłeś mi prezent?

– Może się to wydawać dziwne, ale mam takie poczucie, że bóg kazał mi kupić ci prezent. – Kłamię jak najęty, udaje mi się jednak powiedzieć to z powagą hollywoodzkiego aktora starej daty i widzę, że mi uwierzyła, głównie dlatego, że chce mi uwierzyć. – Przemówił do mnie. Powiedział, że sumiennie się za mnie modliłaś. Chce, żebym dał ci dziś znak.

Słucha mnie z lekko rozchylonymi ustami. Jak zawsze nie jest umalowana, dzięki czemu wygląda naturalnie, co w niej uwielbiam.

Wdycha i wydycha powietrze w rytmie uduchowionego jo-jo.

Podaję jej małe różowe pudełko.

– Nie wiem, Leonard, czy mogę przyjąć od ciebie prezent – mówi, ale jednocześnie wpatruje się w pudełko, jakby naprawdę chciała poznać jego zawartość.

– To prezent od boga – zapewniam. – Nie musisz się niczego obawiać.

Przygryza wargi, zdejmuje rękawiczkę i zabiera się do

odwijania papieru, czym mnie doprawdy uszczęśliwia.

Unosi pokrywkę i wyciąga srebrny krzyżyk na srebrnym łańcuszku.

– Wiem, że bardzo kochasz chrześcijaństwo, więc znalazłem coś takiego w internecie. Jest na tyle prosty, że pasuje do twojego stylu, ale...

Zapina go na szyi, unosi krzyżyk na wysokość nosa, dokładnie go ogląda, po czym chowa pod koszulkę. Potem pięknie się do mnie uśmiecha.

– Czy Bóg naprawdę kazał ci go dla mnie kupić?

– Tak było – kłamie. – Zacząłem się na poważnie zastanawiać nad zmianą dotychczasowego życia i uniknięciu piekła. Nad powierzeniem życia Jezusowi i całą resztą. Muszę tylko najpierw uporać się z kilkoma sprawami, ale twoje oddanie, fakt, że przychodzisz tu trzy razy w tygodniu, niesamowita siła twojej wiary, to wszystko mnie przekonało.

Lauren otwiera szeroko oczy i widzę, że jest przeszczęśliwa – zupełnie jakby otrzymała upragniony sygnał od Boga, swojego rodzaju potwierdzenie, a ja jestem jej cudem – więc nie ustaję w wysiłkach i opowiadam, że doznałem duchowej przemiany, pragnę wieść prawe życie i spędzić z nią wieczność w niebie.

W głębi serca czuję się podle, wiedząc, jakie rozczarowanie przeżyje, kiedy zobaczy jutro wiadomości – jak bardzo się załamię – i zaczynam się bać, że jej wiara tego nie przetrwa.

Dla mnie bóg jest postacią z bajki, ale zaczyna mi się podobać to, że Lauren jest wierząca.

Nie wiem dlaczego.

To dziwaczne.

Może nawet samo w sobie sprzeczne.

A może przypomina sytuację, kiedy chcemy, by dzieci wierzyły w Świętego Mikołaja, mimo że ktoś zdążył nam już popsuć zabawę albo domyśliliśmy się, że prezenty dostajemy od rodziców, a wraz z tym przestaliśmy czuć magię Bożego Narodzenia. Świadomość, że oszustwem i samobójstwem zniszczę wiarę Lauren, zaczyna działać na mnie przygnębiająco, aż w końcu nie potrafię dłużej kłamać.

– Życie bywa ciężkie, wiesz? Czasami trudno jest uwierzyć

w boga, ale ja się staram: dla ciebie, a może i dla siebie samego – mówię, po czym zaczynam, cholera jasna, płakać. Sam nie wiem dlaczego. Ryczę i ryczę.

Kiedy mnie przytula, obejmuję ją ramionami, łkam wtulony w jej szyję, która pachnie jak olejek waniliowy dodawany do ciastek – tak zajebicie cudownie!

Kiedy tak się nią sycę, ponurzy ludzie w garniturach z aktówkami przechodzą obok nas, ale żaden nawet nie zaszczyca nas spojrzeniem.

– Niezbadane są ścieżki Pana – szepcze Lauren i po matczynemu gładzi mnie po plecach. – Ten świat jest jednym wielkim testem. I to trudnym. Ale będę się dalej za ciebie modliła. Będziemy się modlili wspólnie. Możesz pójść ze mną do kościoła. To ci pomoże. Mój ojciec ci pomoże.

Mówi te wszystkie miłe rzeczy, próbując mnie pocieszyć w jedyny znany sobie sposób, a ja jestem tak uszczęśliwiony, że ktoś w ogóle przejmuje się moim losem, że zaczynam całować jej szyję, a potem jej usta. Nasze języki spotykają się, a ona przez ułamek sekundy odwzajemnia pocałunek...

Jej usta są tak ciepłe i wilgotne, i mięsiste od gumy, którą zuje, a moje walące serce wstrzykuje w żyły szpikulce adrenaliny, co jest podniecające i zwierzące, i pierwotne, ale może nie do końca zgodne z moimi oczekiwaniami, ponieważ sądziłem, że pocałunek z Lauren będzie przypominał epickie pocałunki z filmów z Bogartem, że w tle zabrzmie orkiestra smyczkowa, a mi zakręci się w głowie, jak wtedy, gdy słucham grającego Babacka, a Lauren przerwie pocałunek, by spojrzeć mi w oczy, i wyszeptać: „Podobało mi się. Chcę więcej”, powtarzając słowa, które Bacall tym swoim słynnym chropowatym głosem kieruje do Bogarta w *Wielkim śnie*, a kiedy ponownie pocałuję jej lśniące stalowoniebieskie usta, powie: „To było jeszcze lepsze”, ale zamiast tego mamy pośpiech spoconych ciał, które się wiją, choć nie powinny się nawet połączyć – ona próbuje mnie odepchnąć, ale podniecenie zmusza mnie do uwięzienia jej w uścisku, mimo że chcę ją puścić, mimo że zdecydowanie powinienem JĄ PUŚCIĆ!, więc ona odwraca swoją twarz od mojej i krzyczy:

„Przestań!”, tym piskliwym tonem, całkowitym przeciwieństwem ciepłego, seksownego, metalicznego głosu Bacall, a kiedy nadal całuję ją w policzek i ucho, uderza mnie w podbródek nasadą dłoni, resetując mój umysł i przywracając go do rzeczywistości, a jednocześnie strącając mój bogartowski kapelusz.

Zataczam się do tyłu. Podnoszę z ziemi fedorę.

Ciepłe podniecenie zamienia się w zimną, ciężką gulę w gardle i nagle czuję się paskudnie – jakbym miał zaraz zwymiotować.

– Jakiś problem? – mówi strażnik, który pojawił się dosłownie znikąd. Ma rzadki wąsik, przypomina dwunastolatka. Wygląda przekomicznie w służbowym uniformie z małą srebrną odznaką. Niemal uroczo. Jak dzieciak przebrany w kostium na Halloween.

– Ja tylko dostarczam wiadomość od boga – wyjaśniam, zakładając kapelusz z powrotem na głowę. Ponownie odgrywam rolę, tłumiąc prawdziwe uczucia. Jestem tego świadom, ale nie potrafię się powstrzymać.

Lauren patrzy na mnie takim wzrokiem, jakbym był demonem przybyłym prosto z piekła albo antychrystem.

– Dlaczego to zrobiłeś?

– Co jej zrobiłeś? – pyta strażnik, starając się przybrać oficjalną i groźną pozę.

– Dałem jej krzyżyk na srebrnym łańcuszku, próbowałem wyznać miłość... Kocham cię, Lauren, naprawdę cię kocham... A potem namiętnie ją pocałowałem.

Ona patrzy na mnie z przekrzywioną głową i rozwartymi wilgotnymi ustami.

Ma mętlik w głowie.

Ja sam czuję się lekko zagubiony, ponieważ Lauren przestała mi się podobać, a pocałunek okazał się kompletną porażką.

Widzę, że gdzieś tam w skrytości serca podobał jej się ten pocałunek, bo nastoletnie dziewczyny w naturalny sposób lubią się całować, ale teraz jest rozdarta, ponieważ pocałunek nie powinien jej się podobać, ponieważ powinna odrzucić instynkty, do czego przymusza ją religijna edukacja. Właśnie to

ją gryzie.

Być może właśnie tak gwałciciele usprawiedliwiają swoje poczynania.

Być może jestem teraz potworem.

Widzę doskonale cały proces myślowy – jest wypisany na jej twarzy.

Tak.

Nie.

Tak.

Nie.

Tak.

Nie.

Nie.

Nie.

Nie.

Nie mogę.

Naprawdę nie mogę.

Naprawdę absolutnie nie mogę.

Dlaczego mi to zrobiłeś?

Dlaczego zmusiłeś mnie, żebym to wszystko przeżywała?

Dlaczego?!?

– Muszę iść – mówi Lauren. Upuszcza broszurki i odbiega.

Nienawidzę siebie.

Dosłownie przede mną ucieka.

Kurwa, ależ ja siebie nienawidzę.

Nie potrafię się zdobyć, by ruszyć w pogoń, głównie dlatego, że pocałunkiem wyczerpałem w całości zasób odwagi i siły.

Jakaś cząstka mnie wciąż chce wierzyć, że pocałunek był wspaniały.

Czarno-biało, bogartowsko-bacallowsko idealny.

Mimo że nie był.

Mój tata zwykł mawiać, że ostatnia kolejka wypita danego dnia, kiedy człowiek ma za sobą całą pracę i rozmyślenia, a chwilę później zamierza się pogrążyć w nieświadomości, zawsze będzie najlepszą kolejką, niezależnie od tego, jak smakuje.

Być może Lauren była moją ostatnią kolejką tego dnia.

Wiatr rozwiewa broszurki po betonowym chodniku niczym martwe liście.

– Lepiej popracuj nad techniką, Romeo – komentuje strażnik. – A teraz zjeżdżaj.

– Tak jest, proszę pana – odpowiadam i salutuję dzieciakowi, wyprostowując i usztywniając ciało oraz zadając sobie cios karate w skroń. – Wspaniałą robotę pan tu odwała, odstrasżając tych wszystkich uzbrojonych ludzi od metra. Doprawdy fantastyczny z pana strażnik.

Spogląda na mnie i kładzie dłoń na półmetrowej palce, którą zapewne dlatego ma przyczepioną do pasa, że nikt nie pozwoliłby takiemu dzieciakowi nosić broni palnej. Wykrzywia twarz, jakby nie potrafił sobie wyobrazić przyjemniejszej rzeczy od spalowania mnie na śmierć. Tak się składa, że trochę się obawiam tego strażnika, co zakrawa na ironię losu, ponieważ zamierzam popełnić samobójstwo. Ale nie zastrzeliłem jeszcze Ashera Beala, więc śmierć z rąk strażnika byłaby prawdopodobnie jeszcze gorsza od śmierci z rąk überdurniów.

– No to zjeżdżam – mówię, a on mnie puszcza, ponieważ to dla niego najłatwiejsze rozwiązanie.

Ile zarabia? Jedenaście pięćdziesiąt za godzinę?

Za taką stawkę nie będzie nadstawiał głowy na służbie, i trudno się dziwić.

Odchodzę. Mam wrażenie, że plecak jest lżejszy.

Dostarczyłem wszystkie prezenty, przyszedł zatem wreszcie czas, aby zabić Ashera Beala.

Niech moja impreza urodzinowa wreszcie się rozkręci!

Jak nigdy wcześniej jestem gotów, by skończyć z życiem.

Jakież to będzie cudowne uczucie: nareszcie dotrzeć do kresu.

Najlepszy prezent urodzinowy w historii – jestem tego w zasadzie pewien.

DWADZIEŚCIA CZTERY

Otwieram swój prezent urodzinowy w lesie za domem Ashera Beala – czuję w dłoni znajomy chłodny ciężar walthera P38 – a potem czekam, aż pojawi się mój cel⁵⁵.

Kilka ostatnich tygodni poświęciłem na rekonesans, dlatego wiem, że we czwartki cel przychodzi do domu około 17.43 z treningu wrestlingu, potem zazwyczaj udaje się do sypialni na pierwszym piętrze, a po godzinie schodzi na obiad.

Cel zazwyczaj surfuje po internecie w oczekiwaniu na czas karmienia, kiedy to cel przenosi się do kuchni.

Blask ekranu laptopa rozświetla twarz celu i sprawia, że cel przypomina kosmitę, demona albo rybę w akwarium, a obserwowanie nieruchomej, oświetlonej blaskiem ekranu twarzy celu ułatwiło mi wyobrażenie sobie chwili, kiedy go zabiję – to dziwne oświetlenie naprawdę odczłowiecza cel.

Ćwiczyłem strzelanie do mojego celu ze skraju lasu, układając dłoń w kształt pistoletu.

Dziś podkradnę się pod okno, zastrzelę cel z bliska przez szybę, wsunę rękę przez strzaskane szkło i wpakuję w cel sześć kolejnych pocisków – na zmianę w głowę i klatkę piersiową – aby upewnić się, że cel został wyeliminowany, a następnie

55 Przeczytałem w internecie, że armia Stanów Zjednoczonych stosuje eufemizmy, aby ułatwić żołnierzom zabijanie ludzi. Mężczyźni i kobiety służący w amerykańskiej armii strzelają do „celów”, a nie ludzi, wysadzają „cele”, a nie budynki pełne kobiet i dzieci. Postanowiłem wykorzystać ten okruczeństwo. Zastrzelę „cel”, a nie dawnego przyjaciela / obecnego kolegę z klasy. Uznacie być może stosowanie eufemizmu za głupotę, ale zdziwilibyście się, jak bardzo pomaga uspokoić nerwy i wyciszyć wyrzuty sumienia. To naprawdę działa.

ucieknę do lasu, gdzie załatwię drugi cel ostatnim pociskiem z magazynka, zanim jeszcze na miejsce przybędzie lokalna policja, a może nawet FBI.

Taki mam plan.

Pozostaje tylko poczekać, aż cel włączy światło w sypialni, czym przewróci pierwszą kostkę domina, zapoczątkowując ciąg nieuchronnych zdarzeń.

DWADZIEŚCIA PIĘĆ

W lesie jest zimno i ciemno, a mnie ciekawi, czy to samo czeka mnie, kiedy wreszcie umrę – czy stanę się podobny do głupiego, nieodczuwającego, niemyślącego, niezwracającego na siebie uwagi drzewa.

Mam nadzieję, że nie będę odczuwał niczego.

Überpustka.

Mam nadzieję, że po prostu przestanę istnieć.

„Jakie mogą nas nawiedzić sny?”⁵⁶, zapytaliby Hamlet i Lauren⁵⁷.

Zakładam, że żadne.

Żadne.

Nie planuję się smażyć w piekle.

Nie planuję trafić do nieba.

Nie planuję odczuwać zimna i doświadczać ciemności.

Überpustka.

Tego pragnę.

Pustki⁵⁸.

56 W. Shakespeare, *Hamlet*, dz. cyt., s. 307 (przyp. tłum.).

57 Z zupełnie różnych powodów.

58 Życie jest jedynie przelotnym cieniem; żalosnym aktorem, co przez godzinę puszy się i miota na scenie, po czym znika; opowieścią idioty, pełną wrzasku i wściekłości, a nieznaczącą nic” [W. Shakespeare, *Makbet*, w: tegoż, *Tragedie i kroniki*, dz. cyt., s. 784 (przyp. tłum.)]. Tak Shakespeare opisuje ten rodzaj pustki, której NIE PRAGNĘ. Przynależało mi ten okrucieństwo antyżyciowopięknej mądrości na zesłorocznej lekcji angielskiego, kiedy musieliśmy się nauczyć na pamięć monologu Makbeta. Uwierźcie, nauka w szkole publicznej potrafi być najskuteczniejszym środkiem usypiającym. W głowie się nie mieści, jaką masę pesymistycznych bredni musimy wykuwać na pamięć, a potem przechowywać w czaszkach do końca życia.

DWADZIEŚCIA SZEŚĆ

Od jakiegoś czasu obserwuję mamę celu w oknie kuchennym. Ciepłe górne oświetlenie upodabnia ją do postaci z filmu – okienna rama pełni funkcję ekranu kina samochodowego.

Postanawiam nazwać ten film *Pani Beal przygotowuje ostatni posiłek dla swojego zbroczonego synalka*.

Obiektywnie widok jest banalny, ale z jakiegoś powodu wzbudza we mnie wiele uczuć.

Panią Beal zapamiętałem z dzieciństwa jako osobę wyjątkowo głupią⁵⁹, choć uroczą w obejściu.

59 Trafniejszym określeniem byłoby chyba „olewająca”. Była nieobecna umysłem w sposób, który osoba postronna mogłaby uznać za oświecony lub transcendentny, ale w istocie pozorowała stosowanie mechanizmu obronnego charakterystycznego dla osób przymykających oko i chodzących z głową w chmurach, co być może rozbudziło w Asherze poczucie, że wszystko mu się należy, oraz ogólny brak poszanowania dla równowagi emocjonalnej innych ludzi – nawet najlepszego, w owym czasie, przyjaciela. Poszliśmy kiedyś do restauracji należącej do jednej z sieciówek. Asher wylewał swoją colę do wielkiej glinianej donicy z palmą, stojącej obok naszego stolika, po czym unosił szklanekę i raz za razem domagał się dolewki od kelnerki, krzycząc na całą salę: „Więcej coli!”. Mimo że pani Beal musiała widzieć, że jej syn wylewa colę do donicy z palmą – cała restauracja widziała, bo kiedy kończyliśmy posiłek, ludzie kręcili zde gustowani głowami – nie kazała mu zaprzestać wygłupów ani nawet nie okazała w żaden sposób, że dostrzega jego zachowanie. Pozwoliła mu wykorzystywać kelnerkę, zbyt młodą i zabieganą (a może i zbyt głupią), żeby mu odmówić albo zrobić cokolwiek innego poza nieustannym uzupełnianiem coli w szklance. On wyraźnie rozkoszował się zadreczaniem dziewczyny. Siedział cały rozpromieniony niczym mały król, a ja nienawidziłem go tamtego dnia jeszcze bardziej niż zwykle. Kiedy już przeszedł na stronę zła, było to zło wcielone. Zupełnie jakby coś się w nim popsło i już nigdy nie naprawiło. Nigdy nie zachowywał się w ten sposób w podstawówce, zanim rozpoczęło się to, co się rozpoczęło, i zanim wszystko się zmieniło.

Ilekróć przychodziłem do ich domu, zawsze zamawiała pizzę, nawet jeśli nie byliśmy głodni. Zawsze jedliśmy pizzę. Pizza była wszechobecna. Zupełnie jakby w ich domu obowiązywała oficjalna zasada: podczas wizyty osoby w wieku do czternastu lat należy zamówić pizzę – i to migiem.

Zawsze podśpiewywała piosenki z musicalu *Koty*. Potrafię zacytować słowa wielu z nich, mimo że nigdy nie widziałem spektaklu ani nie słuchałem płyty ze ścieżką dźwiękową⁶⁰.

Najbardziej lubiła *Memory*.

Oraz ponoć inteligentnego *Mr. Mistoffeleesa*.

Zabawne, że przypominam sobie to wszystko teraz, kiedy staram się używać wojskowych eufemizmów. Robi mi się smutno, ponieważ pani Beal nie ma pojęcia, jaką darwinowską przysługę wyrządzą światu, zabijając jej syna – głównie dlatego, że pani Beal nie ma pojęcia, kim jest jej syn, co mi zrobił i do czego jest zdolny.

Nigdy w życiu nie uwierzyłyby, co musiałem wycierpieć przez jej syna.

Nie uwierzyłyby, bo nie mogłyby wtedy dłużej śpiewać piosenek z głupich musicali w trakcie wykonywania prac domowych, a nic nie sprawia jej większej przyjemności – przynajmniej nie sprawiało w czasach, kiedy kolegowałem się z Asherem⁶¹.

Staram się nie myśleć o tym, że pani Beal usłyszy strzały, przybiegnie do pokoju Ashera, zacznie krzyczeć, może nawet przytuli do piersi zakrwawioną głowę syna, próbując wepchnąć jego mózg z powrotem do czaszki⁶². Staram się nie myśleć o niekończącym się szlochu za fikcyjnym chłopcem, który nigdy nie istniał – synem, którego nigdy nie miała – ponieważ Ashera uważa za prawdziwego aniołka.

Nigdy nie dostrzegła, że się zmienił, albo wołała nie wierzyć w jego przemianę, a to czyni ją równie odpowiedzialną, równie

60 Pomijając to, co słyszałem w windach.

61 To zabawne, że teraz podoba mi się i jednocześnie nie podoba, że pani Beal sobie podśpiewuje, nie zwracając większej uwagi na otaczający ją świat.

62 Co może sprawić, że już nigdy nie zaśpiewa.

winną.

Nie zrozumcie mnie źle: w żadnym wypadku nie strzeliłbym pani Beal w twarz, ponieważ zawsze śpiewa piosenki z *Kotów* i nigdy osobiście mnie nie skrzywdziła.

Ale jeśli się poważnie zastanowić, ponosi równie wielką odpowiedzialność co Linda – oraz mój tata, niezależnie od tego, czy wciąż ukrywa się w Wenezueli, czy już nie żyje.

Ludzie, których nazywamy mamą i tatą, sprowadzają nas na świat, a potem nie zapewniają nam tego, czego potrzebujemy, ani nie dostarczają jakichkolwiek odpowiedzi – koniec końców każdy jest zdany we wszystkim tylko na siebie, a mnie takie życie nie odpowiada.

Przez te wszystkie rozmyślenia wpadam w tak paskudny nastrój, że aż dostaję drgawek.

– No dalej, Mój Celu Asherze. Wróć wreszcie do domu, żebym mógł zakończyć sprawę – szepczę, obserwując, jak siwowłosa pani Beal wyjmuje kurczaka z piekarnika.

Stoi dokładnie na tle wielkiego okna i kroci mięso na plastry, poruszając ustami.

Znów coś podśpiewuje⁶³.

63 Podśpiewująca pani Beal, o dziwo, kojarzy mi się z ekspozycją nawiązującą do *Opowieści wigilijnej* Dickensa, która co roku w grudniu jest ustawiana w naszym mieście. Można się wtedy przespacerować po wiktoriańskiej Anglii i pozagłądać do okien miniaturowych domów stojących przy brukowanych uliczkach oświetlonych lampami gazowymi, podążając za trzema duchami Dawnych, Obecnych i Przyszłych Świąt przez życie skąpego, żalosego Scrooge'a, który w końcu przechodzi przemianę, a wtedy wszyscy wołają: „Wesołych świąt!”, zajądają się zarąbiście wielkimi indykami i powtarzają: „Niech Bóg nas wszystkich błogosławi”. Tata zabrał mnie raz do Wioski Dickensa w czasach gimnazjalnych, kiedy byłem trochę za duży na udział w festynie adresowanym do małych dzieci. Tata był na haju i nie zauważył, że wszystkie pozostałe dzieci mają poniżej stu dwudziestu centymetrów wzrostu. Z tego samego powodu nie zauważył, że wszyscy gapią się na niego, ponieważ ma zaczerwienione oczy i się trochę zatacza. Jak na ironię, tata był wielkim fanem Bożego Narodzenia. Starego durnia zawsze ogarniał wtedy sentymentalny nastrój, co z kolei skłaniało go do pochłaniania jeszcze większych ilości narkotyków i alkoholu – jego dwóch ulubionych rozrywek.

DWADZIEŚCIA SIEDEM

W głębi serca wciąż odczuwam potrzebę wypowiedzenia się, zwłaszcza zanim wcielę w życie swój plan, a w rezultacie stracę na zawsze możliwość zabrania głosu.

Kilka miesięcy po koncercie Green Day Asher spędził weekend ze swoim wujkiem Danem. Pojechali na ryby w jakąś prowincjonalną część Pensylwanii – podejrzewam, że do Poconos. Asher uwielbiał wujka Dana, który był wysoki, pewny siebie, zabawny, jeździł fajną ciężarówką i ciągle zabierał gdzieś Ashera: do kina, na wyścigi, a nawet na polowanie. Dan był wujkiem, o którym marzy każde dziecko. Pamiętam, że z miejsca go polubiłem podczas pierwszego spotkania. Sprawiał wrażenie naprawdę wspaniałego gościa, co czyni dalszą część tej historii jeszcze smutniejszą⁶⁴.

Kiedy Asher wrócił z wycieczki na ryby, zauważyłem, że coś jest nie w porządku.

Pracowaliśmy wtedy nad szkolnym projektem poświęconym starożytnym cywilizacjom. Wybraliśmy sobie Inków. Asher wrócił w niedzielę i jeszcze tego dnia spotkaliśmy się u niego, żeby dokończyć budowę modelu Machu Picchu. Pamiętam, że unikał mojego spojrzenia, a ilekroć pytałem, czy coś się stało, odpowiadał zdecydowanie zbyt mocnym głosem: „Nic!”. W końcu oświadczył: „Jeżeli jeszcze raz o to zapytasz, spuszczę ci wpierdol”. Wpatrywał się we mnie takim wzrokiem, jakby chciał mnie zabić, i naprawdę był gotów to zrobić.

Skończyliśmy Machu Picchu, a ja nie odezwałem się już ani

64 Dlaczego tak się dzieje, że wspaniali faceci niemal zawsze sprawiają nam zawód, ledwie zaczniemy pokładać w nich nadzieje? Czy odpowiada za to jakieś kosmiczne prawo? O co w tym, do cholery, chodzi?

słowem. Szkielet konstrukcji wznieśliśmy z klocków lego, za trawę posłużyła prawdziwa darni, a od kilku tygodni sklejaliśmy małe sześcienne budynki z *papier mâché*. Nasze dzieło zapamiętałem jako coś absolutnie wspaniałego – nie sądzę, żebym kiedykolwiek wcześniej lub później stworzył coś równie pięknego. Jeszcze tydzień wcześniej Asher również był niezwykle dumny z naszego modelu – wręcz podekscytowany. Teraz, ledwie pomalowałem ostatnią ścianę ostatniego budynku, zaczął rozbijać model pięściami.

– Co ty wyprawiasz? – wrzasnąłem, ponieważ na tę pracę poświęciliśmy kilka tygodni.

Ale on walił i walił, miażdżąc model pięściami niczym okrutny bóg chłopiec.

Widok był doprawdy straszny, nie tylko dlatego że Asher niszczył owoc naszej ciężkiej pracy, ale również dlatego że – jak wyraźnie widziałem – nosił w sobie jakąś wewnętrzną ranę.

Próbowałem go powstrzymać, lecz uderzył mnie mocno w twarz, podbijając mi oko.

Rozpłakałem się, wręcz szlochałem.

Do pokoju weszła jego matka.

– Co się stało? – zapytała.

Stałem z otwartymi ustami. Spróbowała przytulić Ashera, ale on przebiegł obok niej i zniknął w swoim pokoju.

Nigdy nie byłem równie dezorientowany.

Nie potrafiłem nawet wyjaśnić rodzicom tego, co zaszło, ponieważ nie miałem pojęcia, co zaszło.

Można by pomyśleć, że powinni zadzwonić do pani Beal i zadać jej kilka pytań, ale chyba tego nie zrobili. Pamiętam, że tata powiedział Lindzie: „Chłopcy w tym wieku wdają się w bójki. To element dorastania”, a ona od wybuchu Ashera bardziej przejmowała się tym, że będę brzydko wyglądał z podbitym okiem.

Asher przez kilka następnych dni nie przychodził do szkoły, aż pewnego późnego popołudnia pojawił się w moim domu.

– Możemy pogadać? – spytał.

– Jasne – odparłem.

Taty ani Lindy nie było w domu. Poszliśmy do mojego

pokoju, a on zaczął po nim krążyć jak zwierzę w klatce. Nigdy wcześniej nie widziałem, żeby się zachowywał w ten sposób.

– Przepraszam, że rozpieprzyłem nasz model – wyrzucił z siebie.

– Nic się nie stało.

Nie bałem się złego stopnia, ale to, że mnie uderzył, było zdecydowanie nie w porządku, a on o tym wiedział.

Dlaczego powiedziałem, że nic się nie stało?

Powinienem powiedzieć: „Dlaczego, do jasnej cholery, mnie uderzyłeś? Odwaliło ci?”. Ale nie powiedziałem.

Żałuję, że nie powiedziałem.

Może gdybym się na niego wkurzył...

– Coś wydarzyło się podczas wycieczki na ryby – wydusił z siebie.

Spojrzał na mnie obłąkanym wzrokiem.

Sprawił wrażenie zdesperowanego.

Zaraz potem odwrócił wzrok.

– Zapomnij o tym. Muszę iść – oświadczył i wyszedł z pokoju.

Zdezorientowany pozwoliłem mu odejść bez słowa. Teraz wiem, że powinienem był za nim pobiec, raz jeszcze zapytać, co się stało, obiecać pomoc albo – przynajmniej – powinienem był komuś powiedzieć, że Asher zachowuje się dziwnie. No ale wystraszyłem się tego zdesperowanego spojrzenia. Nie chciałem, żeby Asher uderzył mnie ponownie – zresztą byłem tylko dzieckiem.

Skąd niby miałem wiedzieć, co należy zrobić?

Następnego dnia Asher wrócił do szkoły i sprawiał wrażenie zupełnie normalnego. Przez jakiś czas wydawało się, że wszystko jest po staremu. Nauczyciel pozwolił nam odbudować model Machu Picchu za trzy czwarte oceny, co zajęło nam połowę czasu, jaki zużyliśmy na skonstruowanie pierwszej wersji.

Dopiero później Asher zaczął się wdawać w szkole w bójki z mniejszymi i spokojnymi dziećmi.

Zaczął nabijać się ze mnie podczas przerw na lunch – mówił dziwaczne rzeczy, na przykład że przyłapał mnie na waleniu

konia do zdjęcia jego mamy albo że próbowałem złapać go w szatni za fiuta. Przy każdej okazji usiłował wywrócić mnie na korytarzu albo popchnąć na szafkę.

Nie podobało mi się to zupełnie, ale nie reagowałem.

Dlaczego?

Trzeba było coś powiedzieć – nie tylko w obronie własnego imienia, ale i dlatego, że Asher chyba chciał, abym go uratował.

Kto wie, czy od początku nie liczył, że go powstrzymam, i podświadomie nie próbował mnie rozdrażnić, bym się wkurzył i w końcu powiedział dorosłym, że trzeba mu pomóc. Zastanawiam się teraz, czy wszystko, co zdarzyło się potem – zaczepki w szkole i późniejsze naprawdę paskudne rzeczy – nie było formą kary za to, że nie potrafiłem go ochronić.

Kiedy w końcu mu się postawiłem – a on przestał mnie zaczepiać – wiedziałem, że będą inni.

A jeśli mogłem jednak uratować nas obu – nas wszystkich?

Muszę rozwiązać problem, który należało rozwiązać dawno temu.

Muszę rozwiązać go raz a dobrze.

DWADZIEŚCIA OSIEM

Mój cel niespodziewanie pojawia się w filmie *Pani Beal przygotowuje ostatni posiłek dla swojego zboczonego synalka* – na kuchennym ekranie kina samochodowego.

Oblewam się potem.

Drugorzędny cel zwany „matką Ashera” daje głównemu celowi całusa w policzek.

Główny cel mówi coś i znika.

Główny cel ma wygląd typowego nastolatka z amerykańskiego filmu – każdy ojciec chciałby, żeby jego córka wybrała kogoś takiego na bal kończący szkołę. Na widok maski posłusznego syna, którą przywdziewa na ekranie mojego kina samochodowego, moje serce zaczyna niczym karabin maszynowy pompować do żył pociski krwi. Odbezpieczam kciukiem walthera P38 i muskam palcem spust⁶⁵.

Każdy centymetr kwadratowy mojej skóry lśni od potu, mimo że na dworze jest pewnie blisko zera.

Minutę temu trząsałem się z zimna, teraz walczę z pragnieniem, aby zedrzeć z siebie koszulę. Mam poczucie, jakbym połknął słońce.

Chwilę później zapala się światło w sypialni głównego celu, co powinno być dla mnie sygnałem do rozpoczęcia realizacji planu. A jednak moje stopy pozostają wrośnięte w ziemię.

Główny cel włącza komputer, a jego twarz oblewa poświata, w której wygląda jak kosmita.

Zabij kosmitę, myślę.

Pamiętaj, co ci zrobił.

65 Spust kojarzy mi się z zamrożonym językiem węża.

Masz do tego pełne prawo.

On nie jest człowiekiem.

Jest rzeczą.

Celem.

Pamiętaj, by wykorzystać wojskowe wyszkolenie – informacje znalezione w internecie.

Moja esencja opuszcza ciało i wzlatuje jakieś pięć metrów ponad głowę, skąd przyglądam się ciału, kościom i krwi – materii – które niegdyś zamieszkiwałem.

Nie widzę wyrazu swojej twarzy, ponieważ zasłania ją kapelusz Bogarta. W wyciągniętej prawej ręce dzierżę walthera P38 i mierzę w główny cel.

Moje nogi nie stawiają kolejnych kroków, mimo to sunę przez ogródek, przez ciemność, lekki niczym duch.

Przypominam zeszywniałą małą literę „r” ciągniętą przez lód.

Co mnie ciągnie? zastanawiam się, płynąc przez mroźne zimowe powietrze i spoglądając w dół. Dopiero wtedy dociera do mnie, że moja esencja również jest ciągnięta – podążam za ciałem niczym urodzinowy balonik z helem przywiązany do rączki dziecka⁶⁶.

Stoję teraz przed oknem celu i przypominam sobie wszystko to, co zrobił mi w tym pokoju tak wiele razy.

Jak zdezorientowany się czułem.

Jak pragnąłem, żeby przestał.

Jak mnie zastraszał.

Jak mną manipulował.

Jak powiedział, że jeśli przestaniemy robić to, co robimy, opowie każdemu w najdrobniejszych szczegółach o wszystkim, co się działo, a wtedy wszyscy będą nazywali mnie pedałem i może nawet spuszczać mi wpierdol.

⁶⁶ Tego samego doświadczałem, przebywając sam na sam z Asherem w jego sypialni – odłączałem się i odpływałem, kiedy działo się to, co się działo. Początkowo to wystarczało, abym nie czuł się zbyt podle. Zupełnie jakby to, co się działo, działo się wobec kogoś innego, podczas gdy ja unosiłem się bezpiecznie z zamkniętymi oczami i plecami przylegającymi do sufitu.

To jemu, a nie mnie uwierzą, kiedy powie, że to ja zmusiłem jego do robienia tych rzeczy.

A jeśli przestanę robić to, czego ode mnie żąda, wrzuci do sieci nagranie tego, co razem robimy, zarejestrowane kiedyś potajemnie kamerą komputera, kiedy nawet nie wiedziałem, że jest włączony.

Za pierwszym razem wyjaśnił, że wujek pokazał mu, jak przeżyć coś przyjemnego w sposób, na który nigdy bym nie wpadł.

Oczywiście, że chciałem doznać czegoś przyjemnego.

Kto by nie chciał?

Mieliśmy niecałe dwanaście lat.

Uprawialiśmy zapasy w stylu zawodowego wrestlingu.

Tak się tylko wygłupialiśmy.

Miałem kominiarkę narciarską, którą zakładałem i udawałem, że jestem Reyem Mysterio.

On zawsze był Johnem Ceną.

Potem już nie uprawialiśmy zapasów.

Robiliśmy coś, czego nie potrafiłem pojąć – coś ekscytującego, niebezpiecznego.

Coś, na co nie byłem gotowy – coś, czego tak naprawdę nie chciałem robić.

Udawaliśmy – a może nie?

Potem Asher chciał się bawić w zapasy za każdym razem.

Zacząłem zadawać pytania – próbowałem zrozumieć, co się dzieje.

Asher zabronił mi zadawać pytań – niech wszystko zostanie między nami, nie należy zbyt często o tym rozmyślać – a kiedy to mówił, z jego twarzy wyzierała niczemność, jakby był kimś obcym, a nie moim przyjacielem.

Im częściej to się działo, tym bardziej stawał się nieprzyjazny.

Trwało to przez dwa lata.

Nie chciałem stracić przyjaciela.

Robiliście kiedyś jakieś rzeczy wbrew swojej woli tylko po to, by ocalić przyjaźń?

Starłem się omijać sypialnię Ashera – a w praktyce unikać

przebywania z nim na osobności – ale on był nieustępliwy i nieustannie prosił, żebyśmy pobawili się w „zapasy”, bo tak to nazywaliśmy.

Później zacząłem stosować wymówki – mówiłem Asherowi, że nie mogę się spotkać, bo mam zadanie domowe do odrobienia, że mama dała mi szlaban, cokolwiek. Szybko mnie przejrzał i wtedy posypały się groźby.

Sprawa skończyła się bójką na pięści – Asher spuścił mi łomot, ponieważ odmówiłem dalszego „uprawiania zapasów”.

Zawsze był silniejszy, większy.

Nie przejmowałem się tym, że mnie pobije.

A ponieważ się nie przejmowałem, odzyskałem wolność.

Kiedy zapowiedziałem wyraźnie, że nie ustąpię i będzie musiał regularnie okładać mnie pięściami – a po tym, jak ludzie zobaczą podbite oczy, zaczną zadawać pytania – wszystko ustało.

Być może właśnie wtedy stałem się mężczyzną.

Rodzice zapytali, skąd mam siniaki. Powiedziałem, że znów pobiliśmy się z Asherem.

Kolejnych pytań nie zadawali.

Może podejrzewali, że jestem gejem.

Raz próbowałem chyba powiedzieć Lindzie, ale nie uwierzyła i zmieniła temat. Nie pamiętam dokładnie, co powiedziałem, ale zapewne wyraziłem się nie wprost, ponieważ jak można opowiadać wprost o takim syfie, kiedy człowiek wszedł dopiero w okres dojrzewania? Czasami myślę, że się wtedy roześmiała, zupełnie jakbym opowiedział dowcip. Czasami mam wrażenie, że i ja się śmiałem, po prostu dlatego, że bezpieczniej było się roześmiać. Choć kto wie, czy tej części nie zmyśliłem. Wspomnienie próby komunikacji z Lindą kompletnie się zamazało, więc nie mam pewności.

Nikt nie poznał prawdy, co wydaje mi się złe – nawet niebezpieczne.

Ja zamieniłem się w dziwaka, tymczasem Asher, o dziwo, stał się popularnym i zrównoważonym dzieckiem, które większość ludzi uznałoby za normalne, przynajmniej na pierwszy rzut oka.

Dzieci znęcające się nad kolegami zawsze są popularne.

Dlaczego?

Ludzie kochają siłę.

Czy stanę się na chwilę potężny, jeśli zastrzelę Ashera?⁶⁷
Zastanawiam się nad tym.

Tyle że stojąc pod oknem jego pokoju, zamieniam się na powrót w przerażonego chłopca, którego rodzice żyją w nieświadomości albo są nieobecni, którego matka nie wygłasza choćby jednego słowa komentarza po tym, jak pewnego dnia nakrywa swojego syna i jego najlepszego przyjaciela nagich, ale zatrzaskuje drzwi do pokoju i udaje, że nic nie widziała⁶⁸.

Z jakiegoś powodu – niezależnie od tego wszystkiego – moje myśli wędrują ku wydarzeniom z pewnego lata, zanim zaczęły się wszystkie dziwne, koszmarnie rzeczy, kiedy byliśmy parą zwykłych dzieciaków.

To moje ostatnie pozytywne wspomnienie dawnego przyjaciela.

Bez żadnego konkretnego powodu postanowiliśmy z Asherem pojechać na rowerach najdalej, jak tylko zdołamy.

Wyjechaliśmy o dziewiątej rano i wróciliśmy o piątej po południu na obiad.

Mieliśmy osiem godzin, postanowiliśmy zatem jechać w jednym kierunku przez trzy i pół godziny, a potem wracać do domu przez kolejne cztery i pół godziny – założyliśmy, że z powodu zmęczenia podróż powrotna zajmie więcej czasu.

Wyprawa nie miała żadnego celu – był to jeden z tych planów, na które wpadają w lecie śmiertelnie znudzone dzieci. Nigdy wcześniej nie opuściliśmy samodzielnie naszego miasta, wiedzieliśmy zatem, że z całą pewnością nie dostalibyśmy zgody rodziców, więc tuż po starcie serca zabiły nas mocniej. Miałem poczucie, że wyruszamy w niezwykłą, zakazaną podróż.

Pamiętam, że Asher jechał z przodu i prowadził nas przez

67 Dzięki serwisom informacyjnym zyskam niewątpliwie z miejsca sławę, a czymże jest sława, jak nie siłą i popularnością?

68 Pamiętam, jak to się stało. Pamiętam. To prawdziwe wspomnienie. Skąd się wzięło?

kolejne miasteczka, których nigdy wcześniej nie odwiedziliśmy, mimo że znajdowały się niedaleko naszego. Pamiętam uczucie wolności, które było nowe, żywe i odurzające.

Pamiętam, jak musiał się zatrzymać, kiedy opuszczono czerwono-biały szlaban, a kiedy patrzyliśmy na przejeżdżający pociąg, zauważyłem, że T-shirt Ashera jest cały przepocony. Narzucał ostre tempo, uda bolały mnie przez większą część wyprawy, ale najdotkliwiej właśnie w tamtej przymusowej chwili beczynności.

Kiedy pociąg przejechał i podniesiono szlaban, ruszyliśmy dalej.

Wciąż oglądał się przez ramię i uśmiechał do mnie – a ja kochałem go tak, jak kocha się brata albo zaufanego przyjaciela – nawet gdy owady bombardowały mnie w twarz, a letni wiatr rozwiewał mi włosy.

Pamiętam, jak siedzimy nad stawem w parku w jakimś nieznanym mieście – jemy zabrane z domu kawałki pizzy, które owinęliśmy folią aluminiową i schowaliśmy do plecaków.

Nie rozmawialiśmy zbyt wiele, tylko siedzieliśmy uśmiechnięci jak na parę buntowników przystało. Samodzielnie wyruszyliśmy w wielki, wspaniały świat, a teraz nie mogliśmy uwierzyć, jakie to było proste, że wystarczyło wskoczyć na rower, pedałować i zniknąć spod oka rodziców, uwolnić się od wszystkiego, co znaliśmy, i jak wiele pozostało nam do zbadania.

Tamten dzień aż wibrował od nowych możliwości.

Obaj to czuliśmy, więc nie potrzebowaliśmy wyrażać tego słowami.

Wszystko było jasne.

Co się z nami stało?

Co się stało z dwoma chłopakami, którzy uwielbiali godzinami jeździć na rowerach?

Wylot lufy walthera P38 niemal dotyka szyby.

Główny cel nie wyczuwa mojej obecności za oknem swojego pokoju.

Główny cel znajduje się w odległości około półtora metra.

Skoro mój dziadek mógł rozstrzelać złego człowieka, ja też

mogę, myślę.

Ekran monitora zalewa sypialnię celu upiorną poświatą.

Unoszę się nad swoim ciałem, próbując poruszyć palcem wskazującym, aby nacisnął spust,

i walther P38 wystrzeli,

i szyba się roztrzaska,

i głowa celu rozbryźnie się jak dynia.

Z jakiegoś powodu tak się nie dzieje.

Cel wyłącza komputer i pokój pogrąża się w ciemności.

Moje oczy po chwili przyzwyczajają się do braku światła, a wtedy dostrzegam, że Asher trzyma w rękę fiuta i wali konia. Nadal siedzi na krześle, odwrócił się tylko w bok, żeby poruszająca się w górę i w dół ręka nie uderzała o blat biurka. Odrzucił nawet głowę do tyłu.

Wydaje się to nieprawdopodobne, ale choć Asher wali konia niecałe dwa metry ode mnie, nie mogę przestać myśleć o dniu, kiedy pojechaliliśmy na zarabiście długą wycieczkę rowerową. Żałuję, że nie możemy wymazać wszystkiego, co zdarzyło się później, i już na zawsze zamieszkać w obrębie tego jednego dnia.

Pamiętam, jak o wyznaczonej godzinie zawróciliśmy, żeby się nie spóźnić na obiad i żeby nasi rodzice niczego się nie domyślili.

Stanęliśmy przed salonem samochodowym, przed którym wciąż znajdowała się masa czerwonych, białych i niebieskich balonów pozostałych z lipcowego Święta Niepodległości. Postawiliśmy stopy na betonie, siedząc okrakiem na siodełkach, i badaliśmy wzrokiem nowy ład, który właśnie odkryliśmy.

Czuliśmy się jak Krzysztof Kolumb i Ponce de León.

Jakbyśmy opuścili bezpieczną przystań i wyruszyli na niezbadane wody.

Naszymi statkami były rowery BMX.

– Daleko zajechaliśmy – powiedział Asher.

Skinąłem z uśmiechem głową.

– Możemy to robić codziennie do końca lata. Odwiedzić mnóstwo nowych miejsc! Tyle, ile szprych mają koła naszych

rowerów!

Pamiętam, że z jego twarzy bił szczery entuzjazm – zupełnie jakbyśmy właśnie odkryli, że mamy skrzydła i potrafimy latać.

Jego oczy świeciły równie mocno jak letnie słońce nad naszymi głowami.

Ale już nigdy nie pojechaliśmy na podobną wycieczkę rowerową, a ja nigdy nie potrafiłem zrozumieć dlaczego.

Rodzice o niczym się nie dowiedzieli.

Nie wpakowaliśmy się w żadne kłopoty.

Wyprawa zakończyła się pełnym sukcesem.

Po prostu jakoś nigdy nie wyprawiliśmy się na całodzienną przejażdżkę, być może dlatego, że zaczęła się sprawa z wujkiem Ashera. Teraz ta utracona szansa budzi we mnie cholerny smutek. Napływające do oczu łzy zamglily mi widok.

Mój walther P38 jest nadal wymierzony w główny cel, ale zaczynam sobie uświadamiać, że nie wykonam misji. Jestem okropnie złym żołnierzem.

Mój dziadek pewnie nazwałby mnie pedałem i dałby mi w mordę, żebym się otrząsnął, jak to robił z moim ojcem, a przynajmniej tak powiedziała mi matka na pogrzebie dziadka, kiedy chodziłem do trzeciej klasy podstawówki.

Jakoś nie potrafię się przemóc do kontynuowania planu, choć nie wiem dlaczego.

Pewnie dlatego, że mam nawalone w głowie i nie potrafię niczego porządnie zrobić.

Moja esencja zostaje wessana z powrotem do ciała i zaraz potem ponownie zabezpieczam walthera P38.

Wsuwam pistolet do kieszeni, wyjmuję i włączam komórkę.

Kiedy system się załadowuje, dotykam ikonki aparatu fotograficznego, upewniam się, że lampa błyskowa jest włączona, nakierowuję komórkę w stronę okna sypialni Ashera i uruchamiam eksplozję światła, żeby wiedział, że ktoś zrobił mu zdjęcie, jak wali sobie konia, po czym uciekam przez las.

DWADZIEŚCIA DZIEWIĘĆ

Przedzieram się między drzewami, potykam o sterty zeschniętych liści i odłamanych gałęzi, niepokojąc się, że walther P38 przypadkowo wystrzeli i wpakuje mi kulkę w udo. Jednocześnie się śmieję.

Wyobrażam sobie, jak Asher podskakuje na krześle oświetlony fleszem aparatu, jak podbiega do okna, by zobaczyć sylwetkę uciekającą w stronę lasu.

Ciekawe, czy wiedział, że to byłem ja.

Oczywiście, że wiedział!

Kto inny mógłby to być?

Zapewne ma wielu wrogów, kto wie, czy nie utrzymuje skrytych kontaktów z jakimś nowym chłopcem.

Prawdopodobnie wystraszył się, że zdjęcie trafi na Facebooka albo jego odbitki zostaną rozwieszane na korytarzach szkoły. Nigdy nie zrobiłbym niczego podobnego⁶⁹, ale mam spory ubaw, wyobrażając sobie zdjęcie brandzlującego się Ashera wywieszane w miejscu publicznym.

Wyobraźcie sobie najwredniejszą osobę, jaką znacie.

Niech to będzie nawet Hitler.

A potem wyobraźcie sobie, jak wali sobie konia w zacinzu

⁶⁹ Głównie dlatego, że boję się reakcji ludzi, gdyby wydedukowali, że to ja zrobiłem zdjęcie, z czego wynikałoby, że podglądałem Ashera przez okno jego sypialni. „Dlaczego?”, pytaliby. Wyjaśnienie prawdziwego powodu überdurniom byłoby gorsze od śmierci. Zresztą Asher bez wątpienia rzuciłby na mnie oskarżenie, gdyby tylko zdjęcie ujrzało światło dzienne. Nie mam wątpliwości, że pociągnąłby mnie na dno. Rzuciłby mnie überdurniom na pożarcie, jak ofiarę. Oni uwierzyliby we wszystko, co by im powiedział, ponieważ jest im bliższy niż ja.

swojej sypialni.

Nie wydaje się już taki zły ani potężny, prawda?

Raczej komiczny i bezsilny, może nawet nabiera cech osoby zasługującej na współczucie.

W gimnazjum nauczyciel biologii powiedział nam, że każdy się masturbuje.

Każdy jest w pewnym sensie niewolnikiem popędu seksualnego.

Może zatem każdy zasługuje na współczucie?

Może gdybyśmy zaczęli sobie wyobrażać, że nasi wrogowie od czasu do czasu się masturbują, świat byłby spokojniejszym miejscem.

Sam nie wiem.

W jakiś sposób trafiam nad rzekę i postanawiam odetchnąć pod małym mostem, gdzie znajdują się nieprzebrane ilości pustych puszek po piwie, roztrzaskane butelki po wódce, które dawno temu rozbito o wielki betonowy mur, tu i ówdzie zużyte kondomy oraz najróżniejsze napisy – perełki w rodzaju „Rich przeleciał tu Nedę 3.10.09”, „Super ChujMaster!” czy „Czar Nuch 4ever”, mimo że w naszym mieście nie mieszka ani jeden czarny.

Dzieciaki z mojej szkoły średniej przychodzą tu napić się piwa i nazywają to miejsce Miastem Trolli. Sam nigdy nie przepadałem za organizowanymi tu imprezami.

Łapię oddech, przypominam sobie Ashera i ponownie wybucham śmiechem.

To, co mi zrobił, przestaje się wydawać takie ważne. Zamierzam wpakować sobie kulkę w łeb, a wtedy wspomnienie tych zdarzeń zniknie na zawsze.

I problem z głowy.

Powtarzam sobie w myślach, że Asher musiał wpaść w panikę z powodu zdjęcia, które mu zrobiłem – że to będzie jego kara.

Wyrównałem rachunki.

Mogę odpuścić.

Mogę wreszcie zamknąć oczy i rzucić się w otchłań tego, co będzie potem.

A przynajmniej próbuję w ten sposób myśleć.

Z jakiegoś zwariowanego powodu przypominam sobie słowa Jamesa Baldwina. Herr Silverman kazał nam o nich dyskutować na lekcji o Holokauście, kiedy omawialiśmy temat Żydów polujących po drugiej wojnie światowej we wszystkich zakątkach ziemi na zbiegłych nazistów – ludzi, którzy dopuścili się straszliwych, przerażających rzeczy, a potem uciekli do Argentyny, Namibii czy innych państw.

Oto cytat:

Ludzie płacą za to, co robią, a w jeszcze większym stopniu za to, czym się stali. A płacą za to w bardzo prosty sposób – pozostałym życiem.

Wiele osób z mojej klasy zgodziło się z tym stwierdzeniem, zapewne dlatego, że uznało zaniechanie zemsty za jedyną słuszną postawę – reakcję oczekiwaną przez Herr Silvermana, odpowiedź, która przyniosłaby im najwięcej punktów na egzaminie.

Herr Silverman nie chciał oczywiście powiedzieć, że zbiegłym nazistom powinno się wybaczyć i umożliwić rozpoczęcie życia od nowa. Próbował zmusić nas do zastanowienia nad tym, że życie jest ciężkie, a ludzie cierpią na najróżniejsze sposoby, nawet jeśli my sami nie przyczynimy się do tego cierpienia, próbując zaspokoić własne pragnienie zemsty – niemniej podejrzewam, że myśl Baldwina sprawdza się również w realnym świecie, wolnym od literatury, edukacji, filozofii czy moralności, ponieważ Asher i Linda oraz wiele osób mających sporo na sumieniu wiodą spokojne życie – a nawet funkcjonują wyjątkowo sprawnie w takim świecie – podczas gdy ja siedzę pod obskurnym mostem i zamierzam wpakować sobie kulkę w łeb.

Być może właśnie tak czuli się Żydzi polujący na nazistów w latach pięćdziesiątych – jakby wciąż mieszkali w Mieście Trolli, mimo że zostali wyzwoleni z nazistowskich obozów śmierci.

A może dopadła mnie sprawiedliwość.

Może na własne życzenie stałem się nieporadną, pogrążoną w depresji, niezrozumianą osobą.

Może to wszystko moja wina.

Może powinienem zabić Ashera Beala.

Byłem przecież taki zły.

Asher bez wątpienia zasługiwał na śmierć⁷⁰.

A może trzeba było podjąć próbę uratowania Ashera na samym początku, kiedy te okropne rzeczy dopiero się zaczęły – zanim całkowicie przeszedł na stronę zła?

No ale byłem tylko dzieckiem.

Byliście tylko dziećmi i może wciąż nimi jesteście.

Nie można wymagać od dzieci, żeby umiały się wyratować z takiej sytuacji, prawda?

Przystawiłem sobie pistolet do skroni i przyciskam skroń do metalowej obręczy.

Coraz mocniejszemu wpychaniu wylotu lufy walthera P38 w miękki fragment czaszki towarzyszy miłe uczucie – przypominające niemal masaż.

Zupełnie jakby walther P38 był starym kluczem, który próbuję wpasować w otwór starej kłódki, a kiedy zdołam to zrobić, usłyszę metaliczny szczęk, drzwi się otworzą, przejdę przez nie i będę uratowany.

– Niech zamek szczęknie, Leonard – szepczę do siebie. – Wystarczy, że zaciśniesz palec wskazujący, i wszystko będzie dobrze. Myśli ustaną. Skończą się problemy. W końcu odpoczniesz.

Mam już pociągnąć za spust, kiedy przez moją głowę przebiega kolejne pytanie.

Ciekawe, czy Linda w ogóle pamiętała, że dziś są moje

⁷⁰ Zaczynam rozmyślać o sytuacji, kiedy Hamlet miał okazję zabicia pogrążonego w modlitwie Klaudiusza, ale tego nie zrobił, ponieważ Klaudiusz chwilę wcześniej pojednał się z bogiem, poprosił boga o wybaczenie, a przez to, jak wyjaśniłaby wam Lauren, mógłby pójść do nieba. W tej sytuacji Hamlet odczekał do czasu, gdy Klaudiuszowi nazbierało się trochę grzechów. Czy Hamlet zabiłby Klaudiusza, gdyby zastał go walącego konia? Podejrzewam, że nie, co poprawia mi samopoczucie. Czy można zabić kogoś, kto wali sobie konia? Wydaje się to niemożliwe. Założę się, że Hamlet nieźle by się uśmieł, gdyby natknął się na mordercę swojego ojca w trakcie marszczenia Freda. Jak ktokolwiek mógłby nie wybuchnąć śmiechem?

urodziny.

Z jakiegoś powodu staje się ważne, a im dłużej nad tym rozmyślam, tym bardziej zdaję sobie sprawę, że nie mogę umrzeć, nie znając odpowiedzi.

Opuszczam walthera P38 i sprawdzam pocztę głosową w telefonie.

Nikt się nie nagrał.

Sprawdzam skrzynkę mailową.

Pusta.

Nowych SMS-ów brak.

Wybucham śmiechem – normalnie ryczę ze śmiechu, ponieważ wszystko to wydaje się idealnie pasować do sytuacji.

Cóż za piękne urodziny.

Cóż za piękne życie.

Unoszę walthera P38 i ponownie przyciskam wylot lufy do skroni.

Zamykam oczy.

Naciskam spust.

TRZYDZIEŚCI

Czas

zatrzymuje

się

w

miejscu.

TRZYDZIEŚCI JEDEN

Spust stawia opór. Chyba zardzewiał albo coś w tym stylu, bo choć naciskam go z całej siły, pocisk nie wylatuje z lufy, a ja nie umieram.

Przekładam pistolet do lewej ręki i próbuję wyprostować palec, którym naciskałem spust, ale okazuje się, że nie mogę – zupełnie jakby zamarzył w pozycji kota z podkulonym ogonem.

– KURWA!!! – krzyczę w noc, przez rzekę, a potem uderzam pięścią w betonowy mur, próbując rozruszać palec wskazujący, ale niezależnie od tego, co robię, niezależnie od tego, jak bardzo się staram, najwyraźniej nie jestem w stanie palnąć sobie w łeb.

Zastanawia mnie, czy ta niemożność nie jest podświadomą próbą powstrzymania się od samobójstwa, a potem przypominam sobie, że obiecałem przynajmniej zadzwonić do Herr Silvermana, gdybym powziął zamiar zakończenia swojego życia, dochodzę zatem do wniosku, że dopiero kiedy dotrzymam obietnicy, moja podświadomość pozwoli mi użyć palca do pociągnięcia za spust i dokończenia zadania.

Obietnic należy dotrzymywać.

W tylnej kieszeni spodni odnajduję skrawek papieru, który dostałem od Herr Silvermana.

Przyświecam sobie latarką z komórki i odczytuję zielone cyfry.

Wybieram numer.

Rozlega się dźwięk dzwonka.

Zastanawiam się, czy podniesie, i w sumie mam nadzieję, że połączę się z pocztą głosową, co pozwoliłoby mi zostawić wiadomość – i dotrzymać obietnicy – a później skończyć to, co

rozpocząłem.

Po czwartym dzwonku odpręgam się przekonany, że zaraz połączę się z pocztą głosową, ale wtedy słyszę trzask.

– Słucham? – mówi głos.

Czuję się, jakby moje usta nagle uciekły gdzieś z twarzy i pozostawiły mnie samego sobie. Nie potrafiłbym wypowiedzieć ani jednego słowa, nawet gdybym chciał.

– Słucham – mówi Herr Silverman.

To bez wątpienia jego głos.

Próbuję wrzucić komórkę do rzeki, ale najwyraźniej zrosła się z moim uchem.

– Słucham – powtarza Herr Silverman, tym razem z nieco większą mocą.

Czekam, aż się rozłączy, uznawszy, że to pomyka albo jakiś dyszący do telefonu zboczeniec.

– Czy to ty, Leonardzie? – pyta Herr Silverman łagodniejszym tonem. Nie wydaje się wkurzony, że zadzwoniłem. Odnoszę nawet wrażenie, że poczuł się zaszczycony. Taki ton znakomicie pasowałby do pytania: „Czyżbym naprawdę zdobył tytuł nauczyciela roku?”.

Nadal nie potrafię wydusić ani słowa.

– Wszystko w porządku?

Nie odpowiadam.

– Leonardzie, nie rozłączaj się. Nie przerywaj połączenia. Zgodnie z obietnicą chciałbym ci powiedzieć, dlaczego nie podwijam rękawów. Skoro zadzwoniłeś na ten numer, zakładam, że bardzo chcesz poznać odpowiedź. Chętnie ci jej udzielen. Problem polega na tym, że tę odpowiedź muszę ci pokazać. Powiedz zatem, gdzie jesteś. Przyjadę po ciebie. Chciałbym jednak, żebyśmy kontynuowali połączenie, kiedy będę jechał taksówką. Możemy gadać o czymkolwiek, a kiedy przyjadę na miejsce, podwinę rękawy i wyjaśnię ci zagadkę. Mam głębokie przekonanie, że moja opowieść cię zainteresuje. Musisz tylko jeszcze chwilę wytrzymać. Możesz to zrobić? Możesz to zrobić dla mnie?

Nie odpowiadam, mimo że chcę.

Moje usta wciąż nie powróciły na swoje miejsce.

Nie przewidziałem tego.

Zastanawiam się, dlaczego Herr Silverman jest dla mnie taki miły – i czy zrobił coś podobnego dla innego ucznia. Wydaje mi się niestosowne zmuszać go do wyjścia z domu w dzień powszedni, kiedy ma prawdopodobnie milion innych rzeczy do zrobienia i naprawdę nie potrzebuje dodatkowych kłopotów, wykraczających poza zakres jego obowiązków. Ułatwiłbym wszystkim życie, gdybym po prostu pociągnął za spust i skończył całą zabawę już teraz. Problem w tym, że z jakiegoś powodu nie potrafię. Po prostu nie potrafię.

– W porządku, Leonardzie. Jeżeli to jesteś ty, potwierdź to jakimś dźwiękiem. Chrząknij, zrób cokolwiek, żebym wiedział, że to ty. Zacznijmy od tego. Czy to naprawdę jesteś ty?

Chociaż wmawiam sobie, że muszę zachować milczenie, że nie powinienem wyciągać Herr Silvermana z domu, że najlepiej byłoby przerwać rozmowę, zanim sprawy jeszcze bardziej się skomplikują, z zakamarków mojego wnętrza wydobywa się pomruk „Um-hmm”.

Trzęsę się, zaczynam się strasznie trząść.

– Jesteś w domu?

Nie odpowiadam.

– Okej, a więc nie jesteś w domu. A zatem gdzie jesteś?

Nie odpowiadam.

– Jesteś sam?

Nie odpowiadam.

– Po prostu powiedz, gdzie jesteś, Leonardzie. Przyjadę do ciebie. Porozmawiamy. Opowiem ci o mojej tajemnicy. Podwinę dla ciebie rękawy.

Nie wiem, dlaczego nagle odzyskuję zdolność mowy, ale choć najchętniej przerwałbym połączenie i pozwolił Herr Silvermanowi spędzić miło resztę wieczoru, moje płuca, język i usta postanawiają mnie zdradzić.

– Dziś są moje urodziny. Nikt o tym nie pamiętał.

Brzmi to tak głupio, tak żałośnie, jak dziecinna skarga, że ponownie przystawiam lufę walthera P38 do skroni.

Skończ z tym.

Wystarczy pociągnąć za spust.

Ułatwisz wszystkim życie.

Na dłuższą chwilę zapada milczenie. Herr Silverman najwyraźniej próbuje zdecydować, co powiedzieć.

– Wszystkiego najlepszego, Leonardzie. Skończyłeś dziś osiemnaście lat?

Kiedy słyszę, jak ktoś mówi „Wszystkiego najlepszego”... Wiem, to kompletny idiotyzm, ale nagle czuję się lepiej.

Tylko dwa słowa.

Wszystkiego najlepszego.

Dzięki nim czuję, jakbym nie przestał jeszcze istnieć.

Jakbym wciąż tu był.

– Leonardzie? – mówi Herr Silverman.

Wpatruję się w drugi brzeg rzeki i widniejącą w oddali panoramę Filadelfii. Światła wieżowców migoczą na wodzie i tańczą z promieniami księżyca.

Ciekawe, czy ktoś jeszcze w Filadelfii ma dziś urodziny.

W jaki sposób je obchodzi?

Czy ktokolwiek z nich odczuwa to samo co ja?

– Proszę, Leonardzie. Powiedz, gdzie jesteś. Przyjadę do ciebie.

Nie mogę uwierzyć, jak bardzo pragnę zobaczyć teraz Herr Silvermana.

Nie rozumiem nawet dlaczego.

Opuszczam walthera P38 i podaję mu swoją lokalizację.

– Nie ruszaj się stamtąd – mówi Herr Silverman. – Przyjadę za dwadzieścia minut. Tylko się nie rozłączaj. Będziemy przez cały czas rozmawiać. Muszę tylko powiedzieć współlokatorowi, dokąd idę.

Słyszę, że mówi do kogoś, ale nie potrafię zrozumieć poszczególnych słów.

Drugi mężczyzna odpowiada – odnoszę wrażenie, że się kłócą – potem słyszę szelest.

– Jesteś tam jeszcze, Leonardzie? – pyta Herr Silverman.

– Tak.

– Idę schodami w moim bloku. Zbliżam się do ciebie. Okej, wyszedłem na Walnut Street, rozglądam się za taksówką. O, coś nadjeżdża. Wyciągam rękę w powietrze. Zauważył mnie.

Zatrzymuje się. Wsiadam. – Słyszę, jak podaje kierowcy moją lokalizację. – Ruszyliśmy, zmierzamy w kierunku mostu.

Herr Silverman relacjonuje w ten sposób całą podróż, a ja mam poczucie, że jego słowa są jedyną rzeczą, która w tej chwili wiąże mnie w jakikolwiek sposób ze światem – że dosłownie rzecz biorąc, trzymają mnie przy życiu, a gdyby nie odebrał telefonu, rzeczywiście mógłbym palnąć sobie w łeb.

Znów zaczyna mnie zastanawiać, co się kryje pod rękawami jego koszuli i czy rzeczywiście warto czekać na rozwiązanie zagadki.

A może przeżyję kolejne rozczarowanie?

Wciąż masz pistolet. Wciąż możesz się stąd wymeldować, gdyby zaszła taka potrzeba, wpaść do wody i tonąć... tonąć... tonąć aż do zatracenia, powtarzam sobie w myślach i to również mi pomaga, ponieważ wynika z tego, że mam różne możliwości.

Możliwości są ważne.

Podobnie jak plan awaryjny.

– Okej – mówi Herr Silverman. – Wjechaliśmy do New Jersey. Jesteśmy jakieś pięć minut od ciebie.

Jakże pięknie wyglądają światła odbijające się w rzece, myślę. Ogarnia mnie pragnienie, by się w niej wykapać.

– Widzę most – mówi Herr Silverman.

Słyszę, jak prosi taksówkarza, żeby zostawił włączony taksometr i na nas zaczekał.

Z tonu odpowiedzi taksówkarza wnioskuję, że nie zaczeka.

– To poważna sprawa, sytuacja awaryjna – przekonuje go Herr Silverman. – Dam panu spory napiwek. Obiecuję.

Uświadamiam sobie, że Herr Silverman jest gotów wydać swoje pieniądze, żeby mnie uratować⁷¹, i aż mnie ściska w gardle. Taksówka zatrzymuje się na moście tuż nade mną.

– Wsiadam z taksówki, Leonardzie. Jestem na miejscu. Muszę tylko znaleźć drogę na dół.

Chcę mu powiedzieć o ścieżce wydeptanej przez pijanych uczniów szkoły średniej, ale usta ponownie zeskoczyły mi

⁷¹ A biorąc pod uwagę, ile zarabiają nauczyciele w szkołach publicznych, to naprawdę wiele o nim mówi.

z twarzy.

– O, znalazłem ścieżkę – informuje Herr Silverman, zaraz potem słyszę kamyki i ziemię zsuwające się ze zbocza. – Leonardzie? – mówi. Tym razem głos nie dobiega z mojego telefonu.

Rozłączam się.

TRZYDZIEŚCI DWA

– Czy dobrze mi się wydaje, Leonardzie, że trzymasz w rękę pistolet? – pyta Herr Silverman głosem nieco bardziej drżącym niż wcześniej. Chyba jest bardziej wystraszony, niż daje po sobie poznać.

– Nazistowski walthers P38 – wyjaśniam. Mój głos brzmi twardo.

– Zdobycz wojenna dziadka?

Kiwam głową.

Znajduje się nadal z półtora metra ode mnie, ale mimo to czuję się jakby lekko osaczony, więc robię krok w tył.

– Nie chciałbyś mi go oddać? – mówi i podchodzi kawałek z wyciągniętą ręką. Teraz widzę, że jest mocno przestraszony, ponieważ dłoń mu się trzęsie, mimo że zawzięcie próbuje ją uspokoić.

– Uczyli pana na kursie pedagogicznym, jak postępować z uzbrojonym uczniem? – pytam, próbując rozluźnić atmosferę. – Poświęcono temu oddzielny przedmiot?

– Nie, zdecydowanie nie uczyli... I nie, z pewnością nie poświęcono – odpowiada. – Ale może powinni uczyć. Jest naładowany?

– Tak. I odbezpieczony – mówię, słysząc w swoim głosie prowokacyjny ton.

Herr Silverman opuszcza dłoń i lekko się usztywnia.

Nie do końca rozumiem, dlaczego rozmawiam z nim w ten sposób.

Ostatecznie przyjechał tu, by mnie uratować, prawda?

Zadzwoiłem, bo chciałem, żeby przyjechał.

Ale teraz zachowuję się tak, jakbym nie potrafił się powstrzymać.

Jakbym miał tak bardzo nawalone w głowie, że nie potrafię być miły i docenić tego, co robi.

– Oddaj mi pistolet i wszystko będzie dobrze.

– Nie, nie będzie. To pieprzone kłamstwo! Niech pan mnie nie okłamuje, Herr Silverman. Jest pan lepszy od całej reszty. Jest pan jedynym dorosłym, któremu naprawdę ufam i którego podziwiam. Proszę mi zatem powiedzieć coś innego, okej? Proszę spróbować od nowa.

– W porządku. Czy napisałeś listy od ludzi z przyszłości?

Zaskakuje mnie tym pytaniem, a jednocześnie wzbudza najróżniejsze uczucia, których wolałbym uniknąć.

– Tak. Tak, napisałem – odpowiadam wyzywającym, niemal krzykliwym głosem.

– I co ci powiedzieli? Co do ciebie napisali?

– Napisali, że nadchodzi nuklearna zagłada. Świat zaleje woda, tak jak to przewidywał Al Gore. Ludzie będą się zabijać, walcząc o uszczuplone zasoby. Miliony zginą.

– Ciekawe. Jestem pewien, że napisali również inne rzeczy, ponieważ nie składasz się wyłącznie z czarnych myśli, Leonardzie. Wiele razy widziałem w twoich oczach światło. Co jeszcze powiedzieli?

Na jego słowa o świetle w moich oczach jeszcze mocniej ściska mnie w gardle i mam ochotę zacisnąć powieki.

– A jakie to ma, kurwa, znaczenie, skoro ci ludzie nie istnieją?

– Owszem, istnieją, Leonardzie – mówi Herr Silverman, robiąc kolejny ostrożny krok w moją stronę. – Naprawdę istnieją. Jeżeli tylko w to mocno uwierzysz. I jeżeli wytrwasz. Zgoda, zapewne nie spotkasz identycznych ludzi, ale w pewnym momencie w twoim życiu pojawią się przyjaciele. Spotkasz inne osoby podobne do ciebie.

– Skąd pan to wie? Skąd ta pewność?

– Ponieważ kiedy byłem w twoim wieku, ja również pisałem do siebie listy z przyszłości i bardzo mi one pomogły.

– Ale czy spotkał pan ludzi, których pan sobie wtedy

wyobrazil?

– Spotkałem.

Ta odpowiedź wytrąca mnie z równowagi i nagle czuję potrzebę, żeby dowiedzieć się czegoś więcej o życiu Herr Silvermana.

Kim są ludzie, do których pisał?

– Jak ich pan znalazł?

– Napisanie listów pomogło mi zrozumieć, kim jestem i czego pragnę. Kiedy już to wiedziałem, zacząłem wysyłać precyzyjne komunikaty do innych, a oni mogli odpowiednio na nie reagować.

Zastanawiam się nad tym chwilę.

– W przyszłości – mówię – wchodzę w skład załogi latarni wraz z moją żoną, córką i teściem. Co noc uruchamiamy wielki snop światła, mimo że nikt go nigdy nie ogląda.

– To piękne – mówi. – No widzisz?

Ale ja nie widzę.

– Przez te listy wydaje mi się, jakbym miał jeszcze bardziej nawalone w głowie.

– Dlaczego?

– Zacząłem uważać, że chciałbym żyć w tym fikcyjnym świecie już teraz, a ten lepszy świat z listów wzbudził we mnie pragnienie opuszczenia naszego świata. Prawdopodobnie właśnie z tego powodu stoję tutaj teraz z pistoletem w dłoni.

Herr Silverman niemal niezauważalnie się wzdryga, a ja to dostrzegam.

– Masz czasem poczucie, że wysyłasz światło, ale nikt tego nie widzi? – pyta.

Spoglądam na światła wieżowców odbijające się w wodzie i przychodzi mi do głowy myśl, że one istnieją tu zawsze – każdej nocy – nawet jeśli nikt ich nie widzi.

Najczęściej nikt ich nie widzi.

Wszystko, co robię, jest bez znaczenia.

Naprawdę bez znaczenia.

Herr Silverman podchodzi bliżej, a ja się nie cofam. Zdejmuje płaszcz, wkłada go sobie między kolana i zaczyna podwijać prawy rękaw koszuli, co powoduje, że moje serce

ponownie zaczyna mocniej bić, ponieważ od strasznie dawna chcę się dowiedzieć, co, u diabła, kryje się pod tymi rękawami.

Kiedy mankiet łąduje za łokciem, Herr Silverman oświetla komórką nadgarstek.

– Zobacz.

Nie dostrzegam blizn ani śladów po igłach, ani nadmiernego owłosienia, ani szpecącego śladu po oparzeniu, ani niczego podobnego.

Na nadgarstku wytatuowano różowy trójkąt – w ten sposób naziści oznaczali homoseksualistów w obozach koncentracyjnych. Wiem o tym z lekcji Herr Silvermana.

– Kto to panu zrobił? – pytam. Być może on również miał swojego Ashera Beala.

– Ja sam. A dokładniej rzecz biorąc, opłaciłem tatuażystę, żeby mi to zrobił.

– Och.

Musi minąć chwila, zanim dociera do mnie, co chciał mi w ten sposób powiedzieć.

– Nie ma dla mnie znaczenia, że pan jest gejem. Nie przeszkadza mi to – mówię, ponieważ mam poczucie, że powinienem.

Nigdy wcześniej nie przyszło mi do głowy, że Herr Silverman może być gejem, ale teraz wiele spraw nabiera sensu. Nie widziałem u niego na palcu obrączki ślubnej, nigdy nie wspominał o żonie – a jest przystojnym, dobrze ubranym mężczyzną w średnim wieku z ustabilizowaną sytuacją zawodową, który byłby świetnym kandydatem na męża.

Uśmiecha się do mnie.

– Dzięki.

– Dlaczego zrobił pan sobie taki tatuaż na nadgarstku?

– Przez całą szkołę średnią chciałem spełnić oczekiwania, które, jak sądziłem, mieli wobec mnie inni. Zawsze starałem się wszystkich zadowolić, a przez to ukrywałem swoje prawdziwe ja. Dziewiętnaście lat zajęło mi zrozumienie, kim jestem, a kolejne dwanaście miesięcy potrwało, zanim się przełamałem, by powiedzieć innym. Ponieważ nie chciałem kiedykolwiek o tym zapomnieć, wytatuowałem sobie na

nadgarstku ten symbol. Abym zawsze miał pod ręką odpowiedź.

– Dlaczego akurat ten symbol? – spytałem.

– Myślę, że wiesz dlaczego, Leonardzie. Prawdopodobnie z tego samego powodu, dla którego ty trzymasz teraz w dłoni nazistowski pistolet. Próbowałem sobie coś udowodnić. Próbowałem przejąć kontrolę nad swoim życiem.

– Dlaczego nie pozwala pan obejrzeć uczniom tatuażu?

– Ponieważ mogłoby to utrudnić mi przekazanie ważnej idei ludziom, którzy jej potrzebują.

– Co to za idea?

– Idea zawarta w prowadzonych przeze mnie przedmiotach, zwłaszcza tym o Holokauście.

– No tak, ale co to za idea?

– A jak myślisz?

– Że nie ma nic złego w byciu innym? Że powinniśmy być tolerancyjni?

– Między innymi.

– Dlaczego więc nie chce pan być inny i promować tolerancji przez pokazanie wszystkim różowego trójkąta?

– Ponieważ wtedy niektórzy z twoich kolegów z klasy nie traktowałiby mnie poważnie. Jeżeli chodzi o gejów, nauczycieli obowiązuje zasada przypominająca wojskową „*don't ask, don't tell*”, zwłaszcza wśród tych, którzy prowadzą tak kontrowersyjny przedmiot jak ten o Holokauście – wyjaśnia Herr Silverman, następnie podwija drugi rękaw niemal do łokcia. – Trzymaj, poświęć sobie moim telefonem.

Przekładam walthera P38 do lewej ręki i biorę od niego komórkę.

Przesuwam światło wzdłuż całego przedramienia.

**Najpierw cię ignorują, potem się z ciebie śmieją,
potem cię zwalczają, potem wygrywasz.**

Słowa napisano granatowym kolorem – zwykłymi drukowanymi literami ułożonymi w dwa rzędy. Nie jest to

żaden wymyślny tatuaż, jak te pisane kursywą albo czcionką Old English, które robią sobie na środku klatki piersiowej raperzy czy gwiazdy filmowe. Nabieram przekonania, że w tym wypadku bardziej liczy się komunikat niż image – komunikat skierowany do samego siebie i nikogo innego, co jest zapewne jednym z powodów, dla których Herr Silverman trzyma go ukrytego pod rękawem.

– Autorstwo przypisuje się często Gandhitemu – mówi – ale akurat to mnie nie interesowało, kiedy się na niego natknąłem. Wiedziałem tylko, że pozwolił mi odzyskać siłę. Dał mi nadzieję. Pozwolił wytrwać.

– Dlaczego wytatuował go sobie pan na ręce?

– Żeby nie zapomniał, że na końcu to ja wygrywam.

– A skąd pan wie, że wygrywa?

– Ponieważ wciąż walczę.

Zastanawiam się nad sensem jego słów, nad przesłaniem każdej z jego lekcji oraz nad tym, dlaczego mi o tym mówi.

– Nie jestem do pana podobny.

– Dlaczego miałbyś być do mnie podobny? Powinieneś być podobny do siebie.

Unoszę walthera P38 do skroni i mówię:

– Oto jaki jestem. Właśnie tutaj. Właśnie teraz.

– Nie, ani trochę taki nie jesteś.

– A niby skąd pan wie?

– Ponieważ czytałem twoje wypracowania. Poza tym patrzę ci w oczy na lekcjach. I widzę, że rozumiesz to, co mówię. Jesteś inny. Zdaję sobie sprawę, jak trudno czasami jest być innym. Ale wiem również, jak potężną broń można z tego uczynić. Jak bardzo świat potrzebuje takiej broni. Gandhi był inny. Wszyscy wielcy ludzie byli inni. A wyjątkowi ludzie, tacy jak ty i ja, muszą odszukiwać innych wyjątkowych ludzi, którzy ich rozumieją, aby nie pogрузić się w samotności i nie skończyć w takim miejscu, jak ty dzisiaj wieczoru.

– Nie jestem gejem – mówię.

– Nie musisz być gejem, żeby być inny. Nigdy nie uważałem cię za geja.

– Naprawdę nie jestem gejem.

– Okej.
– Nie jestem gejem.
– Dobrze.
– Nie jestem gejem.
– Dlaczego to w kółko powtarzasz?
– Asher Beal jest gejem.
– Dlaczego mi to mówisz?
– Nie jest takim gejem jak pan. Jest przerażający.
– Co próbujesz mi powiedzieć, Leonardzie?
– Poszedłem dziś wieczorem do domu Ashera Beala. Zamierzałem go zabić. Naprawdę. Już od dłuższego czasu chciałem go zabić⁷².

Na twarz Herr Silvermana wstępuje straszliwa panika.

– Ale nie zabiłeś go, prawda?
– Podeszedłem do okna jego sypialni z pistoletem w dłoni. Uniosłem walthera P38 na wysokość szyby, wycelowałem w jego głowę... ale nie potrafiłem tego zrobić. Po prostu nie potrafiłem.

– To bardzo dobrze.
– Powinienem go zabić.
– Co ci zrobił?

Nie chcę opowiadać tego Herr Silvermanowi, więc stoimy przez dłuższą chwilę w milczeniu.

Tyle że on jest cierpliwy – po prostu czeka z taką determinacją, jakby nie zamierzał się ruszyć z miejsca ani odezwać przez milion lat, jeżeli tylko potrzebowałbym tyle czasu na udzielenie odpowiedzi. Z niezrozumiałych powodów to jego wyczekiwanie sprawia, że odzyskuję poczucie

⁷² Czuję się niezręcznie, używając słowa „zabić” w rozmowie z nauczycielem przedmiotu o Holokauście, przyznając się, że podjąłem realną próbę zabicia kolegi z klasy. To dość nierzeczywiste, że te słowa faktycznie zaistniały w przestrzeni niecałego metra dzielącego mnie i Herr Silvermana. Pozwala to, bym sobie uświadomił, w jakim szaleństwie pogrążyłem się wcześniej – w jakim szaleństwie pogrążyłem się od dłuższego czasu. Jednocześnie jestem przerażony i odczuwam ulgę. Mam nawalone w głowie i odzyskałem wolność – jeżeli taki stan w ogóle ma sens. Przypominają mi się słowa Herr Silvermana o rozdwojeniu z lekcji o Holokauście.

bezpieczeństwa – jakbym mógł mu zaufać, jakby on rzeczywiście, autentycznie wierzył, że warto mnie wysłuchać, że warto mnie uratować. W końcu moje usta buntują się przeciwko umysłowi i kolejne słowa wylatują pośpiesznie – jakbym próbował oczyścić z nich organizm.

Opowiadam o wszystkim.

Każdy.

Przerażający.

Przyprawiający o mdłości.

Szczegół.

I

znów

zaczynam

plakać,

ponieważ

najzwyczajniej

nie potrafię

się

powstrzymać.

W pewnej chwili, kiedy docieram na skraj załamania, Herr Silverman obejmuje mnie ramieniem i zaczyna poklepywać po plecach. Robi to naprawdę ostrożnie – z rezerwą – ale wiem, że próbuje mnie tylko pocieszyć. Wydaje się to naturalne. Czuję się bezpiecznie. Pozwalam zatem, by mnie przytulił, i bycie przytulanym wydaje się naturalne, mimo że sam nie odwzajemniam przytulania, co prawdopodobnie wprawia go w zakłopotanie, a mnie z kolei robi się przykro, ale nie mam naturalnej potrzeby przytulania się w tak emocjonalnych sytuacjach. On co chwila szepcze: „Wszystko jest w porządku”, a ja równocześnie kocham go i nienawidzę za te słowa. Nic nie jest, kurwa, w porządku. A przecież właśnie na tym najbardziej mi zależy: żeby wszystko było w porządku. Nie może mi tego zapewnić, ale kocham go za to, że próbuje.

Zastanawiam się, czy Herr Silverman sądzi, że ma zdolność przemienienia kłamstwa w prawdę przez samo nieustanne powtarzanie słów – jakby to było zaklęcie.

Jakaś częśćka mnie ma nadzieję, że potrafi to zrobić.

Inna cząstka chciałaby krzyknąć mu w twarz: „WAL SIĘ!”.

Obie sprzeczne siły od dłuższego czasu toczą we mnie walkę.

Wreszcie uspokajam się, on się odsuwa i obaj patrzymy na rzekę, nie wypowiadając ani jednego słowa – tylko oddychamy.

Wydaje się, że mijają całe godziny, ale ja mam ochotę postać tak sobie z Herr Silvermanem u boku.

Mam poczucie, że jestem pusty.

Całkowicie oczyszczony.

Przez sekundę lub dwie udaję, że stanowimy – we dwóch – załogę Latarni 1.

– Wiesz, że mężczyzna może zostać zgwałcony, prawda? – odzywa się w końcu Herr Silverman.

Nie odpowiadam, tylko zastanawiam się, czy właśnie to przydarzyło się mnie, ponieważ początkowo nie zawsze się opierałem, a potem, kiedy to robiłem, wyglądało na to, że próbuję powstrzymać coś, co dzieje się od dłuższego czasu i najwyraźniej szybko nie ustanie. To tak, jakby ktoś wyskoczył z jadącego pociągu, ponieważ robiło mu się niedobrze, a maszynista nie mógł go z jakiegoś powodu zatrzymać.

– Mam poczucie, że się popsulem, że tam w środku wszystko przestało do siebie pasować. Jakby na świecie zaczęło brakować dla mnie miejsca. Jakbym się zasiedział na Ziemi, a wszyscy mi o tym nieustannie przypominali. Jakbym musiał się po prostu wymeldować. – Próbuję spojrzeć na Herr Silvermana, ale nie mogę oderwać wzroku od światła odbijających się w wodzie. – Myślę, że właśnie dlatego mama wyjechała do Nowego Jorku i dlatego nie chce ze mną rozmawiać. Jestem taki cholernie bezwartościowy.

– Nie jesteś.

– Właśnie, że jestem. Wszyscy w szkole mnie nienawidzą. Wie pan, że to prawda.

– Ja cię nie nienawidzę. Mam nadzieję, że moją obecność w tym miejscu przyjmiesz za wystarczający dowód. Zresztą nasza szkoła to tylko niewielki fragment świata. Wycinek twojego życia. Czekają cię różne pozytywne rzeczy. Zobaczysz.

Niespecjalnie mu wierzę i trochę się nawet podśmiewam, ponieważ kto mądry mówi nastolatкови z bronią w rękę, że

„czekają go pozytywne rzeczy”? Tak absurdalnie to brzmi.

Spoglądam na walthera P38 i wzdycham.

– Nie potrafię nawet skutecznie popełnić samobójstwa.

– To kolejna pozytywna rzecz, widzisz? – mówi Herr Silverman, a na jego twarzy pojawia się ten cudowny uśmiech, który sprawia, że mu wierzę. – Piękna sprawa.

Piękna.

Gdybym tylko potrafił w to uwierzyć.

Wycieram nos w rękaw.

On zakłada z powrotem płaszcz.

– Co według pana powinienem z nim zrobić?

Obaj wpatrujemy się w nazistowski relikw z czasów drugiej wojny światowej.

– Co powiesz na to, żeby wrzucić go do rzeki?

– Nie sądzi pan, że powinien trafić do Muzeum Holokaustu?

Herr Silverman wybucha nieskrępowanym śmiechem, na który nigdy nie pozwoliłby sobie w klasie.

Zupełnie jakby puścił oko.

Jakby mówił, że słusznie uważam pomysły swoich kolegów z klasy za gówno warte, za nadające się zaledwie na odpowiedź na egzaminie kończącym szkołę.

– Jeżeli chcesz znać moje zdanie, uważam, że każda sztuka broni palnej powinna trafić na dno rzeki.

– Ciekawe, czy w ogóle wypali – zauważam.

– Byłbym spokojniejszy, gdybyś przynajmniej odłożył pistolet. Staram się, jak mogę, zachowywać spokój, ale moje serce wali jak oszalałe i zdecydowanie by mi ulżyło, gdybyś nie trzymał w dłoni naładowanego pistoletu.

Myślę o tym, jak wiele Herr Silverman zaryzykował, przychodząc tu dziś i próbując uratować takiego postrzelonego wariata jak ja. Istnieje oczywiście problem pistoletu, a do tego masa formalności, przez które musiałby przejść, gdybym rzeczywiście popełnił samobójstwo, jako że teraz jest już poważnie zaangażowany w sytuację. Gdyby ktokolwiek dowiedział się o naszej rozmowie nad rzeką, szkolni prawnicy z pewnością zesraliby się ze strachu.

– Moje życie stanie się łatwiejsze? Naprawdę pan w to

wierzy? – pytam, choć przecież wiem, co odpowie: tak, jak zdaniem większości dorosłych należałoby odpowiedzieć, mimo że ogrom faktów i doświadczenie życiowe wskazują na to, że ludzkie życie staje się w miarę upływu czasu coraz gorsze, i tak aż do śmierci. Trudno zaprzeczyć, że większość dorosłych to nieszczęśliwi ludzie.

Wiem jednak, że w ustach Herr Silvermana zabrzmiałoby to mniej fałszywie.

– Może tak się stać. Jeżeli będziesz gotowy na harówkę.

– Jaką harówkę?

– Taką, która obroni cię przed niszczycielską presją świata. To codzienna batalia.

Zastanawiam się nad tym, co powiedział, i jakoś tam rozumiem, co miał na myśli. Ciekawe, jak wyglądałby Herr Silverman, gdybym towarzyszył mu w drodze z pracy do domu. Założę się, że sprawiałby wrażenie szczęśliwego – dumnego z pracy wykonanej tego dnia. Całkowite przeciwieństwo kobiety w okularach w stylu lat siedemdziesiątych, która nazwała mnie zbrojcem. Całkowite przeciwieństwo ponurych ludzi z metra, których śledziłem. Słuchałby muzyki z iPoda, może nawet podśpiewywał coś pod nosem. Inni pasażerowie wpatrywaliby się w niego i zastanawiali, co to, u licha, za wesołek. Pewnie by nim pogardzali. Może nawet chcieliby go zabić.

– Uważa pan, że nie byłbym zdolny nikogo zabić, prawda? Nie sądził pan też, że mógłbym popełnić samobójstwo.

– Dlatego tu właśnie jestem. Nie przyjechałbym, gdybym nie uważał, że jesteś tego wart.

Wpatruję się w twarz Herr Silvermana – nie odzywając się ani słowem.

Wpatruję się tak długo, że zaczyna między nami narastać napięcie i sytuacja robi się kłopotliwa, nawet jeśli Herr Silverman nie daje tego po sobie poznać.

– Wrzuć pistolet do rzeki, Leonardzie. Miej ufność w przyszłość. No dalej. Zrób to. Wszystko jest okej. Będzie lepiej. Zdołasz wykonać tę harówkę.

Może dlatego, że chcę się pozbyć wszelkich dowodów

łączących mnie z wydarzeniami tego wieczoru, może dlatego, że chcę zrobić przyjemność Herr Silvermanowi, może dlatego, że wrzucanie czegoś do rzeki zawsze jest zajebistą frajdą – robię szybko trzy kroki w stronę brzegu i ciskam walthera P38, jakby to był bumerang.

Widzę, jak wiruje w świetle odległego miasta i w końcu znika na kilka sekund, zanim słyszymy plusk.

Myślę o dziadku, który rozstrzelał hitlerowskiego oficera, poprzedniego właściciela pistoletu.

Myślę o tym, jak długą drogę pistolet musiał przebyć w czasie i przestrzeni, aby skończyć na dnie dopływu rzeki Delaware.

O tym, że opowieści, przedmioty i ludzie mogą w każdej chwili po prostu przestać istnieć.

Później myślę o mojej fikcyjnej przyszłej córce S. i nurkowaniu z delfinem Horatiem w świecie po nuklearnej zagładzie. S. ma całą twarz usianą uroczymi piegami. I podobnie jak ja szare oczy. Włosy podcina na wysokości brody.

– Ciekawe, czy znajdziemy mojego starego walthera P38 – mówię do niej w swojej fantazji.

– Do czego potrzebowałaś pistoletu jako dziecko? – dziwi się.

– Dobre pytanie – odpowiadam, po czym oboje zakładamy maski i wskakujemy do wody.

Chociaż wiem, że to tylko głupia fantazja, co tu będę ukrywał, robi mi się ciepło na sercu.

– Co teraz? – pytam.

– Zastaniemy kogoś u ciebie w domu? – pyta Herr Silverman.

– Nie. Mama jest w Nowym Jorku.

– W takim razie zabieram cię do siebie.

TRZYDZIEŚCI TRZY

W taksówce Herr Silverman wymienia z jakimś Julusem mnóstwo SMS-ów.

Po jego minie i sile, z jaką uderza w ekran komórki, widzę, że tego całego Juliusa bynajmniej nie cieszy perspektywa mojego przybycia, ale nie komentuję tego w żaden sposób ani nie zadaję pytań, mimo że, widząc minę Herr Silvermana, najchętniej wyskoczyłbym z pędzącej taksówki, przeturlał się po chodniku, rzucił się do ucieczki potłuczony i zakrwawiony, a do New Jersey wrócił pociągiem.

Jestem dość przerażony wszystkim, co mu powiedziałem – być może szczerłość była błędem. Boję się, że Herr Silverman już zawsze będzie traktował mnie inaczej – teraz jest miły, ale kiedy sobie pójdę, powie Juliusowi, że budzę w nim odrazę. Napominam się w myślach, że Herr Silverman nie zachowałby się w ten sposób, że jest dobry i pełen zrozumienia, ale w tej chwili nie potrafię całkowicie uwierzyć w takiego Herr Silvermana.

Kiedy podjeżdżamy pod jego dom, opłata za taksówkę przekracza dwieście dolarów, więc upieram się, że zapłacę swoją kartą kredytową, mimo protestów Herr Silvermana. Pracuje jako nauczyciel, więc wiem, że dwieście dolarów to dla niego kupa forsy.

Daję taksówkarzowi osiemdziesiąt dolarów napiwku, bo mam w dupie Lindę, która zapłaci rachunek. Ręka wciąż mi drży i trudno odczytać napisane przeze mnie cyfry.

– Czy to będzie okej? – pytam, kiedy idziemy schodami. Nawet mój głos jest cały roztrzęsiony.

– Czy **co** będzie okej?

– Zaproszenie ucznia do mieszkania nauczyciela.

– A ty nie masz nic przeciwko temu?

– Nie, ale nie ma przypadkiem jakichś szkolnych reguł zabraniających panu zrobienie czegoś takiego? No bo... nie chcę, żeby wpakował się pan przeze mnie w kłopoty.

– W mojej ocenie zachodzą okoliczności usprawiedliwiające takie postępowanie. Zresztą jeżeli ty nikomu nie powiesz, nikt się nie dowie.

– Dobrze – mówię i wpycham roztrzęsione dłonie do kieszeni.

Gdyby jakikolwiek inny nauczyciel powiedział coś takiego, uznałbym, że ma jakieś zбочzone intencje – ale nie Herr Silverman, powtarzam sobie. Jemu mogę zaufać.

Wkłada klucz do zamka swoich drzwi.

– Mój współlokator Julius śpi.

Kiwam głową, ponieważ zdaję sobie sprawę, że Julius najprawdopodobniej jest partnerem Herr Silvermana, zastanawia mnie też, czy rzeczywiście wkurzyłem Juliusa, zajmując Herr Silvermanowi tak wiele prywatnego czasu, a teraz naruszając ich prywatność. Zaczynam trochę żałować, że się tu znalazłem – że w ogóle zadzwoniłem do pana od Holokaustu.

Herr Silverman otwiera drzwi, wchodzi do mieszkania i mówi głośno:

– Julius? Przyszedłem z Leonardem.

Nikt nie odpowiada.

– Chodź – mówi Herr Silverman, a ja podchodzę do skórzanej kanapy. Nad nią wisi wielki obraz nagiego drzewa, który kojarzy mi się z klonem japońskim rosnącym za oknem klasy, gdzie mamy lekcje angielskiego. Przypominam sobie, jak wrednie zachowałem się w stosunku do pani Giavotelli, co ponownie wprawia mnie w przygnębienie.

Drzewo na obrazie jest otoczone przez odcięte głowy słynnych przywódców politycznych: Benita Mussoliniego, Józefa Stalina, Gandhiego, Ronalda Reagana, Winstona Churchilla, George'a Washingtona, Adolfa Hitlera, Fidela Castro, Teddy'ego Roosevelta, Nelsona Mandeli, Saddama

Husajna, Johna F. Kennedy'ego i około dziesięciu innych, których nie rozpoznaję. Głowy przypominają opadłe z drzewa zgniłe owoce. Na obrazie namalowano również wielkie X – jakby ktoś tego rodzaju stemplem odrzucił jego zawartość. To jedno z najdziwniejszych dzieł sztuki, jakie widziałem.

– Siadaj – mówi Herr Silverman. – Zaraz wracam.

Uchyła drzwi do sypialni i wślizguje się przez nie, nie pozwalając mi dostrzec, co znajduje się w środku – wykonuje swego rodzaju zawijas wokół drzwi, nie otwierając ich ani na chwilę na więcej niż pół metra, i potem szybko je zamyka.

Słyszę szept, ale ten głos nie należy do Herr Silvermana i jest dość gwałtowny, jak wiatr hulający między uschłymi gałęziami.

– To nie należy do twoich obowiązków – stwierdza nieco głośniej Julius.

– Ciii – uspokaja go Herr Silverman. – Usłyszysz cię.

Na chwilę zapada milczenie, po którym ponownie rozlega się gwałtowny szept.

Po chwili drzwi uchylają się na pół metra, a Herr Silverman ponownie prześlizguje się przez nie i zamyka je za sobą.

– Wkurzyłem pańskiego współlokatora swoją obecnością – zauważam.

– Po prostu jest zmęczony. Zaczyna pracę wcześniej rano i obawia się, że nie pozwolimy mu zasnąć. Będziemy cicho.

– Słyszałem, jak powiedział, że to nie jest pański obowiązek. Ma rację. Nie powinienem dzwonić. Nie powinienem pana angażować.

– Nic się nie stało – przekonuje Herr Silverman. – Cieszę się, że zadzwoniłeś. Może poznasz Juliusa rano. Kiedy się porządnie wyśpi, nie będzie taki zrzędlivy.

– To pana chłopak, prawda?

– No tak.

– Okej – mówię i natychmiast robi mi się głupio, że powiedziałem „okej”, jakby Herr Silverman potrzebował mojego pozwolenia.

– Trzymaj – mówi Herr Silverman i wyciąga dłoń.

Leży na niej małe pudełko owinięte w biały papier.

Odwijam papier, otwieram pudełko, ale musi upłynąć chwila,

zanim poznają zawartość.

To Brązowa Gwiazda mojego dziadka, tyle że pokryta papierem, pomalowana i zalaminowana. Na gwieździe widnieje brązowy znak pokoju, a na wstędze moje inicjały napisane wyszukаныmi kaligraficznymi zawijasami.

– Jeżeli ci się nie podoba – zastrzega Herr Silverman – mogę usunąć taśmę i papier. Sam medal nie został w żaden sposób uszkodzony. Zamierzałem oddać ci go jutro po lekcji. Pamiętasz, jak powiedziałeś, że chciałbyś zamienić negatywną konotację w pozytywną?

Nie jestem pewien, jak powinienem zareagować. Z jednej strony podarunek jest dość ckliwy, a z drugiej niesamowicie przemyślany – poza tym jest to jedyny prezent, który dostałem na osiemnaste urodziny, które właśnie się kończą.

Z jakiegoś powodu, zamiast podziękować jak każdy uprzejmy, normalny człowiek, pytam, być może w poczuciu, że to ważna sprawa:

– Czy Julius sprawia, że jest pan szczęśliwy? To znaczy... kocha go pan? A on kocha pana? Czy to dobry związek?

– Dlaczego pytasz? – Herr Silverman sprawia wrażenie zaniepokojonego, jakby moje dociekania wprawiły go w lekkie zakłopotanie.

– Czy pisał pan listy od przyszłego Juliusa, kiedy chodził pan do szkoły średniej? – dociekam, nie odpowiadając na jego pytanie.

– Tak się składa, że pisałem – przytakuje Herr Silverman. – W metaforycznym sensie zdecydowanie pisałem.

Czuję się nieco mniej obłąkany, wiedząc, że Herr Silverman przeżywał w szkole średniej rozterki związane z własną seksualnością i pisał do siebie listy od ludzi ze swojego przyszłego życia – ludzi, którzy go rozumieli, którzy go słuchali i traktowali jak równego, nie zmuszając do odgrywania roli i zakładania fałszywej maski. Ludzie, którzy mogli go uratować. Czuję się lepiej, wiedząc, że Herr Silverman wierzył w tych ludzi, kiedy był w moim wieku, a potem dotrwał do czasów dorosłości, ponieważ jest prawdziwie szczęśliwym człowiekiem...

Te rozmyślenia budzą we mnie złość, ponieważ nadal uważam to za stek bzdur, a gdybym zaczął w nie wierzyć, grozi mi jeszcze większa depresja, gdyby zdarzyło się coś niedobrego, gdyby Herr Silverman mnie zawiódł, gdybym stracił wiarę w niego i jego zasady. Niemniej z jakiegoś powodu przypinam sobie ten głupi medal do koszuli tuż nad sercem. Może dlatego, że Herr Silverman tyle dla mnie dziś zrobił, może dlatego, że przynajmniej to jestem mu winien, zresztą co szkodzi przypiąć sobie ten cholerny medal do koszuli.

– Wygląda ładnie – ocenia Herr Silverman i się uśmiecha.

– Dzięki – odpowiadam i nagle ogarnia mnie ogromne zmęczenie. Przystaje mi zupełnie na czymkolwiek zależeć.

– Chciałbym zadzwonić do twojej matki, Leonardzie. Mogę?

– Po co?

– Rano będziemy mieli sporo rzeczy do omówienia.

– Na przykład?

– Potrzebujesz pomocy. Profesjonalnej pomocy. Nie jestem pewien, czy twoja matka zdaje sobie sprawę z powagi sytuacji, z rozmiarów twojego cierpienia. Te sprawy tak po prostu nie ustępują.

– Nie posłucha pana. To wariatka.

– Mogę do niej zadzwonić? Proszę – mówi Herr Silverman.

Przygryzam wargi, ponieważ jestem wykończony i nie mam ochoty się z nim spierać. Kiwam głową, myśląc: „Herr Silverman na pewno nie pogorszy sprawy”.

– Znajdzie ją pan pod „Projektantka mody Linda” – instruuje go, odblokowując komórkę. Podaję mu telefon. – Pewnie i tak nie odbierze. Nigdy nie odbiera w nocy. Twierdzi, że potrzebuje regeneracyjnego snu, ale tak naprawdę sypia z takim jednym Francuzem, który uwielbia seks. Linda jest nimfomanką.

Żałuję ostatniego dowcipu, zwłaszcza że Herr Silverman nie tylko nie wybuchnął śmiechem, ale też nie zareagował w żaden sposób.

Dzwoni do Lindy, lecz ona nie odpowiada.

Zostawia wiadomość, w której informuje ją, że przebywam w jego mieszkaniu i byłby wdzięczny za oddzwonienie, ponieważ sytuacja jest wyjątkowa. Zostawia numer swojej

komórki i się rozłącza.

– W tej sytuacji czekamy na jej telefon – oświadcza.

Odwracam wzrok.

Linda nie zadzwoni dziś wieczorem ani w nocy.

Wiem to z doświadczenia.

Herr Silverman wyciąga z biurka blok papieru, zapisuje na kartce numer Lindy i wkłada zwitek do kieszeni koszuli.

– Pan to namalował? – wskazuję na wiszący nad kanapą obraz z przekreślonym drzewem otoczonym odciętymi głowami słynnych przywódców. Nie wiem, dlaczego pytam. Może dlatego, żeby zmienić temat. Może dlatego, że zrobiło mi się smutno, ponieważ Linda na pewno nie oddzwoni, a on mimo wszystko spodziewa się telefonu.

Herr Silverman cały się rozpromienia, jakby rzeczywiście był dumny z namalowania obrazu albo po prostu ucieszył się, że nie musimy dłużej rozmawiać o mojej powalonej psychice.

– Nie – odpowiada. – Kupiłem go kilka lat temu podczas wycieczki do Izraela. Na wystawie. Przyjaciel przyjaciela. Kazałem go sobie przysłać do domu. Taka mała ekstrawagancja.

– Jest bardzo dobry – kłamię. Tak naprawdę obraz zupełnie mi się nie podoba, ale mam poczucie, że powinienem być miły dla Herr Silvermana. Zaczynam się lekko obawiać, że wykorzysta mój sekret przeciwko mnie: wszystko, co opowiedziałem mu o Asherze, więc zależy mi na jego przychylności.

– Lubię go – mówi.

– Jakie jest jego znaczenie? – pytam z nadzieją, że wprawię go w dobry nastrój.

– A musi mieć jakieś znaczenie?

– Nie wiem. Myślałem, że sztuka powinna coś oznaczać.

– A nie sądzisz, że może istnieć, nie domagając się wyjaśnienia? Dlaczego musielibyśmy przypisywać sztuce znaczenie? Czy wszystko musi być dla nas zrozumiałe? Być może sensem jej istnienia jest wzbudzanie emocji – i tyle. A nie oznaczanie czegoś konkretnego.

Przytakuję, choć jego wyjaśnienie przypomina mi nieco

pierdoły opowiadane przez znawców sztuki.

Uśmiecham się na myśl, że Herr Silverman i Julius prowadzą zapewne głębokie rozmowy o sztuce, życiu i wszystkim innym.

Wiodą życie wykraczające poza świat überdurniów.

Gdyby nie potworne zmęczenie, wdałbym się z nim w dyskusję, jak podczas lekcji o Holokauście, kiedy właśnie tego od nas oczekuje. Dyskutowałbym godzinami, ale czuję, że mój umysł gdzieś odpływa – zdążę jeszcze zadać jedno pytanie, najwyżej dwa.

– Zaliczyłyby pan ten obraz do sztuki nowoczesnej? Dałoby się coś takiego wystawić w Muzeum Sztuki Nowoczesnej w Nowym Jorku? Ostatnio zacząłem się interesować sztuką nowoczesną.

– To rzeczywiście jest sztuka, i to nowoczesna. Niemniej obraz namalowany w niedawnym czasie nazwiemy raczej sztuką współczesną.

Kiwam głową.

– A uważa pan, że zdjęcie hitlerowskiego pistoletu leżącego obok miski z owsianką można uznać za sztukę współczesną czy tylko sztukę?

– Jasne – odpowiada. – Dlaczego nie?

– Rozumiem.

Kiwam głową, a potem siedzimy w milczeniu, aż wreszcie zdaję sobie sprawę, że jestem niebezpiecznie wykończony – mój mózg dotarł chyba do kresu sił – i że nie zdołam przesiedzieć całej nocy w oczekiwaniu na telefon Lindy, ponieważ najnormalniej w świecie zabraknie mi energii. Każda powieka waży tonę.

– Pogniewa się pan, jeśli na chwilę zamknę oczy? – pytam, ziewając.

– Nie krępuj się – odpowiada. – Połóż się wygodnie.

Z chwilą, gdy głowa dotyka kanapy, mój mózg się wyłącza.

Mam poczucie, jakbym opadał w czarną jak smoła otchłań.

Śnię o überpustce.

TRZYDZIEŚCI CZTERY

Kiedy się budzę, leżę przykryty ciepłym, puszystym kocem.
Jestem spocony.

Światło jest zgaszone, zasłony zaciągnięte, mimo to blask miasta przenika przez grube kotary obrysowany prostokątnym zarysem okien.

Dopiero po chwili przypominam sobie, że leżę na kanapie w domu mojego pana od Holokaustu. Przypominam sobie, z jakiego powodu tu trafiłem, a wtedy serce zaczyna mi mocniej bić.

Siadam. Co, u diabła, wydarzyło się wczoraj?

Odpowiadam sobie w myślach, wspominając wydarzenia poprzedniego dnia. Kiedy docieram do części z Asherem Bealem, przychodzi mi do głowy, że być może nie powinienem opowiadać o tym Herr Silvermanowi – kto wie, czy nie popełniłem straszliwego błędu. Ufam mu, ale teraz będzie musiał wszystko powtórzyć innym ludziom, u których będzie szukał dla mnie pomocy, a przecież ci ludzie mogą pomyśleć, że jestem zbrojcem, a wtedy zrobią mi takie rzeczy, że będę miał jeszcze bardziej nawalone w głowie. Jak mogłem zaufać obcej osobie? Nie wiem, co mnie teraz czeka, przez co czuję się, jakby łąziło po mnie stado maksymalnie wkurzonych skorpionów i pajaków. Nie przemyślałem skutków wyznania całej prawdy Herr Silvermanowi. Tak jakoś wyszło i to zrobiłem.

Może nie powinienem.

Może trzeba było się jednak zastrzelić.

Zaczynam się również niepokoić, że Herr Silverman przejrzał zdjęcia w moim telefonie i znalazł to z Asherem walącym

konia – wtedy już na pewno wyszedłbym na zboczeńca – więc biorę komórkę ze stolika i wchodzę do zakładki ze zdjęciami.

Na zdjęciu widać tylko odbicie lampy błyskowej w szybie sypialni Ashera, usuwam je zatem z pewną, choć niecałkowitą, ulgą.

Szkoda, że nie mogę usunąć wcześniejszych dwudziestu czterech godzin.

Sprawdzam historię połączeń. Linda nie dzwoniła. Nie wiem, co o tym myśleć.

Częściowo czuję ulgę, częściowo rozczarowanie, co powoduje, że mam mętlik w głowie.

Sięgam do kieszeni, aby potwierdzić, że wciąż znajduje się tam okazały czek na kilkaset tysięcy dolarów, który próbowałem podarować Babackowi. Wyjmuję go i drę na milion kawałeczków, choć nie wiem do końca dlaczego. Kawałeczki lądują na podłodze, a ponieważ jest ich tak wiele, trudno je posprzątać.

Nie myślę logicznie.

Zaczynam powątpiewać, czy mogę sobie ufać.

Spoglądam na zamknięte drzwi do sypialni Herr Silvermana i myślę o tym, że sypia w jednym łóżku z Juliusem, że wiodą w tym mieście wspólne życie, w żaden sposób niezwiązane ze mną, naszą syfiastą szkołą średnią ani z zawodem Herr Silvermana – o tym, że wczorajszego wieczoru naruszyłem spokój ich zacisza domowego, że przekroczyłem wszystkie granice. Rozumiem już, dlaczego Julius tak bardzo się na mnie wkurzył. Zachowywałem się jak psychopata, co mnie teraz zasmuca, ponieważ Herr Silverman próbował najzwyczajniej w świecie postąpić właściwie, co samo w sobie jest niesamowite, ponieważ nikt nigdy nie postępuje właściwie, tyle że w tej chwili powinienem przebywać raczej w towarzystwie mamy i taty. Ale ponieważ oni jako rodzice są do dupy, a ja mam nawalone, Herr Silverman musi się zajmować moimi cholernymi problemami, co nie jest fair i co może się ostatecznie źle dla mnie skończyć. Co dziwne, naprawdę uwielbiam Herr Silvermana oraz podziwiam jego troskę o powalone dzieci – tak wielką, że przyjechał do mnie pod most

w środku nocy. Tyle że ja nie powinienem przychodzić do jego mieszkania. To był wielki błąd. Mój błąd. Teraz już to rozumiem. On z kolei prawdopodobnie nie powinien przyjeżdżać mi na ratunek. Boję się, czy okazywanie takiej życzliwości innym źle się dla niego nie skończy. Mam nadzieję, że nie wpadnie przeze mnie w kłopoty.

Ciekawe, czy rozmawiał z Lindą po tym, jak zasnąłem, i co, do diabła, mógł jej powiedzieć.

Czy zdołał wzbudzić w niej choć odrobinę wyrzutów sumienia za bycie wyrodną matką – czy przedarł się przez ścianę z makijażu i *haute couture*?

Jak wiele jej opowiedział?

Choć trochę się tym przyjęła czy miała wszystko w dupie?

Jestem w zasadzie pewien, że Herr Silverman zaangażuje w sprawę szkołę, a szkolna psycholog zbada mnie, by ocenić, czy stanowią rzeczywiste zagrożenie dla siebie i innych, a kiedy odkryją, jak bardzo jestem nie zrównoważony, nafaszerują mnie lekami i odizolują, a wskutek tych przemyśleń zaczynam się przejmować, do jakiego zakładu trafię i w jakich warunkach będę przebywać. A jeśli gorszych od tego, czego doświadczam obecnie?

A jeśli Herr Silverman myli się co do mojej przyszłości?

Nagła decyzja: muszę wyjść, zanim się obudzi.

Natychmiastowe opuszczenie jego mieszkania – uwolnienie się od Herr Silvermana i rozmowy, którą prowadziliśmy wczoraj wieczorem – staje się najważniejszą rzeczą na świecie.

Narzucam się.

Nie powinno mnie tu być.

Może nie powinienem w ogóle żyć.

Może warto nacieszyć się ostatnimi godzinami wolności, zanim zamkną mnie na oddziale psychiatrycznym.

Może po prostu potrzebuję złapać oddech.

Mniejsza z tym. Wstaję powoli i przechodzę na palcach do kuchni, mijając zamknięte drzwi do sypialni, tam znajduję plik kartek papieru przyczepionych do lodówki.

Piszę:

*Drogi Herr Silvermanie,
proszę się nie przejmować. Czuję się dobrze. Potrzebuję
trochę czasu dla siebie.*

*Wracam do domu. Niebezpieczeństwo minęło.
Nie ma powodów do obaw. NAJMNIEJSZYCH.*

Przepraszam.

Dziękuję.

L.P.

*PS Przepraszam również Juliusa. To się już nie powtórzy.
Obiecuję.*

*Przechodzę na palcach przez salon i otwieram drzwi
wejściowe. Na szczęście nie skrzypią.*

Znikam.

TRZYDZIEŚCI PIĘĆ

Schodzę schodami na parter i jeszcze przed świtem wychodzę na ulice Filadelfii.

Dokoła jest pusto, a ja wyobrażam sobie, że całe miasto zostało zalane przez ocean – wyobrażam sobie, że nurkuje, co jest o tyle łatwe, że otaczają mnie mrok i pustka, poza tym skórę wciąż mam trochę wilgotną po tym, jak się spociłem, śpiąc i odchodząc nad ranem od zmysłów pod puszystym kocem, którym przykrył mnie Herr Silverman. Odchodzenie od zmysłów może wciąż trwać, choć staram się nie wracać myślami do wczorajszego dnia – do tego, że być może popełniłem błąd, wybierając życie.

Po zejściu pod ziemię na stację metra przeciskam się pod obrotową bramką – usmarowuję sobie dłonie odrażającym brudem miasta – ponieważ nie mam przy sobie pieniędzy. Czekam w zaśmieconych, śmierdzących sikami trzewiach Filadelfii, wyobrażając sobie, że spłynąłem na dno morza wyposażony w wielki reflektor i pokonuję tunele metra w towarzystwie Horatia, a może nawet pokazuję S. miejskie graffiti, kiedy dorośnie na tyle, aby zapuszczać się w te niebezpieczne, podwodne jaskinie.

Na pociąg czekam całą wieczność, a kiedy wreszcie przyjeżdża, jestem jedynym pasażerem w wagonie.

Kiedy wyskakujemy z podziemi Filadelfii na most Bena Franklina, słońce wyłania się zza horyzontu. Mrugam oślepiony.

Kiedy słyszę nazwę swojego miasta, wstaję i chwytam się barierki, czekając, aż wagoniki zatrzymają się na przystanku.

O tak wczesnej porze w metrze nie ma jeszcze ponurych ludzi

w garniturach, choć wiem, że niedługo tłumnie tu nadciągną.

Przy obrotowych bramkach stoi strażnik i muszę zdecydować, co zrobić, ponieważ nie mam biletu, a bez niego nie przejdę przez kołowrót.

Mam już puścić się biegiem i minąć go na wariata, kiedy dostrzegam na ziemi stary bilet.

Podnoszę go i wkładam do czytnika.

Oczywiście nie działa.

– Proszę pana – mówię i unoszę prostokątny kartonik. – Mój bilet nie działa.

– Przejdź pod spodem – odpowiada, upija wielki łyk kawy ze styropianowego kubka wielkości wiaderka i się odwraca.

Przeciskam się pod kołowrotem, a kiedy wychodzę na powierzchnię, po mieście rozlewają się pierwsze promienie słońca.

Idę bez celu, ale dziwnym zbiegiem okoliczności zachodzę pod dom Lauren, która mieszka tuż obok kościoła swojego ojca.

Stoję po drugiej stronie ulicy wpatrzony w jej dom i mam poczucie, jakby budynek odwzajemniał moje spojrzenie – jakby dwa okna na pierwszym piętrze były oczami, a rząd okien na parterze ustami. Niczym w starych horrorach – dom ożywa, przeobrażając się w twarz.

W mojej głowie rodzi się idiotyczna fantazja, w której naciskam dzwonek, a Lauren otwiera drzwi w białym szlafroku – głęboki dekollet pozwala mi nasycić oczy biustem – do którego poły przypięła otrzymany ode mnie srebrny krzyżyk. Rozmawiamy. Ja dziękuję za modlitwę, a ona wyraża ogromną radość, że wciąż żyję, po czym oboje zgadzamy się, że pocałunek był błędem, podajemy sobie dłoń i życzymy powodzenia na dalszej drodze życia – puszczając wszystko w niepamięć. Ale to jakieś brednie, ponieważ wiem, że nagrabiłem sobie u Lauren w sposób, którego nie da się łatwo odkręcić, co wprawia mnie w nieznośne przygnębienie.

– Cholera! – rzucam w realnym świecie. Stoję na chodniku po przeciwnej stronie ulicy i kręcę głową.

Wiem, że zmuszając Lauren do pocałunku, zachowałem się

jak buc – a może nawet hipokryta.

Jak zły człowiek.

Odchodzę.

Prawdopodobnie już nigdy nie zamienię z Lauren ani słowa i jestem z tym pogodzony.

Tak będzie najlepiej.

Być może zabiegałem o jej względy tylko dlatego, że związek między nami był nierealistyczny. Była testem, którego nie mogłem oblać, ponieważ mózg miała tak nafaszerowany religią, że sprawy i tak nigdy nie zaszłyby za daleko. Mimo to oblałem test. Jaki z tego wniosek?

Nie wiem.

To w sumie straszne, że była pierwszą dziewczyną, z którą się całowałem, ponieważ na zawsze będę wspominał ją jako pierwszą dziewczynę, z którą się całowałem, a wtedy natychmiast przypomnę sobie wszystko, co zdarzyło się później. Zaczynam się niepokoić, że ilekroć w przyszłości pocałuję dziewczynę, zaleje mnie strumień wspomnień, które przeniosą mnie z powrotem do ostatniej nocy. Być może nigdy nie będę potrafił czerpać przyjemności z całowania.

I znów ogarnia mnie przygnębienie, więc dochodzę do domu Walta i otwieram sobie drzwi kluczem.

TRZYDZIEŚCI SZEŚĆ

Słyszę telewizor nastawiony na cały regulator.

Walt miewa kłopoty ze słuchem, więc mnie to nie dziwi.

Zaskakuje mnie co innego: że ogląda film z Bogartem tak wcześnie rano.

Słyszę wyniosły głos Katharine Hepburn, więc wiem, że puścił *Afrykańską królową*.

– CZEŚĆ – wołam najgłośniejszym głosem, jak potrafię, przechodząc pod żyrandolem.

Walt nie odpowiada, ale kiedy widzi mnie w drzwiach, prawie podskakuje w fotelu. Spogląda na mnie przez kilka sekund, zatrzymuje pilotem film i mówi:

– Leonard?

– To ja. We własnej osobie.

– Nie mogłem zasnąć. Całą noc oglądałem Bogarta. Niepokoiłem się o ciebie. Sądziłem, że... dzwoniłem do ciebie do domu, ale nikt nie odbierał, więc...

Patrzemy na siebie bez słowa przez długi czas, ponieważ on nie chce wypowiedzieć na głos tego, co pomyślał, a ja nie chcę rozmawiać o poprzednim wieczorze.

Wreszcie odzyskuje panowanie nad sobą i korzysta z pomocy naszej gry: podnosi kapelusz Bogarta z oparcia fotela, zakłada go na głowę i przybiera wyraz twarzy gwiazdora filmowego starej daty⁷³.

⁷³ To zabawne, bo wczoraj nie używaliśmy kapeluszy Bogarta, ale rozumiem, że gest założenia kapelusza należy traktować symbolicznie – jako sygnał, że zaczynamy porozumiewać się szyfrem. Walta i mnie łączy trudna do wytłumaczenia więź. Doskonale się rozumiemy. Tak już jest. To coś wspaniałego. Zaszuga feromonów wydzielanych przez porządnego faceta.

– Czy coś się stało, panie Allnut? – mówi, niemal nie poruszając szczęką, wyższym niż normalnie głosem. Odgrywa Rose Sayer, bohaterkę *Afrykańskiej królowej*, w którą wcieliła się Katharine Hepburn.

Poprawiam swój kapelusz Bogarta – mimo że Bogart nie nosił w tym filmie fedory.

– Nic. Nic, co potrafiłaby pani zrozumieć – odpowiadam.

– Nie potrafię sobie wyobrazić, co mogło się stać. Mamy za sobą taki miły dzień. O co chodzi? – mówi, nie wychodząc z roli.

Niespodziewanie przechodzi mi ochota na przerzucanie się cytatami z filmów Bogarta, więc zdejmuję kapelusz i normalnym głosem odpowiadam:

– Wczoraj miałem trudny dzień, Walt. Naprawdę koszmar.

Otwiera szeroko oczy.

– Co, u licha, się stało z twoimi włosami?

Brakuje mi słów – no bo jak mam wszystko wyjaśnić staruszkowi?

Unikając kontaktu wzrokowego z Waltem, wpatruję się w wiszące na ścianie zdjęcie jego nieżyjącej żony, unieśmiertelnionej w młodej postaci.

Bluzka w zielonkawym kolorze morskiej piany.

Jasne włosy uczesane jak za czasów Bogarta.

Tajemnicze, wytrzeszczone oczy, które wydają się mnie obserwować.

Nie żyje, choć na zdjęciu wygląda na niewiele więcej niż osiemnaście lat. Wiem, że Walt strasznie za nią tęskni, bo przyłapuję go czasem, jak wpatruje się ze smutkiem w zdjęcie na ścianie. Ciekawe, jak będzie wyglądała moja przyszła żona i czy powieszę jej fotografię – być może w Latarni 1.

– Cóż to za durny medal przypiąłeś do koszuli?

Walt wpatruje się w moje serce. Jego brwi ułożyły się w zygzak.

Spoglądam w dół i przypominam sobie dzieło Herr Silvermana. Ponieważ nie potrafię wyjaśnić znaczenia medalu, nie wspominając o idiotyzmach, których doświadczyłem poprzedniej nocy, odpowiadam:

– Wiem, że wczoraj zachowywałem się dziwnie. Przepraszam. Obiecuję wyjaśnić później wszystko, co tylko będziesz chciał wiedzieć, Walt. Jak boga kocham. Odpowiem na każde pytanie. Czy teraz nie moglibyśmy obejrzeć do końca filmu w naszych kapeluszach Bogarta? Możemy? Wiele by dla mnie znaczyło, gdybyś pozwolił mi obejrzeć resztę filmu. Jestem naprawdę zmęczony. Jak to się mówi, nie zostało mi za dużo paliwa w baku. Mam za sobą koszmarną noc. Naprawdę koszmarną. Potrzebuję odrobiny Bogarta. Na odtrutkę. Co powiesz?

Przygląda mi się przez chwilę uważnie, próbując odgadnąć moje intencje.

– Jasne. Jasne. Bogart. Da się załatwić – stwierdza niezwykle ostrożnie, jakby sądził, że próbuję go nabrać, mimo że jestem z nim całkowicie szczerzy, być może po raz pierwszy od lat.

Zakładam z powrotem kapelusz Bogarta i siadam na końcu kanapy tuż przy jego fotelu.

Walt naciska klawisz pilota i na telewizorze ponownie pojawia się obraz.

Zaczynamy od sceny, kiedy łódź osiada na mieliźnie. Bogart wskakuje do wody, żeby ją przepchnąć, a kiedy wychodzi, jest cały pokryty pijawkami. Utknęli w kompletnej dziczy i obawiają się, że umrą. Rose zaczyna się modlić, spada deszcz, poziom rzeki wzrasta i bohaterowie zostają cudem ocaleni. Jak doskonale wiem, później na ich przeszkodzie staną jeszcze źli Niemcy. Oczy zachodzą mi mgłą i odpływam, rozmyślając głównie o tym, jak niewiele zabrakło, bym poprzedniego wieczoru zabił Ashera i popełnił samobójstwo. Że kiedy wycelowałem pistolet w kolegę z klasy, miałem niemal poczucie, jakbym oglądał film – jakby to nie działo się naprawdę. Jak cholernie przerażające wydaje się to teraz, kiedy mogę się nad tym spokojnie zastanowić. Choć zabrzmiałoby to dziwnie, siedząc u boku Walta, odczuwam pewnego rodzaju wdzięczność – naprawdę niewiele zabrakło, żebyśmy zrobili coś paskudnego i obłąkanego.

Chyba miałem szczęście.

Niepokoi mnie, że jednego dnia potrafię popaść w tak

wybuchowy nastrój – że jestem gotów popełnić morderstwo i samobójstwo – a następnego oglądam z Waltem, jak Bogart ratuje siebie i Katharine Hepburn z opresji, jak gdyby nigdy nic, jakbym nie miał pilniejszych zajęć, jakbym nie musiał zrobić nic, aby zaprowadzić porządek na świecie albo uciec od własnych myśli.

Chciałbym zawsze czuć się okej – opanować umiejętność funkcjonowania bez tego całego stresu, bez poczucia, że jeśli czegoś nie zrobię, krew wytryśnie mi z oczu i wszystkich palców.

Film się kończy, Walt wyłącza telewizor.

– Wiesz, tak się zastanawiałem... – zaczyna.

– No?

– Dlaczego podarowałaś mi wczoraj ten kapelusz? Dlaczego akurat wczoraj?

– Miałem urodziny. Skończyłem osiemnaście lat.

– O Jezu! I nic nie powiedziałaś? Czuję się jak skończona kutwa. Kupiłbym ci prezent.

– Kupiłem dla ciebie ten kapelusz w sklepie ze starzyzną za cztery dolary i pięćdziesiąt centów – mówię, uśmiechając się. – Tak naprawdę to nie jest rekwizyt z planu. Bogart nigdy nie miał go na głowie.

– Przecież wiem, Rockefellerze – mówi. – I tak się cieszę. W jaki sposób uczciłeś swoje urodziny?

Niemal wybucham śmiechem, ponieważ Walt zadał to pytanie tak niewinnym tonem, jakbym był zwykłym dzieckiem, które ma za sobą zwykłe urodziny.

Nikt poza Waltem nie podejrzewałby mnie o zdolność do normalnych zachowań. Nie ukrywam, że go za to uwielbiam.

– Opowiem ci później, co przydarzyło mi się w dniu urodzin, dobrze? Wciąż jestem dość zmęczony. I niespecjalnie mam teraz ochotę na rozmowę.

Walt przygląda mi się przez chwilę, po czym zdejmuje kapelusz Bogarta.

– W *Wielkim śnie* Lauren Bacall podchodzi do Bogarta w barze – nakreśla scenę Walt, po czym dziewczęcym, chropowatym głosem mówi: – Spóźniłam się. Przepraszam.

Pamiętam tę scenę i wypowiedane przez bohaterów kwestie, więc jako Bogart odpowiadam:

– Jak się dziś miewasz?

– Lepiej niż wczoraj wieczorem.

– Z tym akurat mogę się zgodzić.

– To dobry początek – stwierdza Walt normalnym głosem. – To dobry początek.

Zmuszam się do uśmiechu, ale jestem zakłopotany i Walt to widzi.

Czy miewam się lepiej niż wczoraj wieczorem?, zastanawiam się.

Skąd niby mam wiedzieć.

Na pewno minął mi gniew.

– Idziesz dziś do szkoły? – pyta Walt, nie dopuszczając, żeby zapadło kłopotliwe milczenie.

– Chyba zrobię sobie wolne. Idę teraz do siebie. Nie byłem w domu od wczoraj. Muszę wziąć prysznic – tłumaczę, choć mam głęboko w dupie ten prysznic. – Obejrzymy później jakiś film?

Otwiera kciukiem zapalniczkę – która wydaje charakterystyczne trzaśnięcie – zapala papierosa, zaciąga się i wydmuchuje kolejne słowa.

– Leonardzie, myślę, że to jest początek pięknej przyjaźni. Naprawdę tak myślę.

– Twoje zdrowie, mała.

Uśmiecha się naprawdę sympatycznie, szczerze, ładniej nawet od Bogarta.

Odpowiadam tym samym, a kiedy wymiana uśmiechów zaczyna się robić niezręczna, ruszam do wyjścia.

– Leonard?

Odwracam się na pięcie.

– Cieszę się, że odwiedziłeś mnie dziś rano.

Walt wydmuchuje kolejny haust dymu w kierunku sufitu. Jego oczy błyszczą pod rondem kapelusza Bogarta silniej niż pomarańczowa końcówka pall malla, a ja myślę sobie, że choć spotkania upływały nam głównie na oglądaniu starych filmów z Bogartem i tak naprawdę nigdy nie rozmawialiśmy na inny

temat, Walt prawdopodobnie zna mnie lepiej niż ktokolwiek inny. Być może cytaty z Bogarta pozwoliły nam się skutecznie porozumieć. Może komunikowanie się z innymi ludźmi wychodzi mi lepiej, niż sądziłem, a przynajmniej z ludźmi pokroju Walta.

Kto wie, może na świecie istnieją jeszcze inni ludzie pokroju Walta i czekają, aż ich znajdę.

Być może.

TRZYDZIEŚCI SIEDEM

Kuchenne lustro wciąż jest strzaskane, więc kiedy zaglądam do zlewozmywaka, moje spojrzenie odwzajemnia milion maleńkich par oczu.

Otwieram lodówkę i widzę włosy owinięte w różowy papier. O kurwa, myślę. W kogo ja się wczoraj zamieniłem? I jeszcze raz: O kurwa.

Powinienem posprzątać, ale najzwyczajniej w świecie brak mi sił.

Znacznie łatwiej będzie zamknąć drzwi lodówki, co – jak natychmiast sobie uświadamiam – jest znakomitą metaforą mojego życia.

Być może chcę, aby Linda znalazła owinięte w papier włosy i wszystko zrozumiała – w jak strasznym byłem wczoraj stanie.

Jakie główniane miałem urodziny.

Jak zapomniała o tym, że urodziła mnie osiemnaście lat temu.

Że jest najgorszą matką na świecie.

Jak bardzo trzeba mi pomóc.

Tyle że Linda prawdopodobnie nie skojarzyłaby tych faktów, nawet gdyby znalazła moje włosy owinięte w różowy papier. Zapewne uznałaby, że obcięte włosy są prezentem dla niej.

Wychodzę na piętro do sypialni.

Po opróżnieniu kieszeni zauważam, że po wyjściu z mieszkania Herr Silvermana rozładowała mi się komórka. Podłączam ją do sieci.

Po chwili odzywa się sygnał informujący o nowych wiadomościach.

Linda nagrała się na pocztę głosowej. „Co naopowiadałeś

o mnie temu nauczycielowi? Co się dzieje? Co tym razem wymyśliłeś? Siedzę w samochodzie i jadę do domu, zamiast uczestniczyć w kilku niezwykle ważnych spotkaniach. Co, u diabła...”

Kasuję wiadomość, zanim zdąży skończyć.

Jako drugi nagrał się Herr Silverman. Mówi zmienionym, jakby wkurzonym głosem. „Leonard? Dlaczego wyszedłeś? Gdzie jesteś? Niepokoję się o ciebie. Wczoraj wieczorem zaryzykowałem, a ty, nie ukrywam, zawiodłeś mnie. Nie powinieneś wychodzić. Stawiasz mnie w niezręcznej sytuacji, ponieważ obiecałem twojej matce, że...”

Z jakiegoś powodu kasuję i tę wiadomość.

Zaraz potem ogarniają mnie wyrzuty sumienia.

Oddzwaniem do niego, mimo że prawdopodobnie jest teraz w szkole, ponieważ jest później, niż sądziłem.

Po kilku sygnałach zgłasza się poczta głosowa.

„To ja, Leonard Peacock. Dziękuję, że przyszedł pan do mnie wczoraj wieczorem pod most. To było naprawdę fajne... wręcz konieczne. Przepraszam, że zachowywałem się jak skończony buc. Jestem gotów na harówkę. Proszę się o mnie nie martwić. Po prostu miałem kiepską noc. Będzie okej. Dziś robię sobie wolne od szkoły. Rano po prostu musiałem wyjść. Miałem potrzebę przeniesienia się w inne miejsce. Musiałem, jak to się mówi, powitać dzień. Mam nadzieję, że pana partner nie uważa mnie za źle wychowanego. Nikomu nie powiem, że jest pan gejem. Mam to gdzieś, że jest pan gejem. Nie ma to dla mnie znaczenia. Pewnie nie powinienem tego mówić, prawda? Bo dlaczego niby powinno to mieć dla mnie znaczenie? Nigdy nie powiedziałbym komuś, że jego czarny kolor skóry nie ma znaczenia. Buc ze mnie i tyle. Przepraszam. Proszę zapomnieć o tym fragmencie. Do zobaczenia w poniedziałek. Jeszcze raz dziękuję. I proszę się o mnie nie martwić! Teraz już nie ma powodów do obaw. Żadnych”.

Kiedy kończę mówić, trzymam telefon przy uchu, nie rozłączając się. Przez minutę wsłuchuję się w ciszę, dochodzę do wniosku, że wszystko, co powiedziałem, to jakieś idiotyzmy, wreszcie słyhać bipnięcie i ponownie zgłasza się kobieta robot,

pytając, czy jestem zadowolony z pozostawionej wiadomości. Nie mam siły na szczerą odpowiedź, nie wspominając o nagraniu kolejnej wiadomości, więc się rozłączam.

W moim pokoju panuje taka cisza, że zaczynam się zastanawiać, czy przypadkiem nie tak brzmi śmierć.

Słyszę, jak Linda otwiera kluczem frontowe drzwi, po czym woła:

– Leo? Leo, jesteś w domu? Dlaczego nie oddzwoniłeś?

Nienawidzę jej.

Tak bardzo jej nienawidzę.

Jest tak głupia, że aż komiczna.

Jest karykaturą.

Zaprzeczeniem człowieka.

Jaka matka zapomina o osiemnastych urodzinach syna?

Jaka matka ignoruje tyle sygnałów ostrzegawczych?

Aż trudno uwierzyć, że ktoś taki istnieje.

Słyszę stukot jej szpilek na drewnianej podłodze. Odgłos zamiera, kiedy ona zatrzymuje się przed lustrem w przedpokoju, żeby poprawić makijaż. Cokolwiek Herr Silverman jej opowiedział, jakkolwiek podkoloryzował wydarzenia, wystarczyło, by ściągnąć ją tu z Nowego Jorku. Myśleliście, że wbiegnie po schodach, by sprawdzić, czy wszystko jest w porządku, prawda? Tak postąpiłaby każda racjonalnie myśląca, troskliwa matka. Tak postąpiłby każdy CZŁOWIEK. Myliliście się.

Linda nie potrafi obojętnie przejść obok lustra. Tylko nie oceniacie jej, proszę, zbyt surowo, ponieważ od luster jest uzależniona. Ma pokreconą psychikę. Mnie to nawet nie wkurza, ponieważ taka już jest Linda. Mogłaby zobaczyć mnie stojącego w płomieniach i wrzeszczącego jak opętany, a i tak przystanąłaby przed lustrem, żeby poprawić makijaż, i dopiero potem by mnie ugasiła. Taką już mam mamę.

Ponownie rozbrzmiewa stukot szpilek, potem Linda rusza w górę schodami, na których leży chodnik, więc stukot cichnie.

– Leo? – woła radośnie, niemal śpiewnym głosem, a mnie ciekawi, czy używa takiego tonu, ponieważ liczy, że nie ma mnie w domu, że popełniłem samobójstwo i nie będzie musiała

sobie mną więcej zwracać głowy. – Leo, gdzie jesteś?

Rozlega się stukot, gdy idzie korytarzem, potem zapada cisza, kiedy stąpa po orientalnym chodniku prowadzącym do mojej sypialni.

– Leo? – mówi, po czym puka.

Wpatruję się z ponurą miną w drzwi, rozważając, czy miałbym prawo się na nią teraz wydrzeć, przywołując wszystkie sytuacje, kiedy mnie zawiodła, ale nie potrafię wydusić z siebie ani słowa.

– Leo? – mówi Linda. – Mam nadzieję, że jesteś ubrany. Wchodzę.

Otwiera drzwi i nagle pojawia się przede mną. Ma na sobie biały żakiet z czymś w rodzaju futrzanego kołnierzyka – chyba z norek. Fryzura jak zawsze idealna. Założyła sięgającą do kolan jasnozieloną spódnicę z wełny – elegancką i stosowną – oraz białe szpilki. Wygląda wystrzałowo. Chce mi się śmiać, ponieważ taki wygląd sugeruje, że ma idealnego syna – że wiedzie idealne życie, a przez to ma mnóstwo czasu, aby codziennie robić z siebie arcydzieło *haute couture*. Ludzie patrzą na Lindę i ją podziwiają. Uwierzcie. Gdybyście ją spotkali, zareagowalibyście tak samo. W tym właśnie tkwi jej siła.

– Cieszę się, że w końcu ściąłeś włosy, ale kto ci to zrobił? Spartaczyli robotę, Leo – komentuje, a ja mam ochotę ją udusić. – Co się z tobą dzieje? O co chodzi? Przyjechałam. Jestem w domu. Mów, w czym problem.

Kręcę głową, ponieważ nawet ja jestem pod wrażeniem.

Co, u diabła, mam na coś takiego odpowiedzieć?

– Rozmawiałam z twoim nauczycielem, panem Silvermanem. Nieco dramatyzował. Powiedział, że nosiłeś przy sobie pistolet dziadka z czasów wojny. „Nie sądzi pan, że ten zabytek mógłby wystrzelić”, powiedziałam mu. No cóż, nabrałeś go, ponieważ naprawdę się przejął, Leo. Na tyle, aby nalegać na mój natychmiastowy przyjazd z Nowego Jorku. Spowodowałeś spore zamieszanie. Przyjechałam. No więc proszę... Co jest takiego ważnego? Słucham.

Wyobrażam sobie, że moje oczy są lufami walthera P38, mój

wzrok zaś pociskami, którymi przesywam strój Lindy, a potem obserwuję wyciekającą krew.

Jest taka olewająca.

Jest taka ciemna.

Jest taka okropna.

– Dlaczego patrzysz na mnie w ten sposób, Leo? – Oparła dłonie na biodrach. – No poważnie. Masz taką minę, jakby świat miał się zaraz skończyć. Czego ode mnie chcesz? Przyjechałam do domu. Twój nauczyciel twierdzi, że chcesz ze mną porozmawiać. No to rozmawiajmy. Naprawdę udawałeś, że chcesz zastrzelić kogoś z tego zardzewiałego hitlerowskiego pistoletu, który twój ojciec nosił w futerale na gitarę? O co w tym wszystkim chodzi? Co się stało? Leo, jesteś przecież pacyfistą. Nie skrzywdziłbyś muchy. „Wystarczy spojrzeć na dzieciaka, a od razu widać, że nie byłby zdolny do agresywnych zachowań”. Powiedziałam to twojemu nauczycielowi, ale on mimo to sprawiał wrażenie mocno zaniepokojonego. Twierdzi, że powinieneś chodzić na terapię. „Terapię?”, spytałam. Jakby to komukolwiek pomogło. Próbowaliśmy raz z twoim ojcem terapii i zobacz, jak skończyliśmy. Nie spotkałam nikogo, kto czułby się lepiej po terapii niż przed jej rozpoczęciem.

Nieprzerwanie się w nią wpatruję.

– Twój nauczyciel twierdzi, że możesz mieć skłonności samobójcze, ale wyjaśniłam mu, że to niedorzeczne. Bo przecież nie masz skłonności samobójczych, prawda, Leo? No, ale jeśli masz, po prostu mi powiedz. Mamy dość pieniędzy. Stać nas na lekarstwa. Cokolwiek będzie potrzebne. Dostaniesz wszystko, czego tylko potrzebujesz. Wystarczy, że poprosisz. Ale ja przecież wiem, że nie masz skłonności samobójczych. Wiem, na czym polega prawdziwy problem.

Kurwa, ale jej nienawidzę.

– Wyjaśniłam mu, że zachowujesz się w ten sposób, kiedy tęsknisz za matką. No więc, Leo, przyjechałam do domu. Zawsze przyjeżdżam do domu, gdy wycinasz jeden z tych swoich numerów. A tym razem nie było łatwo. Musiałam odwołać dwanaście spotkań ze znanymi ludźmi. Dwanaście! Nie żeby cię to cokolwiek obchodziło. Ale pewnego dnia

będziesz musiał nauczyć się żyć bez matki, a wtedy...

– Pamiętasz, jak byłem mały, robiłaś mi naleśniki z bananami i kawałkami czekolady? – pytam, ponieważ ta myśl niespodziewanie rodzi się w mojej głowie.

Linda wpatruje się we mnie takim wzrokiem, jakby moja głowa obróciła się właśnie o trzysta sześćdziesiąt stopni.

– Pamiętasz, prawda? – naciskam.

– O czym ty mówisz, Leo? Naleśniki? Szofer nie wiozł mnie tu przez dwie godziny, żebym miała prowadzić konwersację o naleśnikach.

– Musisz pamiętać, mamo. Zrobiliśmy je kiedyś razem.

Szminka Lindy uśmiecha się, kiedy wypowiadam słowo „mamo”, ponieważ nie słyszała go od wielu lat.

Jak na ironię, wprost uwielbia, gdy ją tak nazywam.

– Naleśniki bananowo-czekoladowe? – powtarza, śmiejąc się.

Z wyrazu jej twarzy wnioskuję, że nie pamięta, ale udaje, że jest inaczej. Kto wie, może zrobiła je tylko raz czy dwa – sam nie wiem. Może zmyśliłem całe wspomnienie. To prawdopodobne. Nie mam pojęcia, dlaczego akurat w tej chwili się pojawiło, no ale się pojawiło.

Pamiętam, że robiliśmy naleśniki bananowo-czekoladowe, kiedy byłem mały – miałem cztery czy pięć lat. Rozchlapaliśmy ciasto po całej kuchni, podczas gdy tata siedział przy stole i pobrzdąkiwał cicho na gitarze akustycznej. Tamtego poranka rodzice byli w radosnym nastroju, co zdarzało się rzadko, więc pewnie dlatego to zapamiętałem. Ja usmażyłem naleśniki z mamą, a potem zjedliśmy je we trójkę, jak rodzina.

Dla większości ludzi byłby to normalny poranek – ale nie dla nas.

Z jakiegoś powodu czuję, że muszę zjeść naleśniki bananowo-czekoladowe, żeby wszystko było znów okej. Teraz. Nic innego mi nie pomoże. Nie wiem dlaczego. Tak już jest. Obiecuję sobie w myślach, że jeśli Linda zrobi mi naleśniki bananowo-czekoladowe, wybaczę jej, że zapomniała o moich urodzinach. Zawieram umowę w głowie, a potem próbuję zmusić ją do zrealizowania swojej części.

– Możesz je teraz zrobić? Naleśniki bananowo-

czekoladowe? – pytam. – Tylko tyle od ciebie chcę. Usmaż naleśniki, zjedz ze mną śniadanie, a potem możesz wrócić do Nowego Jorku. Okej? Umowa stoi?

– A mamy składniki? – pyta całkowicie skonsternowana.

– O kurwa! – wykrzykuje, ponieważ nie mamy składników. Od kilku tygodni nie robiłem zakupów. Kurwa, kurwa, kurwa.

– Jak ci nie wstyd mówić „kurwa” przy matce?

– Przyrządzisz mi śniadanie, jeżeli zdobędę składniki?

– I po to ściągnąłeś mnie do domu? Żebym zrobiła naleśniki bananowo-czekoladowe? Po to wprowadziłeś nauczyciela w stan takiego podenerwowania?

– Jeśli je dla mnie przyrządzisz, nie będę ci dziś sprawiał więcej problemów. Z czystym sumieniem wrócisz do Nowego Jorku. Problem rozwiązany.

Linda się śmieje, a ja widzę, że jej ulżyło. Przejeżdża pięknie wypielęgnowanymi paznokciami przez resztki moich włosów, laskocząc mnie.

– Naprawdę dziwny z ciebie chłopiec, Leo.

– Czy to oznacza, że się zgadzasz?

– Wciąż nie rozumiem, co tak naprawdę się wczoraj wydarzyło. Dlaczego twój nauczyciel zadzwonił i wymógł na mnie, żebym przyjechała do domu? Na moje oko wyglądasz zupełnie w porządku.

Herr Silverman najwyraźniej nie powiedział jej o moich urodzinach, a mnie przestało to już obchodzić. Zależy mi tylko na tych pieprzonych naleśnikach. Z tym akurat Linda sobie poradzi. To prośba, którą potrafi spełnić. Skoro tyle mogę dostać, tego właśnie chcę.

– Idę po składniki, dobrze? – mówię, ułatwiając jej jeszcze bardziej zadanie.

– Dobrze. – Zalotnie wzrusza ramionami, jakby była moją dziewczyną, a nie mamą.

Wymijam ją biegiem, zeskakuję po schodach i wylatuję na dwór, nie założwszy nawet płaszcza.

Jakieś sześć przecznic od nas mieści się sklepik spożywczy, gdzie dziesięć minut później znajduję wszystko, czego mi potrzeba.

Mleko.

Jajka.

Masło.

Mieszanka do ciasta.

Syrop klonowy.

Płatki czekoladowe.

Banany.

W drodze powrotnej do domu ucha siatki z zakupami wrzynają mi się w dłoń, a ja dochodzę do wniosku, że po raz kolejny pozwalam Lindzie się wykpić.

Próbuję skoncentrować myśli na naleśnikach.

Czuję już smak czekolady i bananów rozpuszczających się na języku.

Naleśniki są dobre.

Sycące.

Są tym, co mogę mieć.

Wchodzę do domu i słyszę, że Linda jest w swoim gabinecie i wydziera się na kogoś w sprawie koloru tiulu.

– Nie, kurwa, nie chcę oranżu kadmowego!

Unosi palec wskazujący, a kiedy mnie widzi w drzwiach, odpędza mnie machnięciem ręki.

Po pięciu minutach oczekiwania postanawiam samemu przygotować składniki.

Na desce kroję trzy banany, tnąc je ostrożnie na cieniuteńkie plasterki. Rozbełtuję mleko z jajkami i mieszanką w proszku, na końcu dodaję płatki czekolady i plasterki bananów. Spryskuję patelnię i stawiam ją na gazie.

– Linda? – wołam. – Mamo?

Nie odpowiada, więc postanawiam usmażyć naleśniki. Wystarczy mi, jeśli Linda zje ze mną śniadanie.

Wylewam trochę masy na patelnię, a kiedy zaczyna się pienić i skwierczeć, nakładam masę na trzy kolejne naleśniki. Po chwili przewracam wszystkie cztery na drugą stronę i włączam piekarnik, aby przechować w nim gotowe naleśniki do czasu przyjścia mamy.

– Linda?

Brak odpowiedzi.

– Mamo?

Brak odpowiedzi.

Wstawiam gotowe naleśniki do piekarnika i wylewam na patelnię kolejne porcje masy.

Orientuję się, że usmażyłem zdecydowanie za dużo naleśników, ale nie przestaję i w końcu dysponuję liczbą zdolną wykarmić dziesięcioosobową rodzinę.

– Mamo!

Idę do jej gabinetu. I tym razem na kogoś wrzeszczy.

– Jaśmin to możesz sobie w dupę wsadzić! – woła i wzdycha.

Stoi zapatrzona w widok za oknem.

Znów przestała zwracać na mnie uwagę.

Wzdycham zrezygnowany.

Wracam do kuchni.

Zjadam naleśniki czekoladowo-bananowe.

Są pyszne.

Pieprzyć Lindę.

Jej strata.

Mogła zjeść na śniadanie pyszne naleśniki.

Przebaczyłbym jej.

Resztę naleśników mielię w młynku na odpady w zlewozmywaku.

Do odpływu wpada kilka kawałków rozbitego lustra.

Zostawiam młynek włączony, aż w końcu chrzęst niknie, kiedy mechanizm się zacina. Ponownie słyszę Lindę besztającą podwładnych.

Nie opuszcza swojego gabinetu – nawet wtedy, gdy wychodzę, zatrzaskując za sobą drzwi z taką siłą, że cały dom trzęsie się w posadach.

TRZYDZIEŚCI OSIEM

List z przyszłości numer 4

Tato,
tu S., Twoja córka.

Piszę ten list w moje osiemnaste urodziny. No, tak naprawdę dzień po urodzinach, bo minęła północ. Obsługuję sama wielką latarnię, ponieważ ponownie zasnęłaś w fotelu – stare nawyki są trudne do wyplenienia. Dam Ci ten list jutro, kiedy po raz pierwszy opuszczę Placówkę 37, żebyś nie zapomniał o wspaniałym dniu, który spędziliśmy razem.

(Uwaga na marginesie: gwiazdy wyglądają dziś niesamowicie – moglibyśmy w nich pływać. Kasjopeja świeci jasno).

Mam pewne podejrzenie: nigdy nie powiedziałeś tego głośno, ale myślę, że jesteś na mnie zły za pomysł z wyjazdem. Myślisz, że chcę tylko znaleźć chłopaka, a przynajmniej wypominasz mi to w żartach. (Przysięgam, że Cię zabiję, jeśli jeszcze choćby raz użyjesz słowa „hormony”!) A choć rzeczywiście chciałabym mieć chłopaka (PONIEWAŻ TO JEST NORMALNE!) i poznać moich rówieśników w tej obrzydliwej „ruropolii”, chciałabym zrobić również wiele innych rzeczy.

Chciałabym zobaczyć stały ląd.

Nigdy go nie widziałam.

Chciałabym stanąć na ziemi.

To prosta, ale głęboka myśl jak na dziewczynę, która całe życie spędziła na wodzie.

Jestem pewna, że w jakimś stopniu potrafisz to zrozumieć, nawet jeśli stały ład jest „przereklamowany”.

Cieszę się na myśl, że będę uczęszczała na zajęcia z moimi rówieśnikami, mimo iż wielokrotnie ostrzegałeś mnie, że ludzie nie zawsze są tak mili i taktowni jak dziadek oraz Ty i mama. Chciałabym tego wszystkiego doświadczyć sama – mieć okazję do rozmowy z tyłoma różnymi ludźmi! Chciałabym znaleźć kogoś, kto pocałuje mnie za każdym razem, gdy zobaczy spadającą gwiazdę, tak jak Ty całujesz mamę. Tak sobie też myślę, że mogłabym zostać wyróżniającą się uczennicą na uczelni, zwłaszcza że tak dobrze poradziłam sobie na egzaminach wstępnych. Kto wie, może później byłbyś ze mnie dumny, gdybym przyczyniła się jakoś do poprawy świata.

Dziękuję, że na urodziny zrobiłeś mi „naleśniki”.

Mimo że nie miałaś mieszanki naleśnikowej i twierdziłeś, że nie wyszły tak dobrze jak naleśniki, które pamiętasz z dzieciństwa (nie mieliśmy także „syropu”, ponieważ na świecie zostało niewiele „klonów”). Jestem wdzięczna, że włożyłeś w to tyle wysiłku, zwłaszcza że podobno robiliście je z Twoją mamą, kiedy byleś mały – z „płatkami czekolady” i żółtymi owocami, które nazywasz bananami. Mam nadzieję, że będę miała kiedyś okazję zobaczyć i spróbować banana. Chcę wierzyć, że wciąż występują w ruropolii, gdzie zobaczę rzeczy, o których dotąd mogłam tylko marzyć, takie jak sklepy, restauracje, psy, koty, kina, rurostrady między domami oraz wiele innych rzeczy oglądanych przez nas na wizualizatorze, kiedy tylko sygnał był dostatecznie mocny.

Prezent, który dostałam od Ciebie na urodziny, również był... piękny.

Kiedy powiedziałeś, że zużyjemy dwie ostatnie butle z tlenem, protestowałam, ponieważ oznaczało to, że samemu nigdy nie będziesz mógł zanurkować, chyba że Północnoamerykański Kolektyw Terytorialny przyśle Ci nowy zapas butli, co prawdopodobnie nie nastąpi, skoro

ogłosili, że na świecie zapanował porządek, a Placówka 37 – Latarnia 1 – oficjalnie przestała funkcjonować.

Mimo to cieszę się, że ten ostatni raz popłynęłam z Tobą na dół do „Filadelfii” w towarzystwie naszego starego znajomego delfina Horatia.

Nie wierzyłam, kiedy powiedziałaś, że znajduje się tam czerwona statua z napisem LOVE, gdzie LO stoi na VE.

LO VE

Pasowało to raczej do jednej ze starych bajek, które opowiadałeś mi w dzieciństwie. Nie dowierzałam, kiedy stwierdziłeś, że w przeszłości ludzie tak mocno wierzyli w miłość, że stawiali na jej cześć pomniki, aby nie zapomnieć o uczuciach do innych... nie chcę nic mówić, ale to brzmiało dość idiotycznie. Dopiero kiedy zeszliśmy na dno, a Ty zapaliłeś termiczną latarnię i zobaczyłam, że mówiłeś prawdę, zrozumiałam ogrom potencjału świata – że dopiero zaczynam go poznawać. Być może zdołam znaleźć czystą miłość – taką, jaka łączy Ciebie i mamę.

Mama zdradziła mi, że całymi tygodniami szukałeś z Horatiem tego pomnika, a potem wyczyściłeś go z wodorostów, zużywając większość swoich zapasów tlenu. Dlatego uważam, że był to najwspanialszy prezent urodzinowy, jaki kiedykolwiek otrzymałam. Ilu ojców włożyłoby tyle wysiłku w same osiemnaste urodziny córki?

Niewielu.

Wspomniałeś, że następnego dnia po swoich osiemnastych urodzinach spędziłeś na ławce w parku Miłości w Filadelfii, pisząc coś w swoim notatniku.

Z tego, co opowiedziałeś mi o swojej przeszłości i suchym łądzie – oraz czego domyśliłam się sama na podstawie innych strzępków informacji – wywnioskowałam, że miałeś dość koszmarne dzieciństwo.

Że musiałeś wiele wycierpieć, zanim zamieszkałeś na Placówce 37 i zostałeś moim ojcem.

Chciałam Ci podziękować.
Jesteś dobrym człowiekiem, Tato.
Miałam piękne dzieciństwo.
Podziwiam Cię – mam nadzieję, że będę taka jak Ty.
Przez całe życie patrzyłam, jak kierujesz wielką wiązką światła – tu, w Latarni 1.

Nikt tu nigdy nie przyżywa.
Nigdy nie widzimy żadnych statków.
Mimo to zapalasz światło – na wszelki wypadek.
A my je oglądaliśmy – przez te wszystkie lata.
Wielkie światło.
Piękny omiatający wodę snop światła!
My go widzieliśmy i to wystarczy.
Tak naprawdę dopiero teraz zrozumiałam, jakie to było i wciąż jest ważne.

Nie jest mi łatwo Was zostawić, choć wiem, że Ty i mama sobie poradzicie.

Mam nadzieję, że przyjedziecie mnie odwiedzić, kiedy już się urządzę, ale zrozumiałabym, gdybyście nie mogli. Sama zamierzam Was odwiedzać tak często, jak to tylko możliwe.

Odcięłam dla Ciebie cienkie pasmo swoich włosów.

(Mama powiedziała, że na osiemnaste urodziny zgoliłeś się na tyso, ale ja nie chciałam tego robić, bo włosy to mój największy atut!)

Czytając list, będziesz już trzymał w ręku pasemko, które włożyłam do środka.

Kiedyś powiedziałeś, że kobiety wysyłały kosmyki swoich włosów ukochanym mężczyznom w czasach, gdy rycerze jeździli na koniach po niekończących się stałych łądach, a światem rządzili królowie i królowe. O rycerzach opowiedziałeś mi, zanim jeszcze zaczęliśmy czytać razem Hamleta.

Kocham Cię, Tatusiu.

Nigdy o tym nie zapomnij.

I jeszcze jedno – poradzę sobie.

Mama twierdzi, że kiedy byłeś w moim wieku, nie

przypuszczałeś, że ją spotkasz, a mimo to spotkałeś.

Zapewne nie przypuszczałeś również, że znajdziesz mnie, a teraz ja również muszę wyruszyć na poszukiwanie ludzi z mojej przyszłości – ale chyba właśnie w ten sposób działa świat.

Poradzisz sobie.

Co lubił mawiać Twój sąsiad? Ten staruszek? Miał, zdaje się, na imię Walt.

„Zawsze będziemy mieć Paryż”.

My zawsze będziemy mieć pomnik LOVE na Dnie Wspólnego Globalnego Obszaru Numer Dwa.

Zawsze będziemy mieć Placówkę 37, Latarnię 1, delfina Horatia, Filadelfijską Phyllis, „Kto tu mieszkał?” i wszystko inne.

Patrząc, jak oddychasz obok mnie w fotelu, pogrążony we śnie.

Wyglądasz tak spokojnie.

Wyglądasz dokładnie tak, jak powinien wyglądać dobry tata.

Po uśmiezku błakającym się na Twoich ustach widzę, że śniesz o czymś wspomniałym.

Od ponad godziny obserwuję Cię pogrążonego we śnie.

Przez cały czas żałuję, że Twój umysł nie jest morzem, w którym moglibyśmy razem zanurkować, ponieważ chciałabym zobaczyć pomnik LOVE spoczywający na dnie Twojej świadomości.

Wiem, że jest wielki, czerwony i piękny, ponieważ od wielu lat oczyszczasz go z wodorostów. Wiem, że oczyściłeś z chwastów swój umysł dla mnie, dla mamy, abyśmy mogli obchodzić razem moje urodziny – abym mogła rozpocząć nowy etap i cieszyć się życiem, które od Ciebie otrzymałam.

Nie przestawaj wypleniać chwastów, Tato.

Wypleniaj z nich swój umysł.

I włączaj wielki snop światła.

Nawet kiedy nikt nie patrzy.

*Z miłością
Twoja córka S.*

PODZIĘKOWANIA

Następujące osoby przeczytały wstępne wersje tej powieści i udzieliły mi wartościowych rad: Alicia Bessette (powieściopisarka), Liz Jensen (powieściopisarka), Doug Stewart (agent), Alvina Ling (redaktorka), Bethany Strout (młodsza redaktorka), Barbara Bakowski (starsza redaktorka prowadząca), dr Len Altamura (doktor pracy socjalnej, licencjonowany kliniczny pracownik opieki społecznej), Jill A. Boccia (licencjonowana kliniczna pracowniczka opieki społecznej), Valerie Peña (licencjonowana kliniczna pracowniczka opieki społecznej), dr Narsimha R. Pinninti (doktor, University of Medicine and Dentistry of New Jersey-School of Osteopathic Medicine), Meryl E. Udell (psycholog kliniczna), Debra Nolan-Stevenson (licencjonowany doradca zawodowy) i doktor Geetha Kumar (profesor nadzwyczajna psychiatrii, zastępca kierownika Wydziału Psychiatrii na University of Medicine and Dentistry of New Jersey-School of Osteopathic Medicine, psychiatra dziecięcy).

Główna idea powieści ukształtowała się w znacznej mierze w trakcie rozmów przy kawie, które odbyłem z Evanem Roskosem. Najbliższym – wiecie, kogo mam na myśli – dziękuję za wsparcie w wielu trudnych sytuacjach.

Opinie czytelników

Przy całej powadze i trudności tematów, jakich dotyka książka, otrzymujemy również isierkę nadziei. Quick nawet o sprawach bolesnych pisze w sposób, który daje nam chwilę relaksu i uśmiech. *Wybacz mi, Leonardzie* to powieść dla czytelników, którzy pragną więcej. Więcej bólu, więcej brutalności, więcej nadziei, więcej bezbłędnego stylu oraz ciekawego spojrzenia na świat. Najlepsza nawet rekomendacja nie odda w najmniejszym stopniu klimatu tej historii łączącej realia współczesnej Ameryki, *Hamleta* oraz filmów z Bogartem. Książka ważna, ambitna i nietuzinkowa. Warto ją kupić i przeczytać. Jestem pewna, iż nie pożałujecie.

Magdalena Kijewska, www.przegladczytelniczy.blogspot.com

Historia przedstawiona w powieści *Wybacz mi, Leonardzie* zaskakiwała mnie na każdym kroku. Kiedy już myślałam, że wiem, co wydarzy się na następnej stronie, autor skutecznie mnie mylił, tworząc coś znacznie lepszego, niż sobie wyobrażałam. Książka porusza do głębi prostotą oraz prawdziwością. Jest to historia pełna kontrastów: rozzdzierająca, a przez to bolesna, ale i niebezpiecznie piękna. Polecam z całego serca!

Nikola Kurkowska, www.bucherwelt.blogspot.com

Książka, która od pierwszych stron intryguje i wzbudza tak wiele emocji, że nie sposób się od niej oderwać. Tłumione uczucia, skrywane tajemnice, wewnętrzny kryzys i rozterki, pośród których tli się nadzieja na lepszą przyszłość. Siłą tej opowieści jest z całą pewnością genialna narracja otwierająca przed czytelnikami drzwi do świata myśli głównego bohatera, który w błyskotliwy, a często również bezlitosny sposób opisuje i ocenia otaczającą go rzeczywistość.

Justyna Zielińska,
www.happyholic.pl

Smutna historia z nadzieją w tle – o tym, że samotność zabija, ale i o tym, że wystarczy chwila, by zobaczyć, że życie nie zawsze jest wredne. Troszkę inna niż wszystkie. Bardzo typowa dla Quicka. Ma jedną, ogromną wadę: czyta się ją za szybko!

Barbara Chęcińska,
www.orcia.pl

Wybacz mi, Leonardzie to nie tylko powieść o samotności i trudach dojrzewania w świecie, w którym dorośli nie mają czasu dla swoich dzieci, ignorują ich problemy i sygnały ostrzegawcze – to „niemy krzyk”, tak głośny, że nie trzeba się wysilać, aby go usłyszeć. Powieść przerażająca, bo przynosząca bolesne uświadomienie, a jednocześnie pokazująca, jak niewiele trzeba, by pomóc drugiemu człowiekowi. I choć książka skierowana jest do młodzieży, polecam ją przede wszystkim rodzicom (zawsze miejcie oczy szeroko otwarte!).

Agnieszka Trzeźniewska,
www.nieczytam.blogspot.com

Przeczytałam w jeden wieczór, łączywie, i mam apetyt na kolejne książki tego autora. Osobowość bohatera, styl narracji oraz klimat, jaki stworzył Quick, zaspokoją oczekiwania nawet najbardziej wybrednych odbiorców. Serdecznie polecam!

Anna Kęska,

www.aniamaluje.com

Dobra książka jest jak studnia – pochylasz się, by przyjrzeć się czemuś dokładnie, i wpadasz do środka. A potem... Potem nie możesz z niej wyjść. *Wybacz mi, Leonardzie* to studnia, do której wpadłam. Ta książka jest jak życie: słodko-gorzka, smutno-zabawna, fascynująca i do bólu prawdziwa. A pokręconego Leonarda – gwarantuję – polubicie od razu.

**Marta Hennig,
*www.martapisze.pl***

Książka *Wybacz mi, Leonardzie* intryguje już od pierwszych stron: kim jest Leonard Peacock i dlaczego w dniu swoich osiemnastych urodzin postanawia popełnić morderstwo, a następnie odebrać sobie życie? Nie dawało mi to spokoju, dopóki nie poznałam motywów postępowania bohatera. Wciągająca powieść, którą długo będziecie pamiętać.

**Agnieszka Świetlik,
*www.lifemanagerka.pl***

Można napisać, że *Wybacz mi, Leonardzie* to książka o trudnym dorastaniu i młodzieńczym buncie. Ale Leonard nie jest zwykłym niepokornym nastolatkiem – to chłopak, który patrząc na świat, dostrzega w nim zdecydowanie więcej zła niż niejeden dorosły. I sam usiłuje się z nim zmierzyć. Ta książka daje do myślenia i nikogo nie pozostawi obojętnym.

**Katarzyna Wodzyńska,
*zachwycona czytelniczka***

Wstrząsająca historia chłopaka, który nie potrafi poradzić sobie z samym sobą i ze swoją przeszłością. Niezwykła opowieść o tym, jak trudno żyć w świecie, w którym nikt nie toleruje inności. Matthew Quick dał nam książkę głęboko zapadającą w pamięć.

**Julia Przejczowska,
*www.morejulie.blogspot.com***

Wybacz mi, Leonardzie to jedna z tych książek, o której ciężko cokolwiek napisać, bo Matthew Quick w pewien sposób „gasi” czytelników, pokazując i opisując te wszystkie rzeczy, o których wiemy, że istnieją, ale większość z nas się w nie nie zagłębia. Bardzo wartościowa pozycja: pełna przemyśleń, wariactw, utraconych nadziei i brutalnej prawdy. Zmusza do myślenia i pobudza to, czego w naszych czasach zaczyna brakować – empatię.

Zuzanna Korasiak,
www.recenzjum.pl

Matthew Quick ma nieprawdopodobny talent do wymyślania nietuzinkowych postaci i przedstawiania ich historii w sposób cudownie emocjonalny. Tym razem jednak przeszedł samego siebie. Trudno jest po takiej książce jak *Wybacz mi, Leonardzie* sięgnąć po inną, bo szanse, że trafi się na powieść równie niezwykłą, są bliskie zeru.

Natalia Skorupa,
www.ksiazkville.blogspot.com

Matthew Quick



wybacz mi,
Leonardzie



powieść autora *bestsellerowego*
„Poradnika pozytywnego myślenia”



lesiojot

woblink

ISBN 978-83-751-5804-5